

ANDRZEJ ZIMNIAK

# RANDKA Z HOMO SAPIENS

# **Randka z Homo sapiens**

**Andrzej Zimniak**

**Published by BookRage**

# Spis treści

[Egzorcysta](#)

[Śmierć ma zapach szkarłatu](#)

[Kochać w Europie](#)

[Intermezzo z Chrysem](#)

[Kontrakt pięciominutowy](#)

[Randka z Homo sapiens](#)

Copyright © by Andrzej Zimniak

Copyright © for the cover illustration NASA, ESA, the Hubble Heritage Team (STScI/AURA), and R. Gendler (for the Hubble Heritage Team). Licensed under the Creative Commons Attribution 3.0 Unported license (<http://creativecommons.org/licenses/by/3.0/>)

ISBN 978-83-936840-5-2

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Skład i korekta: Paweł Dembowski

Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Ilustracja na okładce: Galaktyka Messier 106, zdjęcie z Teleskopu Hubble'a

Wydawca:

Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

# Egzorcysta

Kiedyś był Ptasznikiem. Praca w tym zawodzie polegała na chwytaniu niebieskich ptaszków na planetach o liberalnym prawodawstwie i przewożeniu ich tam, gdzie Temida była bardziej wymagająca. Za postęпки, które w ich rodzimych światach zaliczano za ledwie do przewinień, u celu podróży nieszczęśnikom wymierzano dotkliwe kary, a Ptasznik brał swoją dolę w postaci nagród za dbałość o wysoki poziom praworządności. Cóż, w tamtych czasach zamieszkane światy rozsiane były po kosmosie tak rzadko jak ziarna złotego piasku na dnie jałowej rzeki, w wyniku czego zróżnicowanie cywilizacyjne okazywało się zupełnie wystarczające do uprawiania ptaszniczego proceduru.

Jednakże to się zmieniło po odkryciu starhippów. Kiedy podróże przez galaktykę na gwiazdnych wierzchołkach stały się tak łatwe jak wyjazdy na jarmark do sąsiedniej wsi, nastąpiła eksplozja kolonizacyjna i kosmounifikacja, a z chwilą, w której jeden pangalaktyczny kodeks zaczął obowiązywać we wszystkich światach, Ptasznik stanął wobec konieczności zmiany zawodu. Jednakże pryncypia pozostawił bez zmian - nadal pracował w taki sposób, aby nie wejść w jawną kolizję z żadnym paragrafem, czyli granica skodyfikowanej praworządności pozostała górnym pułapem każdej jego akcji.

Ptasznik przekwalifikował się na Egzorcystę. Jego nowym zadaniem było wypędzanie z ludzi zła, a to działanie, zwłaszcza przy liberalnym podejściu, nieraz dawało się zaklasyfikować jako czynienie dobra. Można więc powiedzieć, że nasz bohater nie tylko potrafił odnaleźć się w nowej rzeczywistości, ale także wykazał powszechnie oczekiwaną poprawność etyczno-moralną. A fakt, że przy okazji zarabiał na życie i czerpał z tego

wszystkiego przyjemność, było wyłącznie jego prywatną sprawą. Jego i Oczu Dowodowych, wykalibrowanych jurysdykcyjnie przez najwyższe rozwinięte konsorcja, realizujące rządowe zamówienia. Oczu Dowodowe, unosząc się zawsze tam, gdzie trzeba, bezmyślnie śledziły wszelkie poczynania istot rozumnych, tym samym nie naruszając ich prywatności, i ożywiały się dopiero wtedy, gdy w wyniku jakichś nieprzemyślanych działań Obywatel zamieniał się w Podejrzanego. Jest oczywiste, że Ptasznik-Egzorcysta, w skrócie Egor, starał się nigdy nie budzić Oczu z ich czujnego snu.

\*\*\*

Ostatnio dużo pracował w precywilizowanych światach, gdzie ludzie zrosli się z techniką i potrafili sterować nie tylko reakcjami jądrowymi wewnątrz słońc, ale także, a może przede wszystkim, własnymi myślami i upodobaniami, i gdzie rodzice nie płodzili dzieci, lecz je projektowali. Pragnął odmiany, chciał poczuć dym ogniska i usłyszeć szum wiatru w ostępach dzikiego lasu, wybrał więc z katalogu kilka pierwotnych planet o rwących rzekach, czystej wodzie i pogodzie tak kapryśnej, jaka może wystąpić tylko w totalnie nieuregulowanych, a więc nieprzewidywalnych systemach. Na tych globach żyły ludy nieliczne i równie proste, co puszczone na żywioł przyroda.

Homofilnie zmodyfikowany gwiazdny rumak, którym podróżował, zapewnił mu symulację podstawowych wygód, płał więc w wannie, zażywał wodnych masażów, jadał kwiczoły nadziewane jąderkami koników morskich, uprawiał miłość z hologramem wypełnionym jędrnym i ciepłym polem siłowym, a w łóżku, do kieliszka courvoisiera, czytywał Szekspira. Jednak podczas przepraw przez rozlewiska czasu nie zawsze mógł prowadzić obserwacje świata zewnętrznego, więc gdy w końcu wierzchołek wynurzył się z turbulencji i wyrwał grawitacyjnymi skokami do pierwszego z wyznaczonych celów, w mig podłączył się do oczu zwierzęcia i zachłannie rozejrzał po okolicy.

Wprost przed nim, zdawałoby się że na wyciągnięcie dłoni, w granatowym kosmosie jaśniała zielono-żółta planeta. Uśmiechnął się do swoich myśli: oto nieznaną glob sygnalizuje barwnym kodem, że nadchodzi czas zniw. Uniwizor, nastawiony na pomiar zaawansowania

cywilizacyjnego, nie wykazał istnienia supertechniki żadnej kategorii, ale ktoś, kto żył tam w dole, musiał przynajmniej znać i stosować koło. Tubyłcy plasowali się na średnim poziomie inteligencji, zaludnienie było małe, a współczynnik porządku społecznego i moralności okazał się satysfakcjonująco niski. Egzorcysta odłożył tubus i zatarł dłonie. Będzie kogo ratować! Zakomunikował biostatkowi, że jego wybór padł właśnie na ten świat. Bezzwłocznie rozpoczęli lot rozpoznawczy.

Kosmiczny rumak nie musiał stosować żadnych tricków temporalnych ani przemieszczeń międzywymiarowych, jako że tubyłcy za całą broń mieli zapewne łuki, sztylety i miecze, a kto wie, czy nie kamienne ostrza. Rozpostarł więc łuski skrzydeł i leciał wskroś gęstniejącego powietrza niby smok, aż napierśne płyty jego pancerza rozpały się do wiśniowego żaru. Szerokim łukiem ominęli gęste skupisko ludności w delcie rzeki, potem, przemieszczając się w stronę nocnej półkuli, przemknęli nad czymś w rodzaju portu przeładunkowego, aż w końcu zbliżyli się do krainy drwali i leśnych zbieraczy, oddalonej od głównych szlaków i zagubionej w prastarych borach. Osiedle wyglądało z góry jak olbrzymi harcerski biwak, z setką ognisk, stożkową budowlą pośrodku i pierścieniem okrągłych chat na obrzeżach.

Starhipp nie musiał być ponaglany, sam wiedział, że ma niezauważony osiąść na centralnym placu i bez zwłoki zwolnić podróżnika. Uczynił to błyskawicznie, z gracją właściwą swojemu gatunkowi, po czym otrząsnął się jak kura po zniesieniu jajka i zagłębił w gliniastym gruncie z taką łatwością, jakby to była woda. Cóż, te nierozumne, sympatyczne i wybiórczo genialne stworzenia uwielbiały kosmiczne wędrówki, potrafiły w sposób niedostępny dla ludzkiej technologii transformować energię i materię, ale każdą wolną chwilę przesypiały jak znudzone psy. Egzorcysta ledwie zdążył wrzucić do podręcznej torby to, czego potrzebował: bicz, spleciony z szeleszczących skórek grzechotników, flet z cedrowego drewna i słoiczek ambrozji.

\*\*\*

Rzecz jasna, zawsze zabierał podstawowe wyposażenie medyczne i obronno-rozpoznawcze, ale trzymał się reguły, aby w prymitywnych

światach tylko w niezbędnym stopniu korzystać z nowoczesnej technologii. Postępował tak nie tylko dla spokoju sumienia, ale głównie z pragmatyzmu, albowiem w przypadku nierównych szans ryzyko zawodowe zbliżało się do granicy opłacalności. Ponieważ Oczy Dowodowe sprawowały funkcję Złych Aniołów, oczekujących na każde potknięcie, nie należało dawać satysfakcji ich konstruktorom.

Z łona statku został wyrzucony wprost na centralny plac, spowity w mroku, rozpraszany przez nieliczne ogniska. Pośrodku placu wznosiła się budowla z drewnianych bali o kształcie stożka. Z wnętrza dobiegała kakofonia dźwięków, na które składały się pijackie śpiewy i uderzenia w bębny. Odczuł dreszczyk podniecenia, bo lubił takie dziwne miejsca, w których trzeba było uczyć się funkcjonować, uwielbiał nowe wyzwania. Ich celem było poprawienie swojej pozycji na wyjściu względem tej na wejściu do układu, i głównie o to chodziło w całej grze. Zazwyczaj miewał bilans dodatni, dlatego żyło mu się niezgorzej.

Dywagacje zostały brutalnie przerwane, bo ktoś chwycił go za ramię i pociągnął, odwracając ku sobie. Zwalisty mężczyzna, śmierzdzący jak zgonione zwierzę, najpierw ze zdumieniem przyjrzał się przybyszowi, po czym zdecydowanie sięgnął po jego torbę. Chwycił ją i szarpnął, ale ponieważ była przytroczona dwoma parcianymi paskami, niewiele wskórał. Nie dał jednak za wygraną - złapał oburącz i pociągnął z siłą niedźwiedzia.

Egor o mało nie stracił równowagi, ale ani myślał pozbywać się cennego bagażu. Szybko ocenił sytuację - napastnik nie był sam, zbliżało się jeszcze kilku innych, należało więc działać natychmiast. Wymierzył atakującemu lekkie kopnięcie w kolano, a gdy tamten puścił torbę i odchylił się, miał czas wyprowadzić precyzyjny cios w okolice skroni. Dla postronnego obserwatora uderzenie mogło wyglądać na muśnięcie, ale kłocowaty intruz zachwiał się i zatoczył. Egor wykorzystał chwilę i pod osłoną ciemności pobiegł wzdłuż ściany budowli. Wydawało się, że nikt go nie ściga.

Sosnowe bale pachniały żywicą, a w prześwitach pełgał blask pochodni, stamtąd też dobiegał zgiełk i śpiewy. Nadal posuwał się wzdłuż ściany, aż dotarł do wejścia. W środku na poustawianych rzędami ławach płonęły świece i walały się gliniane kufle. W pomieszczeniu podobnym do kościelnej nawy, którego powała ginęła w mroku, było



pełno ludzi. Gawiedź przepijała, rozmawiano głośno, aby przekrzyczeć gwar, co raz zdarzały się przepychanki, ale trwały krótko, bo słabszy zwykle salwował się ucieczką. Egor skoncentrował się. Musiał działać szybko, okolica najwyraźniej nie była bezpieczna.

- Tak, to jest kościół - odezwała się kobieta. Musiała być młoda, bo jej przekaz był delikatny i śliski, w smaku lekko gorzki, jak tonik. Wyczuwał, że nie potrafiła panować nad modulacją emocjonalną, a może nawet niezupełnie nad treścią wypowiedzi.

Rozejrzał się i zlokalizował ją w tłumie. Stała na podwyższeniu przy bębnekach, z których wydobywała rodzaj akompaniamentu, nie do nadawanego przekazu, lecz do zupełnie innych słów, wykrzykiwanych w niezrozumiałym języku. Wyrzucała je z siebie dyszkantem, wyraźnie ponad wokalne możliwości, ale i tak nie udało jej się przekrzyczeć tłumowi. Mało kto próbował słuchać, nawet najbliżej stojący nie okazywali szacunku ani dla niej samej, ani dla liturgicznej szaty o złożonych lamówkach.

Spojrzała na niego ukradkiem i znów dopłynął przekaz jak chłodny powiew, smuga gęstego powietrza, pachnącego migdałami i wanilią. Przesłanie okazało się intymne i przesadnie szczere w swej prostocie, przy tym zastanawiająco wyraźne. Profil wyznania był typowy dla rozmarzonych dziewcząt i porzuconych kobiet, u których poziom endorfin opadł poniżej progu ukojenia. Odruchowo wyprostował się i wypiął pierś.

Namierzył pozostałych, ale spośród tych, którzy wysyłali przekazy, większość zajęta była swarami o wygraną w karty, o następną kolejkę piwa i podobne sprawy, a inni leżeli pod ławami, spici do nieprzytomności. Tło przestrzeni Amicisa zasadniczo wypełniały przekleństwa albo jednostajny niekontrolowany bełkot, podobny do szumu ciekącej wody. Sprawa była oczywista - tych ludzi nikt nigdy nie uczył komunikacji, a wiadomo, że spontaniczne ułożenie czytelnego przekazu należy do rzadkości i musi iść w parze z talentem. Zorientował się, że chyba nikt z tutejszych nawet się nie domyśla, w jakie możliwości jest wyposażony - około połowa "gaworzyła", ale najwyraźniej nikt ich nie odsłuchiwał. Poza tym, wszyscy byli zasiedleni w stopniu trudnym do wyobrażenia, zarówno przez płaszczyki, jak i stymule.

Podszedł bliżej do muzykującej kobiety, klucząc między ławami i

przekraczając ciała pijanych. *Przynajmniej trafiła się ładna dziewczucha, więc historia będzie trzymać się kupy.* Obserwowała go z rosnącym zdumieniem - w tym świecie rzeczywiście musiał wyglądać cudacznie w swoim czarnym płaszczu, zarzuconym na obcisły, błyszczący kombinezon. Ale tak właśnie miało być.

Jego atutem było zaskoczenie. Zdecydowanym krokiem wszedł na podium, chwycił dziewczynę za ramiona, pochylił się i przycisnął jej czoło do swojego. Tym razem za pomocą zwykłego zmysłu węchu stwierdził, że mycie włosów nie należy do tutejszych tradycji, i że raczej nacierają je olejkami roślinnymi. Kobieta nie wrywała się, choć musiała odczuwać mrowienie lub chłód, gdy ładował swój translator. Była napięta jak uchwycony ptak, jej czoło parzyło, oddychała szybko i nierówno. Już prawie zakończył skanowanie, gdy zarejestrował niebezpieczeństwo, ale szkoda mu było przerywać, bo tak mało brakowało do końca. Chwycił więc dziewczynę w pasie i wykonał szybki półobrót, przesuwając się wraz z nią o metr w bok.

Ułamek sekundy później masywny dzban przeleciał tak blisko, że aż zawarczało rozrywane powietrze, i rozbryznął się na podłodze z hukiem eksplodującego granatu. Na szczęście, w tej krainie prawdziwych granatów nie musiał się obawiać.

Coś tam urwał z przepisywanego materiału, jakieś dziewczynskie wspomnienia, decyzje o kapłańskiej służbie, a na końcu ciemne obrazy i wyznanie winy. Nieważne - niezbędny zestaw informacji już miał, więc przerwał kontakt i lekko odepchnął dawczynię. Był gotów. Według teorii prakseologii dywergentnej, którą uznał za swoje życiowe credo, od wylądowania na Planecie Żniw do tej chwili zajmował się studiowaniem ofert. Teraz wreszcie mógł zacząć działać.

Odwrócił się w kierunku, z którego nastąpił atak. Intruz był tym samym człowiekiem, który przed kwadransem napadł go na zewnątrz: zwalista postać, prostokątna twarz dołem wysunięta jak szpadel, włosy niby kępa zeszłorocznej trawy. Gdyby wściekłe spojrzenie mogło wysysać krew, z Egora pozostałby suchy, przeświecający zewłok. *Ciekawe, co mu zrobiłem, że tak się spienił? Wszak jedyna moja przewina to obrona w zakresie niezbędnie koniecznym. Cóż, każda grupa plemienna ma ludzi, przed którymi lokalne tabu zakazuje nawet obrony. Dobrze, że wszystko będzie rejestrowane.*

Wtedy Egor popełnił pierwszy poważny błąd na Planecie Żniw. Spojrzał w górę, tam, gdzie pod powałą i jeszcze wyżej, na ciemnym niebie, unosiły się Oczy Dowodowe, dla tubylców równie niewidoczne jak oczy Boga. Pragnął im przekazać, że już za chwilę rozwali łeb temu oto osiłkowi, i że nikt nie będzie w stanie pociągnąć go za ów czyn do odpowiedzialności, po prostu - chciał im zagrać na nosie. Uważał, że mały komediancki geścik powinien ubarwiać każdą poważną akcję, jednak tym razem za tę radochęomal nie zapłacił najwyższej ceny. Zlekceważył przeciwnika, który co prawda nie miał w ręku niczego twardego ani ostrego, był za to niewiarygodnie szybki i silny. Gdy Egor w końcu opuścił głowę i unióś ramiona do gardy, było za późno - wokół wybuchły tysiące iskier. Potem długo leciał, zanim na kamienistej podłodze umościł sobie przytulne legowisko, skąd za nic nie miał ochoty się ruszać. Drugi cios o podobnej sile czy umiejętności kopnięcie z pewnością dokończyłoby dzieła, na przykład przetrąciło mu kręgosłup, i oto w tak kretyński sposób byłby zakończył karierę, a przy okazji barwny żywot. Niespodziewany ratunek przyszedł od kapłanki.

- Zatrzymaj się, zostaw! - krzyknęła i zasłoniła go, ale sponiewierany Egor odebrał jej akcję wyłącznie jako namolne zakłócanie spokoju. Rozumiał każde słowo, translator działał znakomicie, lecz zdecydowanie wolał jej głos w przekazie Amicisa, bo wtedy sprawiał wrażenie dotyku śliskiego jedwabiu, a przede wszystkim był cichszy. I tak ciekawie pachniał. - Totgeb, ty idioto - piszczła niewiasta - on może być... wysłannikiem!

- Z drogi, suko! Uważaj, bo porwę w kawałki ten twój złocony kaftanik, i okaże się, że masz kudły jak wilkołak!

Egor skupił się z całych sił. *Ona potrzebuje pomocy, żeby pomóc tobie.* Potem spróbował to samo powtórzyć szeptem, lecz rezultat był kiepski. *Twoja głupia nonszalancja zgubi cię prędzej czy później. Naucz się wreszcie, że miejscowi wymagają respektu.*

W czasie, gdy tamtych dwoje stało naprzeciw siebie, udało mu się opanować oddech, potem wyregulował pracę serca, okiełznał zbuntowaną wątrobę i ściśnięty żołądek. Z mózgiem nie było specjalnych problemów, bo tam działał bazowy ośrodek awaryjny, który w krańcowych sytuacjach umierał ostatni. Na razie funkcjonował bez zarzutu i dzięki niemu Egor usiadł, krzywiąc się niemiłosiernie, a potem

pomasował zdrewniałą połowę głowy. Widział podwójnie, ale obrazy, czerwony i zielony, powoli dążyły sobie na spotkanie. Teraz każda sekunda była cenniejsza od reszty wszechświata, tym bardziej, że kapłanka w końcu odstąpiła, widocznie przestraszyła się grózb, albo uznała swą misję za skończoną, skoro jej kandydat na wysłannika zdążył się ocknąć. Za to Totgeb - to nazwisko lub ksywę odszukał w zeskanowanym materiale - znów sposobił się do szarży.

Egor położył obie dłonie na potylicy. Poczł przepływ ożywczych impulsów, ale to nie wystarczyło. Musiał zyskać jeszcze kilka minut.

- Poczekaj, Totgeb - wykrztusił, kierując ku niemu otwartą dłoń. - Spróbujmy układów.

Tamten wyhamował i rozdziawił gębę, pokazując koślawe i zepsute zęby, a potem roześmiał się, unosząc twarz na płask w stronę powały. Najwyraźniej zrozumiał, a więc translator działał bez zarzutu, w obie strony.

- A po co? Tylko patrzeć, jak urwę ci ten łeb i wezmę, co już przecie moje!

- Możesz dostać dużo więcej niż taką małą torbę. Juki zostawiłem w lesie.

Nastąpiła błogosławiona przerwa, widocznie jego przeciwnik podjął trud myślenia. Egor kontynuował:

- Wobec tu obecnych wyzywam cię na turniej rzucania nożem do celu. Wygrasz, bierzesz wszystko, co mam. Przegrasz, płacisz dwa złote dukaty.

Nie był pewien reakcji, bo za mało miał czasu na socjokwerendę zapisu, praktycznie nie miał go wcale. Za to zyskiwał punkty u wielebnych Oczu Dowodowych.

Jednak nie trafił najlepiej, bo Totgeb się obruszył. Splunął na wykładaną kamieniami podłogę.

- Dawaj co masz, kundlu i przybłędó, nie będziesz mi tu stawiał warunków. Jak wolisz żelazo, to wraz będziesz kwiczał niby szlachtowany wieprzek. A rzucaniem do kukieł u nas bawią się tylko gówniarze!

To mówiąc wyciągnął sztylet, pogięty ale wywecowany, i przez sekundę lub dwie ważył go w dłoni, po czym raptownie wyrzucił ramię do przodu, jakby wyprowadzał cios rapierem. Ostre żelazo przecięło

powietrze, mknąc w kierunku szyi Egora, lecz ten był już gotowy. Uzbierał dosyć cennych sekund, aby uratować życie.

\*\*\*

Najwięcej niewiadomych kryło się w skorupie. Nie znał struktury i rodzaju materiału, z jakiego została sporządzona, a więc mógł zaledwie oszacować jego twardość, sprężystość i wytrzymałość. Jeśli rozpęknie się od razu, z powodu skazy albo - co byłoby równie fatalne - jak gruda zleźącej gliny, jego los będzie przesądzony, a gdy rozleci się z opóźnieniem, uratuje skórę, choć nie uzyska planowanego efektu. Nie pozostało nic innego niż zaryzykować.

Ułamek sekundy wcześniej wymacał na podłodze półkolistą stłuczkę, pozostałość po dzbanie, który już wcześniej był dla niego przeznaczony, i uniósł ją w kierunku nadlatującego ostrza. Potrafił odpowiednio ustawić ten kawałek skorupy, po prostu wiedział, jak to zrobić. Takie fenomeny zwykle tłumaczy się doświadczeniem, praktyką, a więc tysiącem cierpliwych prób, albo zdolnością do intuicyjnego rozwiązywania tych wszystkich równań różniczkowych, które również ma do pokonania koszykarz, z odbicia lokujący piłkę w środku kółka. Jednym słowem, gdyby dzban składał się z dobrze wypalanej gliny, nóż powinien odbić się dokładnie tak, jak trzeba.

Gdy brzeszczot zderzył się z powierzchnią skorupy, rozległ się głęboki, wibrujący dźwięk. Doskonale! Ale zaraz potem zgrzytnęło i bryła rozpadła się z odgłosem uderzenia kilofa o ziemię. Mimo to sztylet zdążył odbić się we właściwym kierunku, choć bez tej finezyjnej precyzji, której chciał Egor. To musiało oznaczać nowe kłopoty.

Nóż wrócił do Totgeba i trafił go w szyję, ale zamiast wbić się czysto i precyzyjnie, obrócił się, jak to z rykoszetami bywa, i rozharatał osiłkowi tchawicę, na szczęście nie naruszając pozostałych życionośnych pni tętniczych, kostnych i nerwowych. Tak przynajmniej wyglądało na pierwszy rzut oka.

Egor działał w zakresie dopuszczalnej obrony własnej i był tego w pełni świadomy, jednak natychmiast poderwał się, aby nieść pomoc. Kodeks pangalaktyczny generalnie zalecał taką reakcję, choć wobec

potencjalnych zabójców bezwzględnie jej nie wymagał. Jednak najpiękniejsze było co innego: paragrafy bez jakiegokolwiek naginania pozostawały w cudownej harmonii z jego przedsięwzięciem! Takie przypadki określał na własny użytek jako Rezonans Szczęścia, a w trakcie ich realizacji doznawał najprawdziwszego, bezwytryskowego, chińskiego orgazmu.

W dwóch susach dopadł Totgeba i ogłuszył go uderzeniem w czoło, żeby nie przeszkadzał w akcji ratunkowej. To również było zarówno dopuszczalne, jak i - nie da się ukryć - przyjemne. Egora rozsadzała energia, był lekki i radosny, bo całkowicie doszedł do siebie, a zdarzenia biegły jak należy. Pulweryzatorem kapsułkowym, schowanym pod paznokciem, zatamował krwotoki, a do wyrwy w ścianie tchawicy przytknął skrawek pseudointeligentnej tkanki, przypominającej z wyglądu kawałek brudnego płótna. Odbudowa zachodziła prawidłowo, ziarniste grudki komórek incognito mrowiły się i wrastały w postrzępione brzegi tchawicy, specjalizując się i przekazując impulsy ku środkowi rany. Próbował wykonywać zabiegi możliwie dyskretnie, ale znał prawo i wiedział, że w celu ratowania życia dopuszczalne było przeprowadzanie w sposób jawny nawet najnowszych procedur medycznych. Z drugiej strony miał pewność, że tubylcy nie są w stanie odróżnić prezentowanej przez niego technologii od czarnej magii. Och, co oni mogą wiedzieć o magii...

Rozpłatanę gardło spryskał antybiotykiem, skórę naciągnął i zszył półautomatyczną mikroigłą, którą wystarczyło naprowadzić na skraj rany. Zabieg zakończył rytualnie: popluł i wytarł skrzepy rękawem. Nie swoim, Totgeba.

Miał za sobą ważny etap - w oczach miejscowego ludu z przybłądy przeistoczył się w groźnego maga. Ludzie tłoczyli się, żeby go obejrzeć, ale ze strachem cofali się, gdy spojrzał w ich kierunku. Aby wzmocnić efekt wstał i zawiąnął połami płaszcz. Czuł się już zupełnie normalnie, ale na wszelki wypadek wzmocnił działanie stymulatorów. Niebawem odpokutuje za rabunkową eksploatację organizmu, ale takie przypadki były wkalkulowane w ryzyko zawodowe.

\*\*\*

Wskoczył na stół starając się, żeby jego ruchy były sprężyste. Precyzyjnym kopnięciem oczyścił blat, zwalając na klepisko gliniane kufle, po czym uniósł rękę i powiódł wzrokiem po ciżbie. Zapadła cisza, zaprzestano nawet pokasływania i szurania buciorami. Wtedy bardzo powoli rozwinął bicz ze skórek grzechotników i zawinął nim nad głową. Ludzie odstąpili, popychając się i depcząc sobie po nogach.

Skupił się. Niektórzy spośród zawodowców mówili o wchodzeniu w trans, ale on wolał mniej magiczne określenia, ponieważ był zdania, że każdą magię można zracjonalizować, gdy nauka spenetruje odpowiednią niszę. Efekt medytacji był natychmiastowy - zobaczył, jak roje zaniepokojonych berserkerów poruszały się w takt wahadłowych ruchów bicza, niby ryby w fali przyboju. On sam nosił kilka symbiotycznych płaszczaków, ale panował nad nimi całkowicie, jak łowca nad swoją sforą. Te tutaj zasiedlały ludzi do granic możliwości, po kilkanaście sztuk na jednego, aż wzajemnie zaczynały się zjadać. Paskudny, obrzydliwy tłok.

- Piwa! - rozkazał. Ponieważ nikt się nie kwapił z posługą, wskazał na jakąś tęgą kobietę, ale ta tylko wytrzeszczyła na niego oczy, jakby zobaczyła gadającego światek. Umorusany dzieciak, który wyplątał się spod jej kiecki, puścił się w stronę beczki, ale zanim wrócił, zbliżyła się kapłanka, trzymając pełne naczynie.

- Weź, panie - nadała przez przestrzeń Amicisa. Wciąż nie wiedział, czy potrafiła robić to świadomie.

- Dla ciebie jestem Egorem - pouczył ją w zwykłej mowie, starannie dzieląc słowa. - Dla innych - obwieścił głośno, zwracając się do tłumu - będę Egzorcystą. Przybyłem tutaj, aby wypędzić z was szatana, zło i chorobę! Plagi, przed którymi nie potraficie się bronić, drążą was od środka jak robaki zjadające owoc, a przy tym popychają do podłych uczynków. Przybyłem, aby wam pomóc!

Doskonale wiedział, że taka przemowa ledwie wystarczy za wstęp. Ludzie patrzyli spode łba, bo, jak wyczytał w materiale zeskanowanym od kapłanki, w przeszłości wiele obietnic i gróźb spływało z ambony, ale mało która się spełniła. Gdy Czarny Zorg w końcu zabił kapłana i zabrał jego dukaty, obiecano im straszliwą karę, ale niebiosy nie chciały zionąć ogniem, a Zorg do dziś żyje spokojnie i w dostatku. Potem już mało kto

słuchał kapłanki, i prędzej czy później podzieliłaby zapewne los poprzednika i męża, gdyby jak on zbierała dukaty na ofiarę. Więc czemu mają słuchać tego dziwaka i przybłądy? Owszem, pokonał Totgeba, ale właściwie Totgeb sam zranił się nożem, który odbił się od stłuczonego dzbana. Całkiem niezłe cacuszka ma ten przybysz w swoich torbach, ale co on jeden może przeciw wszystkim?

Egor czytał w ich myślach, bo wielu potrafiło nadawać. Robili to bezwiednie i niezgrabnie, ale wystarczająco czytelnie. Potrzebowali widowiskowej demonstracji, i to natychmiast.

Wziął z rąk dziewczyny kufel i chlusnął piwem na głowę Totgeba. Tamten prychnął, zakaszłał i przetaił oczy. Chwycił się ławy i próbował wstać, aż poczerwieniał z wysiłku. Żył na szyi nabrzmiały, świeżo zszyta skóra napięła się niebezpiecznie, ale wytrzymała. Pierwsza próba nie wyszła, opadł na ziemię, dopiero za drugim razem dźwignął się i oparł o blat stołu. Nie mógł pamiętać, co się stało, więc za wszelką cenę chciał kontynuować walkę. Najpierw spróbował przewrócić stół, a gdy nie starczyło mu sił, rzucił się na dechy, aby chwycić przeciwnika za nogę.

- Oto widzicie człowieka, podobnego wściekłemu psu - przemawiał Egor, uchylając się przed atakami. - Najpierw chciał mnie obrabować, chciał zabrać moją własność... - Zawiesił głos, bo odzew słuchających nie był taki, jakiego oczekiwał. Po chwili już wiedział: porządek dziobania. W tych okolicach zabieranie słabszemu było równie dobrym sposobem na przeżycie jak choćby wybieranie jaj z ptasich gniazd. Kto sam nie potrafił się obronić, przegrywał. Cóż za wspaniały, na wskroś naturalny porządek rzeczy! Właśnie w takich krainach dawny Ptasznik, a obecny Egzorcysta, czuł się najlepiej.

Szybko przeszukał źródłowy materiał i już wiedział, jak kontynuować rozgrywkę. Każdy sąd uzna, że odrobina fikcji była niezbędna do koniecznej samoobrony.

- Przybyłem do was jako namiestnik arcykapłana, który wyposażył mnie w wysokie pełnomocnictwa - zawiesił głos i poczekał, aż opadnie hałas - i abym mógł wykonywać swoją powinność, powierzył mi święte przedmioty. Każdemu chyba wiadomo, czym może się skończyć zawłaszczenie przez niepowołanych choćby jednego z nich?

Wtem przerwał mu tubalny głos.

- A czym takim, włóczykiju? Kapłańskie gadki są tyle warte, co



szemranie wody w rynsztoku, i tyle samo z nich wynika. Jak Totgeb nie weźmie twoich błyskotek, wraz będą moje, bez pytania jakiegoś arcykapłana o przyzwolenie!

Szybko zlokalizował mówiącego. Był znany w tej społeczności, i kapłanka szczęśliwie sporo o nim wiedziała.

- Ty jesteś Gelof i masz dwie żony: Een i Onze, i kochankę, której imienia nie wymienię, i dziewięcioro dzieci. Jesteś zabijaką i łotrem, choć niektórzy zwą cię dzielnym wojownikiem. Wszyscy się ciebie boją, nawet... - Ugryzł się w język. Tę kartę trzeba zostawić na później.

Grubokościsty dryblas przepchnął się przez tłum, dobywając z sakwy niewielki, zdobiony plecionką łuk.

- Więc spróbuj się ze mną, włóczęgo, szpiegu i czarownika, jeśli należysz do tych, co się nie boją, a wnet zobaczymy, kto będzie górą!

Odsiecz znów przyszła z najmniej spodziewanej strony.

- Wara od niego, Gelof, on ci mój od początku - warknął Totgeb, dźwigając się ze stołu. Dryblas odstąpił, pochylając z szacunkiem głowę.

- Pokój z tobą, Totgeb. Tylko mówiłem, że pozostaję w oczekiwaniu.

Egor zaśmiał się.

- Każdy chętny będzie miał okazję spróbować, to mogę obiecać.

Z tłumy nadal odbierał oznaki niewiary i pojedyncze szyderstwa, ale jego akcje stały teraz nieco wyżej. Wyczuwał rosnące napięcie, biorące się z oczekiwania. Nadszedł czas na kolejną demonstrację.

Chwytał Totgeba za ramiona i wciągnął na stół, a potem postawił, stosując wypróbowaną dźwignię *hosi-whung*. Osilek szarpnął się, ale zaraz spotulniał, bo zaczęło mu brakować powietrza. Egor zakręcił biczem i skórki grzechotników utworzyły wokół nich syczącą pętlę. W odpowiedzi płaszczyki natychmiast zafalowały i podeszły do gardła. Swoje uspokoił w analogiczny sposób, w jaki potrafił spowalniać rytm serca, ale te, które roiły się w Totgebie, podrażnił jeszcze bardziej, spuszczać mężczyźnie biczysko na plecy. *Quasi*-materia symbiontów tak mocno napierała na tchawicę, że Totgeb zaczął się dusić. Chwytał i gniół własną szyję, próbując usunąć z niej uciskający ciężar. Wtedy Egor sięgnął wolną ręką do słoiczka z ambrozją i rozmasał mu na grdyce odrobinę tego prostego, ale skutecznego związku chemicznego. Na to jeden z berserkerów nie wytrzymał i wyskoczył, zaraz potem w jego ślady poszedł drugi. W odmiennym świecie były początkowo zagubione i

bezradne, więc Egor z łatwością zagonił je pod ławę, gdzie umieścił kolejną przynętę z ambrozji. Oba płaszczyki, ledwie widoczne półprzejryste cienie, przypadły do atraktantu, wchłaniając jego pojedyncze cząsteczki. Wykonywały przy tym swój zwykły taniec, spowalniając ruchy jedynie przy przenikaniu przez zwykłą materię.

Na szyi Totgeba pojawiły się wiśniowe pręgi w miejscach, w których przez ciało przecisnęły się symbionty, co było normalne przy tak gwałtownej interakcji z *quasi*-materią. Trzeci płaszczyk wyskoczył jeszcze szybciej, a na skórze pokazała się rosa z drobniutkich kropelek krwi. Berserker, wijący się u dłoni Egora, był stosunkowo dobrze widoczny - spłaszczony przy ogonie węgorz, utkany z półprzejrystej, szarej mgły.

- Przyjrzyjcie się dobrze! - krzyknął, unosząc ramię z wijącym się stworem, uczepionym palców jak olbrzymia pijawka. - Takie robale żyją w każdym z was! Zjadają wasze dusze, serca i mózgi, a potem biorą się za płuca i wątrobę!

Gdzieś pod powałą rozpałało się zieloną poświatą rozbudzone Oko Dowodowe.

- Wiadomo na pewno, że wzmagają agresję - sprecyzował pospiesznie. - Ich pozostałe funkcje wciąż są badane przez arcykapłana.

Oko przygasło, a po kilku sekundach jego blask stał się niewidoczny. Nikt z tłumu niczego nie zauważył, wszak nie dla nich przeznaczone były takie sygnały, za to wszyscy wpatrywali się w szyję Totgeba, bo stamtąd czarownik-przybłęda wydobył robaki utoczone z dymu. Ludzie jak zobaczyli, to uwierzyli. Egor zostawił Totgebowi dwa płaszczyki, a resztę zagonił pod ławę. Te głupiutkie zwierzęta poza ciałem żywiciela były zupełnie niegroźne, a odrobina ambrozji absorbowowała ich uwagę na całe tygodnie.

Zwolnił chwyt, a potem puścił przeciwnika. Totgeb zachwiał się, ale zaraz złapał równowagę. Wyglądał coraz lepiej, na twarz wracały kolory.

- Czy masz jakieś życzenia, ozdrowieńcu? - badał Egor. Nie był pewien, czy dwa berserkery to nie za dużo wobec miejscowego ilorazu inteligencji i poziomu świadomości.

- Nie, niczego mi nie brakuje, namiestniku - odpowiedział spokojnie.

- A może chciałbyś coś wyjaśnić? - Zaryzykował.

- Nie... to znaczy tak. Poprzednio.. nie przyjąłem cię odpowiednio do

rangi, namiestniku. - Widać było, że wypowiedzenie tych słów nie przychodzi mu łatwo.

- Rzeczywiście, bywałem lepiej przyjmowany. Ale wybaczam ci, bo nie byłeś w pełni panem swojej woli.

Totgeb pochylił głowę i trwał tak przez chwilę, po czym oświadczył:

- Gdybym był potrzebny, wystarczy zawołać. Czy mogę odejść?

- Tak, jesteś wolny.

Mężczyzna zeskoczył na ziemię i pospiesznie wmieszał się w tłum.

Ludzie byli niespokojni, rozglądali się i rozmawiali, gestykulując. Odważniejsi przepychali się, żeby zajrzeć pod ławę i obejrzyć berserkery. Niektórzy z nich dostrzegali coś podobnego do smug rzadkiego dymu, snujących się wokół plastra miodu - tak później opisywali innym to, co zauważyli.

Sytuacja rozwijała się w dobrym kierunku. Teraz należało przyspieszyć bieg wypadków.

\*\*\*

- Gelof!

Wywołany bez zwłoki przepchnął się przez pierwsze szeregi, odgarniając włosy.

- Jestem, człowieku. Totgeba zdołałeś otumanić diabelskimi sztuczkami, ze mną nie pójdzie tak łatwo.

Egor lustrował go. Nosił skóry, na ramieniu miał sakwę z łukiem, pod wierzchnim odzieniem chował kupę żelastwa... ale coś było nie w porządku. Ręce? Chyba nie, bo swobodnie opuścił je wzdłuż tułowia. Zbliżali się w kilku? Raczej nie, bo ludzie odsuwali się, bali się. Ten jego wzrok... Coś działo się z oczami tego człowieka, które pracowały, podczas gdy tułów pozostawał w biernej gotowości. Może próbował hipnozy?

Egor zeskoczył ze stołu w bok, żeby mieć przed sobą więcej miejsca, a spojrzenie Gelofa pobiegło za nim, potem wróciło i znów się przesunęło, ale wolniej. No tak, sprawa była jasna. Cofnął się pół kroku, a gdy szklany wzrok Gelofa zawisł nad jego ramieniem, odskoczył i jednocześnie odwrócił się, akurat na czas, aby uchwycić i wykręcić opadającą na niego rękę z nożem.

Atakujący był dosyć podłej postury, więc po sekundzie leżał na ziemi, a zwycięzca kołysał nad nim sztyletem, trzymając go dwoma palcami za ostrze.

- Gelofie, czy nadal chcesz ze mną walczyć?

Lecz Gelof, kozioł równie głupi jak uparty, już nakładał strzałę. Egor zawinął batem, lecz nie trafił - sznur gadzich skórek zasyczał i smagnał jakąś młodą dziewczynę, która wrzasnęła z bólu i strachu. Dopiero przy drugiej próbie koniec biczyska owinął się wokół drzewca łuku i wyrwał broń z ręki strzelca. Wypuszczona jednocześnie strzała bzyknęła w bok i z jękiem wbiła się w ścianę.

Berserkery Gelofa, i tak niespokojne, po tym jak wężowe skóry dotknęły piersi ich gospodarza, oszalały i zablokowały mu tchawicę. Potem, gdy wyczuły zniewalający zapach ambrozji, wymykały się po kilka naraz i uchodziły w chłód zewnętrznej przestrzeni. Tam świeciło małe słońce, tak aromatyczne i smakowite, że można byłoby spędzić w jego pobliżu całą wieczność.

Gdy Egor wywabił płaszczyki Gelofa i jego pomocnika, pozostawiając im po jednej sztuce, ich psychopatyczno-agresywne skłonności skokowo zanikły. Odeszli w pokoju - nożownik uciekł, a łucznik postanowił odpocząć na bocznej ławie modlitewnej. Jak zwykle, metoda deberserkeryzacji dawała spektakularne rezultaty i w pierwszym przybliżeniu mogłaby zostać uznana za panaceum na bóle społecznej współzycia. Rozważanie efektów ubocznych nie leżało, zwłaszcza w tym momencie akcji, w interesie Egzorcysty, szczególnie że Oczy Dowodowe pozostawały przyzwalająco przymknięte.

\*\*\*

Ktoś od dłuższej chwili śledził bieg wydarzeń i teraz uznał, że pora wkroczyć do akcji. Egor doskonale wiedział o istnieniu tego człowieka i oczekiwał jego wejścia do gry.

- Witaj w naszym kraju, namiestniku arcykapłana!

Stał przed nim młodzieniec wyglądający na lokaja. Nie nosił broni, a jego błyszcząca od tłuszczu broda była starannie uczesana. Egor skinął głową.

- Gubernator prowincji, baron van Vragen, pragnie cię widzieć, Egzorcysto.

- Jestem zaszczycony.
- Więc pozwól za mną, panie.

Lokaj prowadził, a tłum, który niechętnie się rozstępował, natychmiast po ich przejściu ponownie napierał, przybliżając się do dziwnego przybysza. Każdy chciał go obejrzeć, wiele rąk wyciągało się, aby dotknąć gładkiej materii kombinezonu, widział twarze pełne napięcia i ciekawości. I chociaż niektórzy uśmiechali się, wyczuwał wszechobecny lęk, wzmocniony spontanicznymi przekazami w przestrzeni Amicisa. Musiał odizolować się przez koncentrację, aby nie ulec przypadkowym interferencjom. *Tak, moi drodzy, niezadługo przyjdzie wasz czas. Zabiorę wam tylko tyle, ile muszę. Przybyłem do waszego świata, bo kolekcjonuję łzy gniewu i radości, oto mój sekret.*

Spojrzał w górę - to był odruch, coś w rodzaju zawodowego tik. Na szczęście Oczy Dowodowe nie potrafią czytać w myślach, a gdyby nawet zostały aż tak udoskonalone, nigdy nie zrozumieją poezji. A jeśli kiedyś i to nastąpi, nadejdzie ostatni dzień ludzkości.

Stał przed baronem van Vragenem.

- Wyraź szacunek gubernatorowi, namiestnikowi - podpowiedział szeptem młodzieniec. Po jego pobludłej twarzy spływał pot. Biedak bał się, bo żaden protokół nie pasował do tego spotkania.

Jednakże do ceremonii nie doszło. Gubernator, człowiek w średnim wieku o bystrym wejrzeniu, już szedł ku niemu z uśmiechem przyklepionym do twarzy. Z tła chóralnego przekazu wprawnie wyłowił ten właściwy, a myśl władcy można było trywialnie opisać zdaniem: *zobaczymy, coś ty za jeden, cwaniaczku.* Zdwoił więc ostrożność, bo takie zainteresowanie u lokalnych watażków często stanowiło wstęp do próby żelaza.

Połączyli dłonie, po dwie naraz, i uścisnęli je. Egor uważał, żeby jego ręka znalazła się na wierzchu, obserwował też stojących w pobliżu zbrojnych. Nic jednak nie wskazywało na zasadzkę, co wszakże nie wykluczało sytuacji, że została obmyślana szczególnie starannie. Niezwykłe przygotowania dla niezwykłego gościa, to by nawet pasowało. Z drugiej strony pokazał już kilka sztuczek i zademonstrował swoje możliwości, więc na tym etapie logiczne byłoby ostrożne badanie, a najbardziej prawdopodobne bezpośrednie przejście do interesów.

- Jestem szczęśliwy, że właśnie mnie przypadł w udziale zaszczyt

goszczenia namiestnika arcykapłana - zapewnił van Vragen, zachowując oficjalny ton. - Dobrą miałeś podróż, panie?

- Witam ciebie, gubernatorze van Vragen, i cały lud tej ziemi. Jestem rad, że właśnie do was przybyłem, i dziękuję za życzliwe przyjęcie. Podróż między światami była długa, ale liczy się to, że osiągnąłem cel.

- Czy wolno mi będzie ofiarować namiestnikowi skromny poczęstunek?

- Będę prawdziwie zaszczycony.

W asyście lokajów i zbrojnych przeszli do niewielkiej dobudówki, będącej właściwie namiotem z luźno zawieszonych skór. Ława była zastawiona srebrnymi naczyniami, w których parowało mięsiwo. Wino podano w srebrnych pucharach.

Egor po raz kolejny pochylił głowę w ukłonie.

- Zaiste wspomniały to poczęstunek, ale wyliczyłem, że wciąż jeszcze obowiązuje mnie post podróżny. Zechciej wybaczyć, gubernatorze.

- Ależ oczywiście, nie wolno ci stracić mocy, rozumiem.

Spojrzał zdziwiony, ale na twarzy van Vragena nie dostrzegł ironii. Nastawił się na przekaz, ale nie zarejestrował niczego godnego uwagi. Czyżby ten lis potrafił opuszczać przestrzeń Amicisa? A może świadomie władał przekazem?

- Więc porozmawiajmy. - To mówiąc uniósł dłoń, a towarzyszące mu osoby opuściły namiot. Van Vragen obejrzał się. W kącie ktoś pozostał.

- Ty też, kapłanko - zażądał baron, zniecierpliwiony.

Egor stracił ją z oczu w zamieszaniu, wszak musiał uważać na siebie, ale dziewczyna przez cały czas pozostawała w pobliżu. Doskonale wyczuwał jej poczucie misji, ale także chłodny strach.

- Wyjdź, Elkaar - powiedział na głos starając się, aby odebrała jego sympatię. - Ale nie odchodź daleko, proszę.

Podniosła wzrok, zdziwiona. Jej wargi zadrżały, lecz zamiast odpowiedzi nadała wyraźnie:

- Naprawdę mam wyjść?

Skinął głową i uniósł dłoń w uspokajającym geście. Jeśli van Vragen przechwycił jej przekaz, nadal nie będzie wiedział, czy przybysz potrafi nadawać i odbierać.

Kapłanka podniosła kraj swojej liturgicznej szaty i wyszła. Zapadła cisza, bo warstwy niedźwiedzich skór stanowiły dobrą izolację.

- Skądkolwiek przybywasz, dobrze, że trafiłeś do naszej krainy - zagaił van Vragen przyciszonym głosem. - Interesuje mnie twoja metoda wypędzania zła, to jest coś, czego tutaj jeszcze nie było.

- Jestem zaszczycony...

- Daj pokój z tym protokołem, wszak nikt nas nie słyszy. Chcę, żebyś wypleniał zło, całkowicie i do końca, w starcach i niemowlętach, w mężczyznach i kobietach, we wszystkich. Pragnę, abyś powyrzucał te robale utkane z mgły z każdego z moich podwładnych...

- I z ciebie także, van Vragen.

- Ooo, dlaczego? Wolałbym...

- Tak musi być. Inaczej znów się rozpanoszą, zło jest zaraźliwe.

- Niech będzie. Więc zgoda?

Egor spojrzał na władcę tego kraju i uśmiechnął się, starając się ukryć rozbawienie. Van Vragen był szybki, w gorącej wodzie kąpany. Pragnął mieć wszystko już, od razu, chciał od jutra rządzić łatwo i bez intryg, bo był przekonany, że każdy grzecznie i posłuszenie spełni jego polecenia, a takie harde zakały jak Totgeb, Czarny Zorg czy Gelof przejdą do legend i okrutnych baśni. Na tym etapie rozgrywki Egor nie miał żadnego interesu w wyjaśnianiu, że brak agresji nie oznacza ślepego posłuszeństwa, natomiast ogólna bierność może stanowić społeczne źródło zupełnie nowych kłopotów.

- Przypuszczam, że się dogadamy - podjął ostrożnie. - Moje umiejętności stanowią najlepszy glejt, nieprawdaż?

- Miałem okazję podziwiać.

- Proponuję cenę dwóch złotych dukatów od każdego egzorcyzmowanego obywatela, niezależnie od płci, wieku i stopnia opanowania przez zło.

Baron nie odpowiedział, a jego wzrok znieruchomiał. Egor też zastygł w oczekiwaniu, mógł tak siedzieć godzinę lub choćby do rana. W jego zawodzie sztuka negocjacji należała do podstawowych umiejętności. Wreszcie van Vragen poruszył się i rozłożył ręce.

- Cóż, wypędzanie diabła musi kosztować, więc zgadzam się w imieniu mieszkańców okręgu, których reprezentuję. Każdy obywatel zapłaci jednego dukata, a niezamożni zaciągną pożyczkę w kasie gminnej i niezwłocznie ją odpracują, bo przecież przedtem pozbędą się swoich przywar. Jutro w obecności radców podpiszemy umowę. Co ma być

oficjalnym przedmiotem zlecenia?

- Wpiszcie jedno słowo: deberserkeryzacja. Jest to termin jednoznaczny i powszechnie rozumiany w społeczności pangalaktycznej.

- Dobrze. - Van Vragen podniósł się i wyciągnął rękę, aby przypieczętować transakcję. Przywołał urzędowy uśmiech, ale oczy nie brały w nim udziału, gdy dodawał: - Zaznaczymy też, że zapłata zostanie uiszczona po przyjęciu wyników pracy przez radę, która po oczyszczeniu wszystkich mieszkańców niezwłocznie zbierze się pod moim przewodnictwem.

Egor nie próbował wyswobodzić dłoni z lepkiego uścisku. Był zadowolony.

- Nie mam uwag, baronie.

- Namiestniku, jeśli potrzebujesz gościny...

- Nie, dziękuję.

- Tak przypuszczałem. Kapłanka Elkaar już trzeci rok jest bardzo samotna.

\*\*\*

Chodził od ogniska do ogniska i wypędzał z ludzi ich prastare symbionty, płaszczyki berserkery, utkane z podobnej do mgły *quasi*-materii. Nie wiadomo, które z nich zostały odziedziczone po rodzicach, a które przyleciały z otwartego kosmosu w poszukiwaniu żywicieli - liczyło się to, że były.

Egor prezentował się odpowiednio do wykonywanej czynności: wiatr rozwiewał połę jego czarnego płaszcza, targał włosami, a na piersi opiętej kombinezonem widniał emblemat, przypominający magiczne runy. Bicz ze skór grzechotników syczał jak żywy wąż, gdy smagał nim nadstawiane plecy i szyje. Ludziom oczy wychodziły z orbit, gdy płaszczyki w panice napierały na tchawice, a wtedy Egzorcysta łaskawie wyciągał dłoń z odrobiną ambrozji i wyprowadzał z nich symbionty. Strząsał je na ziemię, a potem magicznym batem zaganiał na wysepkę położoną pośrodku wzburzonej rzeki, przepływającej obok osiedla. Tam czekał na nie raj, bo skały posypane były ambrozją.

Słońce niedawno wzeszło i dzieci dygotały z zimna, ale dzielnie



ustawiały się w kolejkach, aby pozbyć się złych duchów. Mniejsze i bardziej odporne były ponaglone przez rodziców, a niektóre, wrzeszczące i wierzgające, musiano doprowadzić siłą. Po usunięciu symbiontów następowała gwałtowna przemiana - malcy uspokajali się, stawali się bierni, ale na ich twarzach pojawiał się wyraz niepokojącego uporu z domieszką bezradności. Najłatwiej poddawały się zabiegowi kobiety i dziewczęta.

Nie tylko dzieci miały wątpliwości. Starcy często byli przyprowadzani pod strażą pachołków van Vragena i dopiero po szturchnięciu pałką godzili się na oczyszczenie. Podobną niechęć objawiali młodzi mężczyźni, szczególnie typy agresywne, lecz nie mieli wyboru, gdy do pleców przystawiano im sztylet. Zastosowanie tego rodzaju argumentów nie przerywało snu Oczu Dowodowych, bo nie obchodziła ich przemoc w obrębie prymitywnych społeczności, a ogólnie akceptowały nawet najbardziej drastyczne zachowania usankcjonowane prawem lub obyczajem, jeśli ów w tych społecznościach zastępował prawo. Najostrzej tępione były przypadki bezpośredniego wykorzystywania przewagi w rozwoju technologicznym lub cywilizacyjnym do wyzysku jednostek lub grup społecznych, a więc Ptasznik-Egzorcysta z pełną świadomością podążał po linii, zawieszanej nad przepaścią.

Gdy słońce wskazywało południe, był gotów. To znaczy, niemal gotów.

\*\*\*

Kończył pracę przy ostatnim ognisku, roznieconym na wysokim brzegu rzeki, na samym skraju urwiska. Gdy oczyszczał z symbiontów kilkuletnią dziewczynkę, jej starszy brat ciekawie zaglądał mu przez ramię. Wtem chłopak stracił równowagę, zaczął wymachiwać rękami, po czym, aby nie upaść, chwycił się styliska bicz.

Egzorcysta sapnął gniewnie, wyrwał chłopcu magiczne narzędzie, a potem uderzył go w twarz. Odłożył bicz, chwycił przerażonego winowajcę za gardło i zaczął dusić, potrząsając wątłym ciałem i wykrzykując niezrozumiałe wyrazy. Kątem oka obserwował, co dzieje się dalej, i był zadowolony, co jednak nie przeszkadzało mu odczuwać

niesmaku. Zaiste, ta część pracy była naprawdę niewdzięczna.

Matka chłopca, jak wszyscy, miała pozostawionego tylko jednego berserkera, ale instynkt opiekuńczy nie potrzebował dużej stymulacji. Z fałdów spódnicy błyskawicznie wydobyła nóż i jak tygrysica rzuciła się dziecku na ratunek.

Egor dopuścił atakującą tak blisko, że poczuł jej oddech na szyi, i dopiero wtedy popchnął chłopaka w jedną stronę, a sam zanurkował w drugą, wymijając ostrze o włos. Rozpędzona kobieta uderzyła go kolanem w bark, przekoziółkowała i wyleciała poza skraj urwiska. Z krzykiem osunęła się ze stoku, kilka razy bezwładnie obita się o klif i wpadła do spienionego nurtu. Rzeka porwała ciało i uniosła przesmykiem między wyspą a wysuniętym skalnym nawisem.

Egzorcysta wyprostował się i obciągnął poły płaszcza. Był spokojny, bo według prawa nie musiał ratować tej kobiety. Został zaatakowany i jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

- Podniosła broń na namiestnika arcykapłana! - zawołał, potrząsając pięścią. Szmer głosów przycichł. - Oto kara, która czeka każdego, który waży się na podobny uczynek!

Zapadła cisza, tylko tu i ówdzie słyhać było przekleństwa. Ktoś zapłakał. Chłopak wyglądał za matką, niebezpiecznie przechylając się przez skraj urwiska. Siostra, która nie wiedziała, co się stało, odciągała go za koszulę.

- Co gagicie się jak durnie?! - krzyknął w kierunku kilku młodych mężczyzn. - Biegnijcie w dół rzeki i co żywo przynieście tu ciało!

Przed świtem dokładnie obejrzał meandry rzeki i wiedział, że zdążą, jak się pospieszą. Około stu metrów dalej skarpa obniżała się i można było zejść nad samą wodę. Tam znajdował się bród, lecz bystrzyna czyniła go bardzo niebezpiecznym. Jednak udało się. Po dłuższej chwili sponiewierane, ociekające wodą ciało młodej kobiety leżało u jego stóp. W zbielełej pięści wciąż ścisnęła nóż.

Z rozmachem, ale niezbyt mocno kopnął ją w klatkę piersiową, a potem nadepnął na nią szerokim buciorem. Te działania oczywiście nie mogły zaszkodzić, jeśli kobieta była już martwa, a gdyby życie tliło się w niej jeszcze, sędzia w procesie być może uznałby zabiegi za wstępny masaż serca, wykonywany w warunkach nietypowego zagrożenia, kiedy nie wolno było ani na chwilę tracić z oczu wrogięgo tłumu. Jednak tutaj i

teraz ludzie odebrali poczynania przybysza jako bezczeszczenie zwłok, i tak właśnie miało być. Rzucili się na niego, lecz pierwszych dwóch sprawnie powalił klasycznymi rzutami przez biodro, a trzeciego widowiskowo walnął w czoło, tak że biedak po efektownym przegięciu zwałił się do tyłu na trawę.

- Wara ode mnie, plugawe typy! - wrzasnął, czując niekontrolowany przyptyw adrenaliny. Odetchnął głęboko, regulując oddech i pracę serca. *Uważaj, stary, tobie nigdy nie wolno tracić zimnej krwi.* Tłum nadal się burzył, więc musiał zachować najwyższą czujność i sprawność.

Gdy opanował własny puls, szybkim ruchem wydobył unimed i przytknął ofierze do czoła, a potem do klatki piersiowej. Ryzykował, bo musiał przykucnąć, stając się łatwym celem ataku. Kobieta żyła, i co najdziwniejsze, diagnoza nie wykazała poważnych obrażeń wewnętrznych z wyjątkiem złamań dwóch żeber i kości podudzia. Opiła się wody, ale oddychała normalnie, a płuca były czyste, więc powinna wyjść z całej przygody bez większego szwanku. Co znaczy młodość!

- Zabierzcie ją stąd - zarządził, powstając. - Szybko!

Ci sami młodzi mężczyźni, którzy wydobyli kobietę z kipieli, podnieśli teraz bezwładne ciało. Niestety, udali się do świątyni. Tam Elkaar odprawia teraz poranne modły, więc zaraz każe zakopać ciało pod lasem, a na świeżej mogile położy biały kamień. Egor zaklął pod nosem. Nie chciał zostawiać trupów na swoim szlaku. Poza tym, każdy nieboszczyk oznaczał ciągnące się w nieskończoność procesy.

- Posłuchaj, mały - zagadnął półgłosem chłopaka, którego duszenie uprzednio pozorował. - Czy chcesz, żeby twoja mamusia żyła? Mów! - warknął i chwycił go za kaftan. Tamten wreszcie kiwnął głową. Jego oczy zrobiły się okrągłe ze strachu.

- Więc biegnij co żywo do medyka i poproś go, żeby zaraz poszedł do świątyni. Rozumiesz mnie? Wiesz, gdzie mieszka medyk?

Chłopiec powtórnie skinął głową i wstał. Rozejrzał się za swoją siostrzyczką, ale gdy zobaczył, że mała pozostaje pod opieką starszych kobiet, puścił się pędem pomiędzy chaty.

Egzorcysta westchnął i otrzepał płaszcz, po czym odwrócił się i odszedł, odprowadzany nienawistnymi spojrzeniami. Nieraz zastanawiał się, czy lubi swój zawód, i zawsze bez większego przekonania tłumaczył sam sobie, że mało kto kocha wykonywaną pracę, a żyć wszak z czegoś

trzeba.

Sięgnął do kieszeni, gdzie zaszeleścił pergamin umowy. Na jej dotrzymaniu przez zlecającego zależało mu mniej niż na kubku stęchłego cienkusa, serwowanego tutaj jako piwo.

\*\*\*

Przewidywał, że będzie miał czas do wieczora, a najprawdopodobniej nawet do jutrzejszego ranka. W osadzie takiej jak ta nie należało spodziewać się specjalnie szybkiego obiegu informacji.

Od tej chwili zewsząd mogło grozić niebezpieczeństwo, więc wzmógł czujność. Wahał się, czy nie włączyć inteligentnego szperacza, ale w końcu zrezygnował z tak silnej asekuracji. Ten młody świat był zbyt piękny w swojej archaicznej nostalgii, żeby niepotrzebnie zakłócać go technologią.

Zszedł na brzeg rzeki do brodu, gdzie wyłowiono krewką matkę. Zaledwie kilka metrów spienionego nurtu dzieliło go od wyspy, na której roiło się od berserkerów. Wprawnym okiem dostrzegał je, kłębki *quasi*-materii przemieszczające się chyżymi skokami, dziwne zwierzęta, potrafiące powoli zanurzać się w litej skale. Zostawił im tyle ambrozji, żeby starczyło na kilka dni - po tym okresie płaszczyki mogłyby zacząć rozpełzać się w poszukiwaniu nowych żywicieli. Był jednak przekonany, że starczy mu czasu.

Zdecydował, że nadeszła pora na zabezpieczenie sobie drogi powrotu. Było regułą, że w światach skatalogowanych jako przyjazne dla ludzi kilka kosmicznych koni znajdowało się w zasięgu przywołania, pozostając w stanie głębokiego snu lub letargu, ale Egor wolał nie powierzać swojego życia statystyce. Aby sprowokować odpowiedź zwierząt i w ten sposób je zlokalizować, spróbował zagwizdać specjalną techniką, ale zdołał wymodulować tylko skrzekliwy poświst. Zaklął pod nosem i pomyślał, że albo wychodzi z wprawy, albo tutejsze piwo zdecydowanie nie służy obcokrajowcom.

Sprawa robiła się poważna. Jego wierzchowiec, którym przyleciał, nie wystarczy do transportu, jeśli wyprawa powiedzie się pod względem komercyjnym. Nerwowo sięgnął do torby i wydobył etui chroniące

filigranowy flet, wykonany ręcznie w cedrowym drewnie. Cacuszko warte było majątek, w przeciwieństwie do wyłącznie użytkowych techgadżetów produkowanych seryjnie, jak unimed i cała reszta standardowego wyposażenia. Ustawił odpowiednio palce i na szczęście już za pierwszą próbą udało mu się wydobyć wysoki ton, modulowany w taki sposób, że wierzchołki wibracji ginęły w ultradźwiękach.

Odpowiedzią była cisza. Egor poczuł dotyk strachu, a krople potu z karku zaczęły spływać między łopatkami. Tak oto kończy się przedsięwzięcie realizowane według pozornie bezbłędnej koncepcji - następuje obciach z powodu głupiego niedopatrzenia, a właściwie trywialnego założenia...

Lecz wtem gdzieś spod wydm, pokrytych gęstwą sośniny, odezwał się pomruk pierwszego wierzchowca, wyrwanego z wiekowego snu, a zaraz za nim drugi odpowiedział od strony torfowiska. Jako trzeci zgłosił się jego homofilny biostatek, wciąż zakopany w glinie pod centralnym placem osady. Potem kolejno nadchodziły sygnały od innych, zajmujących siedliska w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. A więc wszystko było w normie, tylko nerwy chwilami zawodziły.

Nieprzywoływane zwierzęta w ciągu kilkunastu minut powtórnie zapadały w sen. Karmiły się energią promieniowania, grawitacji, a także wychytując związki chemiczne, rozpuszczone w przepływających wodach podskórnych. Ich procesów życiowych do dziś nie udało się dokładnie zbadać, lecz było pewne, że zaawansowaniem znacznie przekraczały technologiczne możliwości ludzi. W spoczynku aktywność układów nerwowych starhippów zmieniała się i jej intensywność niespodziewanie rosła, zupełnie jakby marzenia senne stanowiły główny cel życia tych stworzeń. Nie brakło teorii, że biostatki stanowią materialny, najniższy składnik obcej cywilizacji, spełniający rolę podobną do pojedynczych komórek ludzkiego ciała. Ta cywilizacja mogłaby wieść świadomy żywot na wyższych piętrach istnienia, nie mając najmniejszej chęci na kontakt z tak prymitywnymi rasami jak ludzkość. Dlaczego więc starhippy dawały się ludziom kierować? Może zbierały informacje, może było im zupełnie obojętne, gdzie się aktualnie znajdują, a może miały cel, którego i tak byśmy nie pojęli...

Ktoś dotknął jego ramienia, przerywając rozmyślenia. Egor skulił się i rzucił w bok, uciekając przed możliwym ciosem. Lecz cios nie padł. Gdy

podnosił się z piachu, zobaczył Elkaar, która nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Obawiasz się słabej kobiety, namiestniku, przybyszu z innych światów?

Wstał, otrzepał ubranie. Był zły, że dał się zaskoczyć.

- Jedna z tych słabych istot dopiero co o mało nie wypuściła mi wnętrzości - odparł. - Czy przyszedł do niej medyk?

- Tak. Powiedział, że wyżyje, jest młoda i silna. Powiedz, panie...

- Nazywam się Egor. Przynajmniej dla ciebie.

- Dobrze. Dlaczego jej to zrobiłeś, Egorze?

- Cóż, może powinienem dać się przebić?

- Uderzyłeś jej dziecko, potem chciałeś zadusić. - Spuściła głowę. - Dlaczego?

Wyprostował się, obciągnął płaszcz.

- Odpowiadam za relikwie, które pozostają pod moją opieką. Jeśli dotykają ich niepowołane ręce, święte przedmioty tracą moc - wyjaśnił. Przykładał się, aby przemawiać głosem kaznodziei.

- Ja staram się zrozumieć, ale ludzie... oni ci nie sprzyjają, Egzorcysto.

- Nie muszą. Nie ma czego zazdrościć tym, którzy mają misję do spełnienia. Nie martw się, dziecko, przywykłem.

Spojrzał w górę, ale niebo było puste.

- Jaki był twój mąż, kapłanko Elkaar? - Nie mógł powstrzymać się przed zadaniem tego pytania.

Przysunęła się i chwyciła go za rękę. Miała suchą, gorącą dłoń. Poczuł znajomy zapach olejków roślinnych i dawno niemytych włosów. *Pewnie można byłoby do tego przywyknąć.*

Nadawała bezładnie, w przekazie pojawiały się także myśli pełne okrucieństwa. Bił ją, poniżał? Nie chciało mu się rozwikływać tych neurastennicznych zbitek.

- Dlaczego pytasz, Egorze?

W jej głosie było tyle nadziei, że musiał się uśmiechnąć. Gościła go dzisiejszej nocy, spali w jednym pomieszczeniu, jednak daleko od siebie. Ilekroć poruszył się - a spał czujnie - ona nasłuchiwała, chyba przez całą noc nie zmrużyła oka. Była wciąż młoda, do tego niespełniona w miłości i macierzyństwie, a on przybył do niej niby księżę z bajki na skrzydlatym rumaku. Może wierzyła w przeznaczenie, albo istniały jakieś miejscowe

legendy? Kiedyś pewnie by skorzystał z okazji, lecz teraz niechętny był jednodniowym, czy raczej jednonocnym romansom. Jak nadchodzi ranek, nic więcej po nich nie zostaje oprócz kaca zaprawionego weltschmerzem. Cóż mógłby jej dać oprócz chwili zapomnienia?

- Gdyby wcześniej przybył do was którykolwiek z egzorcystów, uniknęlibyście wielu tragedii. Twój mąż na pewno pozostałby wśród żywych.

- Nie!! - krzyknęła, a potem zakryła usta dłonią. Cofnęła się, puszczając jego rękę.

- On stałby się inny, i ty również byś się zmieniła.

- Ty... wiesz tak dużo. Ale ja nie chcę być inna.

- Uważaj, żeby pycha cię nie pogrążyła - stwierdził pryncypialnie. - Co do mojej wiedzy, też się mylisz. Wierz mi, Bóg nie ma potrzeby wiedzieć wszystkiego o każdej swojej owieczce.

- Porównujesz się do Boga...?

- Zostanę waszym Bogiem na jeden długi dzień. Wtedy wyczyszczę wasze dusze, że staną się jak białe karty, i będziecie mogli od początku zająć się ich zapisywaniem.

\*\*\*

Straże przyszły po niego dopiero o świcie.

Łomot do drzwi wtopił się w ostatnie kadry snu, podczepił się pod akcję w scenie z antraktem bębnow, aż w końcu rozbudził go do reszty. Przez chwilę świat rekonstruował się, zalewając świadomość kaskadami świeżo zakodowanej informacji. To zawsze bolało. Wypędzanie zła, Planeta Żniw, zryw matki w obronie dziecka. Odrzucił okrywający go stos skór, przeciągnął się i wyskoczył z łóża. Jak zawsze podczas akcji spał w ubraniu, przygotowany na wszelkie niespodzianki.

Drzwi wyginały się i trzeszczały, więc Elkaar bez zwłoki podbiegła i zdjęła skobel jedną ręką, drugą usiłując odgarnąć włosy. Gdy belka odskoczyła, napastnicy odepchnęli kobietę i wpadli do środka. Czterej szeregowi żołnierze ubrani byli dość cudacznie, pewnie w to, co udało im się zdobyć na polach bitew. Dowódcę, który wszedł za nimi, rozpoznał po lepszej tarczy i górskich kamieniach, wprawionych w hełm.

- Z nami, cudzoziemcze - zakomenderował.

Egzorcysta wyprostował się, był od nich wyższy o głowę.

- Od kiedy dowódca czwórki w taki sposób zwraca się do namiestnika? - spytał wyniośle.

- Brać go!

Żołnierze nie kryli strachu, ale jeden wreszcie odważył się i zaatakował. Egor pociągnął go do siebie, odwrócił i pchnął na drugiego, szykującego się do natarcia. Zderzyli się i upadli, ale pozostali wydobyli z sakw na plecach niewielkie łuki. Robiło się gorąco, więc szybkim dotknięciem kciuka usztywnił tkaninę kombinezonu, podłączając do niej niewielkie napięcie. W takiej postaci ubranie trochę utrudniało ruchy, ale mogło do pewnego stopnia powstrzymać uderzenie ostrym narzędziem.

- Wysłannikowi arcykapłana należy się więcej szacunku - zażądał. - Pójdę z wami, ale tylko z własnej woli. W przeciwnym przypadku ty zginiesz pierwszy - zwrócił się do dowódcy, sięgając pod poję płaszcza.

- Wstrzymaj się, namiestniku. Baron van Vragen prosi do siebie - oznajmił tamten, cofając się o krok. Jego twarz błyszczała od potu. *Dotychczas lęk musiał pokrywać brawurą i powinienem docenić, jak wiele to kosztowało tego kmiotka. Spokojnie, tylko spokojnie, przecież ci ludzie nie są winni, oni zostali żywiołowo zasiedleni przez roje płaszczaków i stymuli. Mam nadzieję, że zwłaszcza przez wyjątkowo liczną gromadę stymuli.*

- To brzmi już o niebo lepiej. A zatem chodźmy.

Zawinął płaszczem i szybko przecisnął się przez drzwi, aby nie zdążyli zaatakować, nawet jakby mieli to w planie. Na tym etapie nie zależało mu na konfrontacji, przeciwnie, miał zamiar łagodzić wszelkie napięcia.

Sprężystym krokiem podążył w stronę siedziby gubernatora. Za nim truchtem biegli żołnierze z eskorty. Dopiero dniało, ale na placu zebrał się już tłum. Wyglądało na to, że wylegli wszyscy mieszkańcy osiedla, zdolni do samodzielnego poruszania się. Być może, że pomagali im w tym zbrojni, bo wszędzie ich było pełno. Zapewne van Vragen zarządził mobilizację i spotkanie całej społeczności. Egzorcysta zatarł dłonie. *Będzie łatwiej.*

Początkowo kierował się do miejsca, w którym już rozmawiał z baronem, ale zorientował się, że oczekują go gdzie indziej. Na środku



placu wzniesiono drewniane podwyższenie, i tam właśnie na ozdobnych fotelach zasiedli van Vragen i kilkunastu radców. Wokół tłoczyli się ludzie, którzy nowoprzybyłym zrobili wąskie przejście.

Otworzył się i natychmiast runęła lawina grózb, złorzeczeń i pospolitych przekleństw. Odruchowo ugiął się i osłonił głowę, ale zaraz wziął się w garść zaczął filtrować impulsy z przestrzeni Amicisa. Rozpoznał myśli o umowie i zapłacie, ale także o egzekucji przez ścięcie toporem. Gdzieś w tle smużyło się wyznanie miłosne, które miało dla niego zapach zgliszcz. Nie miał czasu na bardziej szczegółową analizę, ale spotkanie niewątpliwie zapowiadało się interesująco.

Gdy wraz z eskortą przepchnął się do schodów wiodących na podium, zapadła cisza, a intensywność przekazów osłabła. Ludzie byli ciekawi dalszego ciągu.

- Pozwól do nas, przybyszu - odezwał się van Vragen tak głośno, żeby słyszeli go wszyscy zgromadzeni. - Ponieważ będziesz sądzony, nie przysługuje ci miejsce siedzące w naszym gronie.

Egor niespiesznie wspiął się na górę. Za nim weszło dwóch żołnierzy i dowódca jego eskorty.

- Czy dobrze słyszałem, gubernatorze van Vragen? Ja, Egzorcysta, namiestnik arcykapłana, mam być sądzony przez was, do których przybyłem z misją dobroczynną?

Zapadła cisza, przedłużana przez gubernatora do momentu, w którym tłum zaczął szemrać.

- Tak, przybyszu, będziesz sądzony - odezwał się wreszcie. - Nikt nie wie, czyim naprawdę jesteś namiestnikiem, ale wszystkim dobrze wiadomo, że podeptałeś nasze prawa.

Wybuchła wrzawa, którą gubernator przerwał uniesieniem ręki.

- Czy obrona życia... - zaczął Egor, ale nie dano mu dokończyć.

- Nie udzielam głosu oskarżonemu! - zagrzemiał van Vragen. - Niech najpierw wysłucha nas, którzy wskażemy mu jego winy. Czy wyrażam się zrozumiale?

Gdy Egor skinął głową, powstał siwowłosy radca i odczytał listę oskarżeń.

- Przybyszowi z obcego kraju, zwanemu Egzorcystą, zarzuca się to, że będąc w pełni przytomności umysłu targnął się na życie dziecka, chcąc je, niewinnie, udusić.

Tłum zafalował, rozległy się piskliwe krzyki kobiet. Musiał mocniej filtrować strumień z przestrzeni Amicisa, bo natężenie przekazu mogło spowodować porażenie mózgu.

- Po drugie, temu samemu przybyszowi zarzuca się to, że naraził na niemal pewną śmierć matkę tego dziecka, gdy mu pospieszyła z pomocą. Tylko cudem ocalała... - Czytający uniósł wzrok ku niebu. - I to wbrew woli tego, który mieni się namiestnikiem arcykapłana!

Tłum szalał, omywając podium jak groźne morze. Mężczyźni wygrażali nożami, kobiety wymachiwały kijami i siekierami. Zbiorowa psychoza zaczynała udzielać się także żołnierzom, których kordon coraz mniej skutecznie chronił drewniane podwyższenie. Egor uznał, że wydarzenia przybierają niebezpieczny obrót, wymykając się spod kontroli. Spod jego kontroli.

- Po trzecie - czytał dalej radca - ten sam obcy zbezczeszczył ciało owej matki, będąc przekonany, że kobieta już nie żyje. Uczynił to...

Nie dokończył, bo pergamin został wyszarpanięty z jego dłoni - to Egzorcysta wkroczył do akcji. Podniósł pismo i usiłował coś powiedzieć, ale natychmiast rzucili się na niego żołnierze z eskorty, więc chwycił zwój w zęby i uwolnionymi rękami zaczął parować i rozdawać ciosy. Pierwszego napastnika powalił uderzeniem w tchawicę, drugiego przerzucił przez bok, a trzeciego palnął między oczy i zepchnął z podium w tłum. Potem podskoczył do van Vragena, wyrwał mu nóż, którym baron usiłował się bronić, wywlókł go z fotela, podniósł za kołnierz i przyłożył mu ostrze do szyi.

- Cisza!! - krzyknął, ile sił w płucach. - Wysłuchajcie, co mam do powiedzenia, bo spuszczę krew temu człowiekowi!

Wrzawa trochę przycichła, więc odepchnął gubernatora, który szybko odczołgał się na swój fotel. Egor podniósł pergamin, który przedtem spadł na podłogę, i pomachał nim nad głową.

- Ja, oskarżony, sam odczytam resztę zarzutów przeciwko sobie! Poznacie je wszystkie, co do jednego! A potem dobrowolnie oddam się pod wasz sąd. Lecz przestrzegam, że jak ktoś teraz podniesie na mnie rękę, zginie. Zaś jeśli chcecie wojny, będziecie ją mieli, ale ten plac spłynie wtedy waszą krwią!

Tumult przycichł, więc podniósł pergamin do oczu.

- Tak - oznajmił - zgadza się, uderzyłem tamtą kobietę, ale ona była

żywa! Wiem i potrafię więcej od każdego z was, i to wyjaśnienie powinno wystarczyć. Ukaralem ją za to, że przedtem targnęła się na moje życie. Jej chłopaka też chciałem tylko ukarać, a nie udusić. Nie muszę zabijać, żeby osiągnąć cel. Ale on dotknął moich relikwii, a to mogło źle się skończyć, bardzo źle, i to nie tylko dla mnie, a przede wszystkim dla was. Co tu jeszcze mamy? - przyjrzał się pergaminowi. - "Ten sam cudzoziemiec uwiódł i splugawił naszą kapłankę Elkaar, nie mając zamiaru pojąć jej za żonę".

Wyprostował się, zacisnął pięści i zbliżył się do fotela gubernatora. Po ukłuciu wściekłości przyszedł złowroźny spokój, podminowany adrenaliną. Jakiś daleki głos krzychał, żeby się opanował i przynajmniej policzył do dziesięciu, ale w takim stanie nie potrafił go słuchać. Wybawienie przyszło w ostatniej chwili, kiedy już unosił pięść.

Bzyknęła strzała, wypuszczona chyba za pośrednictwem samego Pana Boga, i ugodziła go w ramię. Zabolało tak potwornie, że jedno doznanie zneutralizowało drugie, impulsy mieszały się i zgasły, ale usztywniony materiał kombinezonu wytrzymał. Odetchnął, pochylił się i podniósł z podłogi strzałę ze zgiętym grotem. Potem powoli zwrócił się w kierunku strzelca. Wąsaty żołnierz zbladł, ale wytrwał na stanowisku.

- Obiecałem śmierć każdemu głupcowi, który będzie miał czelność mnie zaatakować - stwierdził kamiennym głosem. - Ale - to mówiąc gwałtownie wskazał na śmiałka, który tym razem nie zdzierzył i rzucił się do tyłu - tobie jednemu daruję. Chciałeś bronić swego pana, i zapewne rzeczywiście wybawiłeś go z ciężkiej opresji. Poza tym - dodał niedbale - chyba widać, że taka broń dobra jest może na kurczaki, ale nie na mnie. - Ujął zgiętą strzałę w dwa palce i rzucił w tłum.

- Powiem to wyraźnie: ostatni zarzut jest dla mnie obraźliwy - kontynuował. - W moim kraju kapłani są nietykalni, więc nie śmiałbym wykorzystać Elkaar. U was kapłani mogą zawierać małżeństwa, ale ja nigdy nie planowałem pozostania tutaj. I nie chcę słyszeć ani słowa więcej na ten temat!

Potoczył złym spojrzeniem po tłumie i odwrócił się do radców, bo złość jeszcze całkiem mu nie przeszła. Błogosławiąc krwiak na ramieniu i licząc do dwudziestu podszedł do van Vragena. Ten skurwiel najpierw napędzał mu dziewczynę do łóżka, a potem szykował akt oskarżenia. Może nawet kolejność była odwrotna? Zawsze czuł niechęć do polityki i

polityków.

Wtedy nadszedł dziwny przekaz, kształtny i wyraźny. Uchylił filtry, aby go przepuścić.

- Boję się o ciebie. Tak bardzo się boję. Odpowiedz, czy wszystko w porządku?

- Elkaar? - nadał w przestrzeń Amicisa. - Tak, nic mi nie jest. Jak to... potrafisz nadawać?

- Podśluchiwałam ciebie. Już od dawna podejrzewałam, że istnieje druga mowa... Ale nie to jest ważne. Uciekaj! Nie zgadzaj się na sąd, oni chcą oddać cię katu pod topór!

- Nie odważą się. Muszę kończyć - to mówiąc zamknął kanał. Był pełen uznania dla dziewczyny. Czegoś więcej niż uznania.

Już spokojny, podszedł do van Vragena.

- Każ swoim żołnierzom, tym za moimi plecami, poniechać mnie i odłożyć łuki, wszak widziałeś, ile szkody mogą wyrządzić mi ich strzały. Jeśli tego nie zrobisz, ci żołnierze zginą, a potem ty sam i cała rada. Śmierć poniesie także wielu niewinnych ludzi, którzy są na placu. Po co?

Gubernator niechętnie dał znak i łucznicy zdjęli strzały z cięciw. Przez cały czas rozmowy z Elkaar, kiedy filtry były otwarte, Egor śledził ich strach w przestrzeni Amicisa. Teraz napięcie opadło.

- Mam lepszą propozycję niż wojna - zwrócił się do gubernatora i całej rady. - Rozumiem, że naruszyłem wasze prawa, ale musiałem to zrobić, aby nie stało się coś znacznie gorszego. Wyrażam przed wami skruchę i zapewniam, że to się nie powtórzy. Ale nikogo nie zabiłem, ani nawet niczego nie zabrałem. Tak, nie zabrałem wam niczego materialnego. Odejdę więc jeszcze dziś i będziecie żyli jak dawniej. Chciałem powiedzieć: lepiej, bo to zło, które wypędziłem z waszych dusz, nie wróci, jeśli kiedyś sami go nie zaprosicie.

- A więc może powrócić? - Van Vragen okazał zaniepokojenie.

- Nie za twojej kadencji, gubernatorze. A więc?

Baron popatrzył po radcach, po czym niechętnie skinął głową. Kto mógł przypuścić, że obcy okaże się odporny na strzały?

- Banicja - zdecydował. - Od dziś, od zaraz. Opuścisz nasz świat natychmiast!

- A to? - spytał Egzorcysta. Wyjął z kieszeni złożoną na cztery umowę o wypędzaniu zła i zapłacie w złotych dukatach. - Czy na tym

dokumencie nie widnieje twój własnoręczny podpis?

- Podaj mi ten pergamin, przybyszu. - Van Vragen wyciągnął rękę. Wziął dokument i przedarł go na pół, a potem jeszcze raz i jeszcze, po czym szczątki wyrzucił w powietrze. - Tyle pozostało z twojej umowy. Nasze prawo stanowi, że banitom nie przysługuje nawet złamany szeląg wynagrodzenia!

Egor krzyknął i uniósł ręce. Przepęłniła go gorąca radość: cieszył się jak dziewczynka z susiającej lalki, jak chłopak ze znalezionej prawdziwego pistoletu, jak nastolatka po zejściu trądziku, jak dziewczyna z wielokrotnego orgazmu, jak kobieta z bogatego męża, jak mężczyzna z haremu pełnego zwycięzczyń tysiąca konkursów piękności, wreszcie jak starzec z pienistego lania. Tak cieszyłby się Pan Bóg, gdyby on, Ptasznik-Egzorcysta, nawrócił się i zaczął bezinteresownie czynić dobro. *Zwyciężyłem, zarobiłem, mogę wiać gdzie pieprz rośnie! No, prawie zwyciężyłem.*

- Niestety, takie jest prawo - potwierdził gubernator, który inaczej wytłumaczył sobie jego okrzyk. - Za to możesz, przybyszu, zabrać swoje relikwie i inne cudenka, które nam przecież na nic.

- O tak, bez nich nie mógłbym pokazać się na dworze arcykapłana. Mam jeszcze prośbę... ekscelencjo. Skazanemu według każdego kodeksu przysługuje fajka, puchar wina albo pocałunek ukochanej...

- Mów - przerwał mu baron z gestem zniecierpliwienia.

- Chciałbym... zagrać na flecie. Jest taki zwyczaj w moim kraju, że gra się na pożegnanie. Wtedy będzie mi też łatwiej rozpocząć podróż.

- Graj, człowieku, byle krótko. A potem wynoś się do diabła!

Egzorcysta nie tracił czasu. Liczył na to, że po zerwaniu umowy przez drugą stronę Oczy Dowodowe wybaczą mu znacznie więcej, więc zaryzykował użycie zaawansowanej technologii. Z uniblastera wypuścił rój nanomuszek, z których każda pobrała trochę ambrozji i uszczknęła płatek skóry grzechotnika. Potem muszki rozpoczęły akcję, na okamgnienie przysiadając na szyjach kolejnych mieszkańców, lecz ta chwila wystarczyła, aby z każdego wywabić jedyne pozostałego płaszczaka. Teraz, gdy wyrok zrywający umowę został ogłoszony, nawet jednostkowa porcja agresji i zła, pozostawiona w tych ludziach, nie jest potrzebna ani Egzorcysty, ani im samym. Egor w majestacie galaktycznego prawa może ją sobie zabrać, a potem korzystnie sprzedać,

aby odzyskać chociaż część uzgodnionej w umowie i niezrealizowanej zapłaty.

Gdy ujrzał chmurę snujących się nad placem płaszczaków, zawinął batem i zapędził je na wyspę, gdzie przypadły do resztek ambrozji. Na tym skrawku kamienistej gleby stężenie agresji osiągnęło niespotykaną wartość. *Ciekawe, czy istnieje coś takiego jak masa krytyczna agresji berserkerów? Nikt dotychczas nie badał tego zagadnienia, więc może da się na tym coś zarobić?*

Egzorcysta wyjął flet. Teraz ważyła się komercyjna strona całego przedsięwzięcia. Gdyby wszystko poszło według planu, dochód na czysto pokryłby z nawiązką dwuletnie, przecież niemałe wydatki naszego bohatera, wliczając w to inwestycje niezbędne do następnej akcji.

Najpierw wydobył z instrumentu ostry, modulowany dźwięk przywołujący. Za każdym razem było to równie fascynujące, co niezrozumiałe, w jaki sposób gwiazdny koń może tak szybko zbudzić się z tysiącletniego snu, a potem w okamgnieniu przygotować się do kosmicznego skoku. Rumak wywabiony spod bagien stawił się natychmiast i podążył na wyspę, gdzie nanomuszki przeniosły pozostałą ambrozię do jego trzewi. Płaszczaki, ponaglone płatkami wężowej skóry, gromadnie przeskoczyły do wnętrza starhippa, który uniósł się płynnie i poszybował w przestworza, używając zarówno smoczyczych skrzydeł, jak i antygravitacji. Egor nie musiał się trudzić, żeby przekazać mu parametry celu - biostatek sam pobrał je w sobie tylko znany sposób wprost z mózgu człowieka. Część zadania została wykonana.

Teraz należało zagrać lepiej niż na galowym koncercie w nowojorskiej filharmonii. Melodia powinna poruszyć kwiaty na drzewach, zatrzymać ptaki na niebie, a to, co w człowieku najlepsze, powinno wyjść na zewnątrz i nabożnie słuchać. Tak, trzeba było naprawdę się skupić, żeby mieć jakiegokolwiek szanse.

Egor przymknął oczy i wprowadził się w trans. Wszystko wokół piękniało: niebo stawało się lazurowe, po lesie latały wielkie motyle, chaty stały jak ekspozyty w wypieszczonym skansenie, a ludzie, jeden w drugiego, naraz zrobili się urodziwi i szlachetni. Dopiero wtedy, gdy osiągnął psychodeliczny stan, przyłożył flet do ust.

Powoli szedł tworzącym się szpalerem i grał tak przejmująco, że szczęście uciekało z ludzi i szło za nim. Stymule wypływały z każdego, do

kogo dotarła melodia, zwiewne i przezroczyście, piękne i uśmiechnięte. Te symbionty dawały ludziom poczucie zadowolenia i radości, spełnienia i satysfakcji, więc na wolnym rynku można było uzyskać za nie naprawdę dobrą cenę.

Chodził najpierw po placu, potem plątaniną ścieżek między chatami, a na koniec zaszedł do więzienia, skąd zabrał ostatek dobra. Potem wyszedł z osady i dotarł do miejsc, gdzie drwale mieszkali w szałasach. Gdy orszak szczęścia, który prowadził, przestał się powiększać, przywołał gwiazdnego konia spod wydm i wszedł do środka, nie przestając grać. W chwili, gdy wszystkie stymule znalazły się we wnętrzu statku, Egor wyskoczył przez jego ucho i dał polecenie odlotu.

\*\*\*

I to już prawie koniec tej historii. Egzorcysta przywołał swojego homofilnego rumaka, dosiadł go i odleciał w poszukiwaniu innych światów, nowych przygód i dużych pieniędzy. Jednak zanim uniósł się w przestworza, okrążył parę razy osadę drwali i robotników leśnych, z góry wyglądającą jak harcerski obóz. I choć długo zastanawiał się nad formułą pożegnania, nie był zadowolony z rezultatu.

- Odchodzę, Elkaar.

- Wiem - nadała natychmiast. - Dlaczego?

- Jestem wiecznym podróżnikiem, kosmotrotterem.

- Pytam, dlaczego nam to zrobiłeś.

- Zarabiam na życie, a potrafię to robić właśnie w taki sposób. Zresztą nie jestem specjalnie oryginalny, bo wygrywam ludzkie słabości i zgarniam profity. Może tylko moja metoda jest mało konwencjonalna.

- Zabrałeś nam odwagę i szczęście. Jak mamy żyć?

- Przesada, bez symbiontów też możecie żyć, podobnie jak my bez kawy, fajek i gorzały. Poza tym berserkery i stymule same do was przyjdą, tego w kosmosie pełno. Na razie wasz kraj będzie chroniony, pozostawiłem odstraszacze, ale ta bariera nie utrzyma się długo. Byliście zasiedleni bez umiaru, braliście absolutnie wszystko, a to jest niebezpieczne, moja droga.

- Jak mnie nazwałeś?

- Och, u nas to nic nie znaczy, formułka grzecznościowa.

- Nie jestem pewna, czy rozumiem.

- To nie ma znaczenia. Wracając do meritum: nadmierne zasiedlenie powoduje chwiejną równowagę i częste dewiacje. Trzeba wiedzieć, ile czego wpuścić, i tego musicie się nauczyć. Dobro nie istnieje bez odniesienia do zła, ale proporcja musi być wyważona.

- Skąd mamy ją poznać?

- Kiedyś pewien siwogłowy mędrzec powiedział: *anima semper christiana*. Jesteście teraz jak niezapisane kartki, jak młode ptaki, które dopiero wybiorą swój szlak. Jeśli ten mędrzec miał rację, wasze dusze podążą właściwą, uniwersalną drogą, rozpoznawalną przez wszystkich ludzi. Zapewne właśnie tyle chciał ów filozof powiedzieć, natomiast inni twierdzili, że trzeba zwyczajnie zmądrzeć, co jednak może okazać się trudniejsze. O tym, czy się wam udało, przekona się dopiero ktoś, kto odwiedzi was za kilka wieków.

- Zasłaniasz się filozofią. W ten sposób można wszystko usprawiedliwić, przecież tylu jest filozofów.

- Brawo! Robisz szybkie postępy. Tobie jako jedynej zostawiłem symbionty, jedne i drugie, w odpowiednich ilościach. Spróbuj zrobić coś dobrego w swoim świecie. Pamiętaj, że najlepsi są ci, którzy posiadli mądrość i zarazem uwierzyli w dobro.

- Dlaczego ty sam nie chcesz być taki?

- Robię akurat tyle, na ile mnie stać. Żegnaj!

Ściągnął cugle gwiazdnego konia i poszybował w ciemniejące niebo. Rumak od razu zanurkował w przestworza, bo trafił na rzekę powolnego czasu, którą wykorzystał do galaktycznego skoku.



Warszawa, luty - sierpień 2002

## Śmierć ma zapach szkarłatu

Wiatr pędził od morza i nacierał na stare dęby z taką furją, że krzyczały pełnym głosem, wałąc konarami i tnąc powietrze brzeszczotami liści. Niewidoczne fale łomotały u brzegu, przywodząc na myśl wieloryby, szarpiące się na harpunach. Niby wszystko było normalnie, jak co noc na Zachodnim Wybrzeżu, mglistym, ciepłym i wietrznym, bo gdzieś niedaleko płynęła przez ocean stukilometrowa rzeka, przynosząca łagodny opar. Dzięki jej opiekuńczej obecności Emir czuł się pewnie, chroniony przed ściskającym zimnem dalekich stepów, przed zimnem, od którego o świcie pękały kamienie. Ciepła rzeka była opiekunką tego miejsca, była dobrym bóstwem, i Emir wierzył, że gdyby odnoga zbawczego prądu kiedyś w paleohistorii zboczyła w kierunku jego kraju, byłoby tam teraz państwo wielkie, silne i niezależne, miodem i mlekiem płynące. Cóż, w coś trzeba było wierzyć.

Dom był niewidoczny, przycisał się w ciemnościach, ukrył w mierzwiowych wichrem krzewach, schowany przed wzrokiem niepowołanych. Ech, latarnia zgasła, i tyle. Proste wytłumaczenia są najlepsze - wiatr uszkodził przewody, rozszczelnił bańkę osłony, styki skorodowały od soli, stale nawiewanej od morza.

Jednak najprostsze wytłumaczenia nie zawsze były najlepsze, przynajmniej w zawodzie, który wykonywał. Dlaczego właśnie ta latarnia, usytuowana dokładnie na wprost jego rabatek? Co prawda gdzieś dalej druga migotała z wysiłkiem, gasnąc niemal zupełnie, a potem rozpalając się blaskiem najpierw przeraźliwie niebieskim, potem stopniowo żółknącym, aż do kolejnej świetlnej czkawki. Ale skąd wziął się nowiutki samochód, zaparkowany przed sąsiednią posesją? Tam w starej ruderze mieszkał ubogi rybak, którego stać było co najwyżej na

ręczny wózek do przewożenia śledzi, i to kupiony z drugiej ręki.

Emir skakał po chodniku, mruczał pod nosem, udawał podpitego. Dobrze byłoby zamienić się w robala i wpasować między cementowe płyty, albo w zająca, żeby czmychnąć w las i zwiać gdzie pieprz rośnie. Pstryk, i już nie miałyby żadnych kłopotów, ani ze snajperem, który być może właśnie wodzi swoją lunetką za jego potylicą, ani z majorami i komendantami, ani nawet z tą cholerną Sulejką i jej capim gachem. Tak czy inaczej, teraz trudno byłoby go namierzyć, a jeszcze trudniej trafić, choć nie był podłej postury. Jednakże, gdyby jakiś cwaniak próbował używać tłumika, mógłby szyc raz po razie, i sam diabeł by nie usłyszał w tym wichrowym szumie. Może dziesiąta czy trzynasta kula w końcu sięgnęłaby celu... Ech, głupis, pomyślał, próbując opanować bicie serca i oddech. Gonisz w piętke. Trzy etaty to o dwa za wiele.

Potknął się, i naprawdę wyglądało to na przypadkowe potknięcie. Potem sturlał się po zboczku, wpadł w krzaki, gdzie chwilę leżał, nasłuchując. Nic się nie działo, więc pobiegł w kierunku domu, skulony i gotowy do akcji. Dotarł do płotu i przyczaił się na następne długie pięć minut. Spróbował Ucha, ale wiatr zanadto wył na czujnikach. Za to Nos spisał się doskonale - Emir okrążył posesję, niemal wlokąc czujnik po ziemi, aż stanął przy furtce. Nic nie znalazł oprócz zwietrzałego tła, typowego dla starych tropów kotów, psów i szcurów, zarejestrował także kompozycję własnego zapachu sprzed kilkunastu godzin. Była jeszcze jakaś słaba nutka woni dzikiego zwierzęcia, może łasicy, ale tak nikła, że przyrząd nawet nie oszacował czasu, jaki upłynął od przejścia stworzenia. Tfu, niedługo waleczny Emir zacznie uciekać przed własnym cieniem, a na rodzimych stepach śmiać się będą z bojowca-szybkobiegacza.

Zaklął, bo to często pomagało. Potem zdecydowanym ruchem otworzył drzwi wejściowe.

Nie dali mu żadnych szans. Gdy tylko dotknął wyłącznika, oślepił go magnezjowy błysk i jednocześnie w twarz buchnął strumień gazu o zapachu gnijących śliwek. Zanim stracił przytomność, doznał obok uczucia wściekłości na tych, co wygrywali, także nikłej satysfakcji, że jednak docenili jego umiejętności. Nie był to wszakże najbardziej oczekiwany rodzaj zadośćuczynienia.

\*\*\*

Pułkownik Vertejak celebrował parzenie kawy. Najpierw zbliżał się do szafki, podążając tropem narastającego aromatu, a w chwili, gdy otwierał drzwiczki, za każdym razem aż nieruchomiał z wrażenia: oto z niepozornej żółtej puszeki wylewał się, tryskał, eksplodował oszałamiający bukiet woni, zawierający nie tylko eteryczne olejki palonych ziaren, ale także zapach powietrza znad kolumbijskiej plantacji i, dałby za to głowę, także świeżość wiatru znad majestatycznych Andów. W namaszczeniu czekał, bojąc się spłoszyć zjawisko, i pozwalał aby skondensowane wrażenie przefiltrowało się przez nos i mózg, a potem przemieściło w dół, wzdłuż pni nerwowych, aż do lędźwi i podbrzusza. Wtedy przeżywał niepospolity olfaktoryczny orgazm, dostępny, jak wierzył, jedynie wybrancom.

W następnym etapie emocje opadały, chociaż wciąż poruszał się w strudze zapachów, dostarczających psychodelicznych wrażeń. Nabożnie niósł ich źródło w obu dłoniach, potem czerpał dwie czubate łyżeczki brązowego proszku, ubijał na sitku, mocował w uchwycie i nabierał odmierzoną ilość wody dzbanuszką z chińskiej porcelany. Miał włoski ekspres wysokociśnieniowy, więc otrzymywał ekstrakt najwyższej jakości.

Gdy miniaturowa filizanka gęstego płynu już parowała na biurku, następowało rytualne wejście Nancy. Nancy była najbardziej długonogą ze znanych pułkownikowi sekretarek i nosiła najkrótszą sukienkę mini, jaką dało się uszyć - krótsza byłaby już tylko przepaską biodrową.

- Dzień dobry, szefie!

Jej głos brzmiał dzisiaj piskliwie, jakoś inaczej niż zwykle. No i czegoś brakowało. Tanie, a w każdym razie kiepskie perfumy, i nic więcej. Niższe kwasy organiczne, tak, tego nie było, a więc znikł najwłaściwszy wymiar kobiecości, kwintesencja żeńskiego pierwiastka. Co tutaj się działo, u diabła?!

- Cześć, Długa. Bierzesz jakieś lekarstwa? Hormony?

- Ależ skąd! Dlaczego pan pyta?

- Nie strugaj głupka. Coś jest nie tak! - Ze świstami wciągnął powietrze, żeby nie było wątpliwości, co jest nie tak.

- Och, pułkowniku. - Zarumieniła się. Wyglądała uroczo, ale wygląd... tak, wygląd to nie wszystko, stanowi tylko zewnętrzną powłokę, maskę,

skrywającą bardziej istotne treści. - Wystygnie panu kawa. Czy mogę już meldować?

- Nie! Jeszcze nie. Założę się, że ty nie zapomniałaś zjeść śniadania, prawda, złotko?

- Przepraszam, panie pułkowniku. Ach... już wiem. Przecież na dziś był umówiony doktor Anderblum.

- Anderblum! A więc wszystko się zgadza, z wyjątkiem tego, że ten cwaniaczek zawsze pojawia się przynajmniej o dzień za późno. Prosić!

- Ależ... - Nancy przewinęła arkusz monitora - doktor jest zapisany dopiero na godzinę jedenastą. Czy mam wezwać go wcześniej?

- Tak, natychmiast! Chociaż... nie. Lepiej poczekajmy, niech przygotuje wszystko jak należy. Pośpiech potrzebny jest tylko przy łapaniu pcheł, jak mówiło się u nas na Podolu. Ty o tym nic nie wiesz, złotko. Mam rację?

- Chyba tak, panie pułkowniku. Nigdy nie łapałam pcheł... czy to jakieś bojowe stworzenia?

- Gdzie tam, są za głupie. Możesz meldować, jeśli naprawdę musisz.

Nancy wyprostowała się służbiście, trzymając przed sobą folię w taki sposób, że łokcie wygodnie oparły się na talii. Na pierwszy rzut oka było widać, że jest doskonale wyszkolona.

- W obwodzie przebywa w charakterze turystów stu dziewiętnastu obcokrajowców, z tego czternastu kategorii B, a trzech kategorii C.

- Hmm?

- Dwóch Arabów bez kartoteki i jeden Bask, aktywista i separatysta-fanatyk.

- Od tych trzech pobrać DNA i porównać z bazą Worldwitch.

- Podstawa?

- Paragraf 822. Nie możemy ryzykować, prawda, ślicznotko?

- Tak jest!

- I nie spuszczać z nich oka. A co z grupą B?

- Muzułmanie, ale z żonami i kupą dzieciaków. Najmłodszy mężczyzna ma ponad trzydziestkę.

- Sprawdzać ich dyskretnie dwa razy dziennie. Ale bez przesady z tą dyskrecją, przede wszystkim ma być efektywnie. Masz coś z operacyjnego?

- Tak, szefie! - Nancy błysnęła oczami i wydeła wargi w tłumionym

uśmiechu, jakby zaraz miała zdradzić zakazany sekret. - Emir!

Vertejak zeszywniał, a luzackie rozbawienie uchodziło z jego twarzy szybciej niż powietrze z przypalonego balonika.

- Raport! - rozkazał oficjalnym tonem. Nancy zmieszała się i wyrecytowała:

- Dzisiaj w nocy o godzinie pierwszej dwadzieścia agent Ku-128 przybył do swojego domu przy Bulwarze Nadmorskim 18. Został zatrzymany zgodnie z planem, bez strat własnych. Nie poniósł żadnego uszczerbku na zdrowiu.

- Gaz?

- Tak jest. Użyto racy rozbłyskowej 3 i trunkfosu w dawce tygryziej.

- Oho! Amelka musiała mieć niezłego pietra. - Oficer powoli odzyskiwał humor.

- Nie, akcję przeprowadzili Frank i Bonnie, nie dali pójść Amelii, chociaż to jej rewir.

Vertejak wzruszył ramionami.

- Obrońcy tak zwanej płci słabej i dżentelmeni, psia kość. Powinni wystąpić o zgodę na zamianę.

Nancy miała ochotę brnąć w wyjaśnienia, ale na szczęście spojrzała na szefa i zdążyła ugryźć się w język. Cisza stawała się ciężka.

- No dobra - podjął w końcu pułkownik. - Nasz Emirek jeszcze chrapie, czy już ma torsje?

- Nie, szefie, ma to wszystko za sobą. Zdążył nawet zjeść śniadanie.

- Coś takiego! Te zakapiory z gór i stepów są nie do zdarcia, słusznie zaaplikowano mu tygrysią działkę. Amelka pewnie wybrałaby kocią, biedactwo. Dobrze, dawaj go tutaj.

- Wideoinspekcja, szefie?

Vertejak zawahał się. Przez chwilę patrzył w okno i ćwiczył oddech nieocenioną metodą hatha-yoga.

- Nie, Nancy - zdecydował. Mówił jej po imieniu tylko wtedy, kiedy uderzał w ojcowskie tony. - Za kwadrans sam pofatyguję się do pokoju przesłuchań. I jeszcze jedno: nie chcę, żebyś mi asystowała, już lepiej przyślij Bonniego. Nie patrz tak, złotko, szykuje się niewdzięczna robota, więc nic tam po tobie. Emir jest cholernym terrorystą, a takich mamy prawo, a właściwie obowiązek likwidować równie szybko, jak oni likwidują naszych niewinnych obywateli. Wierz mi, że wolę

przesiadywać za tym biurkiem, wąchać kawę, popatrywać na twoje kilometrowe nogi i dyrygować podglądaniem niewinnych sług Allacha, ale na te wszystkie luksusy kiedyś trzeba zapracować.

\*\*\*

Emir był czarniawym, nieogolonym typem o regularnie owalnej twarzy i dosyć przyjemnej fizjonomii. Drobny, ale muskularny, wiercił się niezbornie i szczyrzył zęby kolejno do każdej z kamer, bo nie wiedział, która jest włączona. Vertejak kazał uruchomić wszystkie i teraz miał faceta w dziesięciu ujęciach na raz na sekwencyjnym telebimie.

Postarał się, żeby jego głos zabrzmiał wyniośle i bezosobowo.

- Były agent Ku-128, pseudonim Emir?

- Tak - odparł tamten natychmiast, nerwowo oblizując wargi. - Zgadza się, ale czemu "były"? Chyba... nie daliście mnie do rezerwy?

- Sądzisz, że nie? - zapytał policjant i zawiesił głos, delektując się rosnącym zdenerwowaniem zatrzymanego. Emir pocił się, jego twarz błyszczała, a na podkoszulku pokazały się ciemne plamy.

- Więc masz rację - podjął Vertejak - bo chodzi o coś innego, a mianowicie odwołuję cię i wydalam ze służby ze skutkiem natychmiastowym. Odczytam także wyrok za zdradę, bo tego wymaga procedura.

- Za... zdradę? - Oczy oskarżonego zrobiły się okrągłe. Rozejrzał się, jakby chciał ocenić szansę ucieczki. - To jakaś pomyłka! Z kim rozmawiam, jeśli można spytać? Chciałbym pilnie zatelefonować do majora Howarda, kontakt z patronem mam zapisany w umowie.

- Przesłuchuje cię pułkownik Vertejak, o czym dobrze wiesz, więc nie strugaj idioty. Nie masz już innych zwierzchników niż twoi azjatyccy watażkowie, żadna umowa nie obowiązuje. Osoba, o której mówisz, została zdymisjonowana i odesłana do rezerwy za niedopełnienie obowiązków - cierpliwie wyjaśniał Vertejak. - Kontakt z nią jest niemożliwy.

Przed likwidacją skazany miał prawo do uzyskania obszernych wyjaśnień. Co za idiotyczny przepis, pomyślał Vertejak, wszak umrzykowi takie informacje są równie mało potrzebne jak podwyżka uposażenia od następnego pierwszego. Dawniejsze zwyczaje były może mniej politycznie poprawne, za to bardziej racjonalne - skazańcowi przysługiwał papieros albo kieliszek wina.

- Nic na mnie nie macie! - Emir denerwował się coraz bardziej, jego palce zbieleły od kurczowego ściskania poręczy krzesła.

- Przypominasz sobie sierżanta Blossa, albo hasło "fala odbita"? Mamy filmy i nagrania waszych rozmów. Przez tego człowieka sprzedawałeś nasze dane, i w efekcie nie zdołaliśmy zapobiec akcjom *Tornado* i *Wdzięk orchidei*. Zginęły setki niewinnych ludzi, bo zachciało ci się potrójnej służby, zawszony pastuchu!

Oficer podniósł ręce do skroni i ucisnął kciukami wybrane miejsca. Do zgliszcz przy Oak Drive pierwszy dotarł Martin, jego najlepszy kumpel. Zabezpieczał teren, i wtedy przygniotła go waląca się ściana. Kostucha dopadła chłopca z nienacka, bez najmniejszej zapowiedzi, nie bacząc na to, ile miał planów na najbliższe dni, miesiące i lata. Ile siły witalnej i radości życia.

Vertejak wypróbowaną metodą autosugestii odwrócił bieg myśli i zdołał się uspokoić. Już za chwilę będzie tu doktor Anderblum, z którym mają do omówienia kilka ważnych spraw. *Szanuj się, staruszkule, bo nie doczekasz emerytury, i to wyłącznie z własnej winy.*

- ... mam pojęcia, o czym pan mówi i dlaczego pan mnie obraża.

- To już nie ma najmniejszego znaczenia - oznajmił. - Udzieliłem ci regulaminowych wyjaśnień i niczego więcej nie muszę robić. Zostałeś skazany na karę śmierci przez dożylne wprowadzenie środka usypiającego. Wiele osób modli się o taką dobrą śmierć, człowieku, bo ona jest prawdziwym luksusem. Dostajesz *barbie*, zasypiasz sobie i śniesz kolorowy sen, omijając wszelkie kłopoty z oddychaniem, bóle pod mostkiem i duszności, męczarnie po zmiążdżeniu nóg, miednicy, kręgosłupa, paskudny bezdech po przestrzeleniu płuc... O odejście tak ciche, że niepostrzegalne, ludzie modlą się zarówno do Boga Wszchemogącego, jak i do Allacha, ale prawie zawsze pozostają niewysłuchani. Nie mam pojęcia, dlaczego właśnie ty, podły i mały zbrodniarz, dostępujesz łaski. Naprawdę mało wiemy o regułach, rządzących światem.

Emir załamał się, tak naprawdę nie był silnym człowiekiem. Runął na kolana i czołgał się od jednej kamery do drugiej, zwieracze puściły i na jego spodniach rosła paskudna plama. Przykro było patrzeć, ale przecież policjantom nikt nie obiecywał przyjemnej pracy.

- Ja nie chcę umierać! Zrobię wszystko, powiedzcie tylko, czego



chcecie!!

Vertejak odczekał kilka długich sekund, zanim okazał wspaniałomyślność.

- Dosyć!! - krzyknął.

Po czym, gdy skazaniec zatrzymał się w pół ruchu w pozie przypominającej skręconą nadmorską sosnę, dodał przyciszonym głosem:

- Mam nową propozycję dla byłego agenta Ku-128.

Emir uczeplił się krzesła, głowa latała mu jak w ataku febry, pot ściekał kroplami z nosa i brody. Wtedy Bonnie wkroczył do akcji i użył pulweryzatora, strzelając średnią dawką *szybkiego strażaka*. Trafiony zwałił się na podłogę, dostał drgawek, ale już po minucie jego ruchy stały się skoordynowane, choć powolne. Otworzył oczy i próbował wstać, ale poleciał na ścianę i osunął się po niej, aż w końcu ułożył się na podłodze w pozycji siedzącej z mocnym przechyłem. Oświadczył, lekko sepleniąc:

- Przyjmę każdą robotę.

- Wykazujesz niewątpliwie rozsądne podejście.

Bonnie wyjął z pancерnej szluzы dwie zadrukowane kartki i pióro.

- Podpisz - polecił.

- Czy... mogę...

- Oczywiście, że możesz. Nawet masz prawo.

Emir chwycił papier i zbliżył do oczu.

- Kiedy... nic nie widzę, same plamy.

- Tak bywa po *strażaku*. Chcesz, żebym przeczytał?

Skinął głową. Bonnie wziął kartki i wyrecytował, nawet nie spoglądając na wydruk:

*Wyrażam zgodę na nieograniczone zabiegi medyczne, dokonywane na moim ciele, których celem nie będzie likwidacja funkcji życiowych. Wymienione zabiegi powinny minimalizować cierpienie oraz zmiany osobowości. Wyrażam także zgodę na przygotowawcze warunkowanie psychiczne, które zostanie wykonane w celach edukacyjnych.*

- Do diabła... Doświadczenia jak na kotach? - Emir wyglądał na solidnie wystraszonego, bo spodziewał się przydzielenia typowych zadań typu mokrej roboty, jak sabotaż czy usunięcie świadka. - Mogę walczyć, załatwiać wyroki, wiecie, że jestem wyszkolony, także przez

was. Lepiej przydam się w...

- Wiemy, obywatelu, gdzie przydasz się lepiej - przerwał Vertejak. - Poza tym, przecież nie musisz podpisywać tych papierów. Poruczniku, proszę zabrać pismo, skazany decyduje się na pierwszą opcję.

- Nieee!! Przecież już...

Emir chwycił głowę w dłonie, gwałtownie masował czoło i policzki, pięściami przecierał oczy. Potem opuścił ręce i chwilę siedział nieruchomo, zanim spytał tak cicho, że pierwsze głoski zanikły w trzaskach dostrajającej się aparatury głośnikowej:

- ...y będzie jak... w waszym piekle?

Oficer przełknął uśmiech politowania. Delikwent nie był odporny na prochy, więc lepiej nie posuwać się za daleko, aby nie pozostawić trwałych urazów psychicznych.

- Prawie nie będzie bolało, za to gwarantuję. Potem przeżyjesz przygody, o jakich nikomu się nie śniło. Kto tu mówi o piekle?

- Pomalujecie mi skórę żelazną farbą, zrobicie pompowanie bicepsów, wmontujecie giwery w łokcie, przerobicie na maszynowego gliniarza?

- Naoglądałeś się głupich filmów - skwitował Vertejak. - Modyfikacje muszą być zoptymalizowane pod kątem planowanej akcji i zgodne z możliwościami organizmu, a więc ich zakres jest ustalany indywidualnie. Harmonogram uzdatniania twojego ciała zostanie dopiero opracowany, więc jeszcze nie wiem, jak będziesz się prezentował. Potrzebuję ogólnej zgody, ale wciąż masz prawo wyboru.

Emir podrapał się po głowie i nieporadnie zmusił twarz do uśmiechu.

- No dobrze, może taki inny bardziej spodobał się dziewczuchom. Dawajcie papiery.

\*\*\*

Doktor Anderblum był wielki, miał szeroką talię, dużą owalną twarz i kopę kręconych blond włosów. Obserwator z rodzaju empatycznych stwierdziłby, że jest on człowiekiem otyłym i tusza z pewnością utrudnia mu życie, natomiast złośliwy zaklasyfikowałby go jako homoseksualną ciotę lub przynajmniej typ doskonale rokujący w tym kierunku. Lekarz sapał tak głośno, że Nancy musiała obniżyć czułość aparatury podsłuchowej. Instalacja, jak zwykle, była włączona ze względów bezpieczeństwa, a dziewczyna nie mogła powstrzymać drżenia rąk.

Wizyty doktora Anderbluma wyzwały w niej niezwykłą gorliwość anioła stróża, a wyobrażenia podsuwała coraz to śmielsze wizje. Tłusty doktorek prowokował fantazje seksualne lepsze od wielokrotnego orgazmu, dlatego z niecierpliwością oczekiwała na jego wizyty. Jednak nie mogła zdobyć żadnych dowodów na to, że obu panów łączy coś więcej niż profesjonalny biznes i kumplowska znajomość.

Tymczasem Anderblum zajęty był programowaniem robota laryngologicznego. Urządzenie mniejsze od ziarna grochu, umieszczone na nitkowym przewodzie wielofunkcyjnym, penetrowało wewnątrz nosa pułkownika Vertejaka, a doktor obserwował warstwy tkanki na zwykłym biurowym monitorze, który podłączył do urządzenia. Wytypował trzy najlepsze miejsca i zatwierdził je kliknięciami, po czym wykonał symulację zabiegu.

- Pozostajemy przy poprzednim menu? - zapytał pułkownika.

- Bezwzględnie. Ocet, dwudniowa rybka i kolumbijska palarnia arabiki, koniecznie. Czy wiesz, człowieku, że dwie rzeczy na świecie pachną rybą? I jedna z nich rzeczywiście jest rybą.

- Jesteś uzależniony, Flis. Kto cię z tego wyciągnie?

- Ani mi się waż! Czuję się jak optymista, który nagle zaczął rozróżniać pięćdziesiąt odcieni różu jako osobne, fascynujące kolory. Eskimosi potrafią to robić bez twoich sztuczek, widzą dwadzieścia barw bieli i piętnaście błękitu.

Ponieważ symulacja dała pozytywny wynik, Anderblum wprowadził hasło i uaktywnił system.

- Uwaga, zaczynamy. Proszę siedzieć spokojnie i nie wykonywać gwałtownych ruchów głową - nakazał fachowo. Pułkownik był teraz jednym z jego tysiąca pacjentów.

Robot przemieszczał się szybkimi skokami, przywierając do śluzówki i wykonując za każdym razem serie mikroiniekcji z materiału genetycznego. Po czasie krótszym od sekundy zasygnalizował pomyślne zakończenie zabiegu. Ukłucia były ledwie odczuwalne, dopiero potem, w miarę przenikania przez tkanki, wektor powodował ból.

- Teraz dobrze byłoby znieczulić - poradził lekarz.

- Nie trzeba. Po takim dobrodziejstwie tracę wdech do następnego południa.

- Tak ci spieszno, Flis? Aktywacja DNA do syntezy enzymów i tak

potrwa kilka godzin.

- Wiem, El Gordo. Przez cały ten czas świat pozostanie przeraźliwie pusty.

- A więc oczekuj w cierpieniu.

Wprawnie wyprowadził robota na zewnątrz i spakował aparaturę. - Teraz mnie się coś należy, nieprawdaż?

- Nawet pamiętam, co. Złotko, zrób nam po drinku - polecił pułkownik przez interkom. - Jak zwykle: białe martini i whisky bez wody, z odrobiną lodu.

Niespiesznie sączyli trunki, bujając się w odchylnych fotelach. Ścienne holobimy pokazywały przestrzenne obrazy miasteczka: plaży, promenady, wjazdu do handlowego centrum. Pułkownik kliknął w przełącznik i pomieszczenie napełniły odległe dźwięki: prychanie silników, nawoływanie klaksonów, śmiechy dziewcząt, krzyki mew i pomruk oceanu.

- Tego wszystkiego trzeba pilnować - zrzędził oficer. - Ludzie przez całe życie są jak dzieci w przedszkolu.

- Nie przesadzaj. Niedługo będziecie zwalniać pracowników, jak Smith&Great wyprodukuje miniaturowe i tanie pancerne kamery, a ja opatentuję policyjną sowę.

- Poczekaj! Pozyskiwane dane trzeba będzie oceniać, a sowy karmić i czesać.

- Żartujesz. Gówniarze napiszą programy sortujące, a ja pójdę na emeryturę zaraz po tobie, Flis.

Nancy bezbłędnie wyczuwała poprawę humoru szefa i równoległy spadek nastroju doktora. Chimeryczny, egzaltowany, gorzej niż baba, pomyślała. Pułkownik spieszył do wymarzonej krainy octu i arabiki, a Anderblum - cóż, może właśnie poprawia spodnie, albo kładzie tłustą i białą dłoń, podobną do wielkiej glisty, na ramieniu szefa, blisko miejsca, w którym mógłby musnąć jego szyję... A ten strząsa ją i otrzepuje koszulę, albo może przeciwnie...

Strumyk bólu pobiegł w dół jak wyładowanie elektryczne. Musiała zakryć usta, by stłumić krzyk.

- Na mnie już czas - stwierdził lekarz, nie kryjąc narastającej niechęci i przygnębienia. - Gdybyś miał do mnie sprawę, daj znać.

- Poczekaj, dokąd ci tak spieszo, El Gordo? - Oficer wstał i popchnął

go lekko na fotel, ale nie zdołał poruszyć stukilowej masy. - Zawsze są jakieś sprawy.

Anderblum zabębnił palcami w blat biurka.

- Spieszę się do kliniki, Flis.

- Zaraz przestaniesz. Mężczyzna, młody, dwadzieścia sześć lat, zdrowy, silny, oporny na prochy. Chcesz go?

Nancy przestała oddychać.

Lekarz nagle wyprostował się. Spojrzał z niedowierzaniem.

- Masz materiał? W jakim zakresie? - Nie mógł się skupić, a głupawy uśmiech sam rozpychał mu usta.

Vertejak wzniosł szklankę i zagrzechotał resztami lodu.

- Za zdrowie Emira, terrorysty i skazańca, który właśnie podpisał zrzeczenie się praw do własnego ciała. Możesz z nim robić, co zechcesz, należy jedynie minimalizować cierpienie. Minimalizować, nie likwidować, to istotna różnica. Pan Bóg każdego obdarował jego dozą cierpienia, a boskie dary będą stanowić nieuchronne przeznaczenie aż po kres naszego czasu, czy tego chcemy, czy nie.

Anderblum wstał i chciał uściskać pułkownika, ale ten odsunął się i tylko poklepał go po ramionach. Nancy chwyciła haust powietrza i na chwilę włączyła wizję, co wolno jej było robić jedynie przy uzasadnionym podejrzeniu zagrożenia życia.

- Dobra, nie ma sprawy, przecież umówiliśmy się. Ale - to mówiąc policjant uniósł palec wskazujący - wspólnym wysiłkiem zrobimy z niego czło-wie-ka. Pamiętaj, El Gordo: potrzebuję super-wywiadowcy. Być może ów człowiek uratuje od śmierci sto tysięcy niewinnych... no, powiedzmy, sto tysięcy zasmarkanych dzieci, zabieganych matek, agresywnych mężczyzn, złośliwych starców i niedomytych staruch. Ale zawsze zbierze się trochę wytwórców, płatników podatku, poborowych, a przy okazji bandziorów. Dzięki tym ostatnim zachowamy pracę.

- Zrobimy z niego... człowieka? Jesteś pewien?

Vertejak spojrział zdziwiony, a potem klepnął się w udo i roześmiał na całe gardło. Po chwili już obaj ryczeli, jakby usłyszeli dowcip roku.

- Nowy Wspaniały Człowiek! Kiedy mogę zaczynać? - dopytywał się Anderblum.

- Wolnego, El Gordo. Najpierw muszę go solidnie uwarunkować, a przynajmniej spróbuję, uciekając się do staromodnej, za to sprawdzonej

psychologii, bo po transformacji klasyczne metody zapewne okażą się bezużyteczne. Potem twoja kolej, ale zanim chwycisz za skalpel, powinienes aspirantowi wszystko szczegółowo objaśnić. Uważam, że gdybyś tego nie zrobił, szok egzystencjalny będzie zbyt duży i cały eksperyment weźmie w łeb. Nie sądzisz?

- Hmm, nie zastanawiałem się nad tym aspektem sprawy, ale chyba masz rację. Chociaż... nie jestem pewien, jak zniesie oczekiwanie. Może oszaleć wiedząc, co go czeka. Umysł nie wytrzyma.

- Tym bardziej zwariuje, jak bez przygotowania obudzi się w innym świecie. Dla niego będzie światem podwójnie równoległym, bo nowymi zmysłami zarejestruje inaczej interpretowaną rzeczywistość. Powinien coś o niej wiedzieć. Wierz mi, bo od praktycznej strony nienajgorzej znam się na ludziach.

- Na ludziach, owszem - przytaknął Anderblum. Jednak w zasadzie było mu wszystko jedno, a ręce już świerzbiły do eksperymentu. - Co sądzisz o kanałach informacyjnych?

- Mam nadzieję, że zatroszczysz się o nie, i że się uda. Jaki byłby pożytek z wywiadowcy-niemoty, który raporty zachowa dla siebie?

- Jasne. Musi też być możliwość przeprowadzenia lekarskiego wywiadu. Więc na kiedy mam zamówić salę operacyjną?

- Najwcześniej za tydzień, dam ci znać, jak facet będzie gotowy. Dziękuję za leczenie kataru, Herr Doktor!

- Zawsze do usług, oberlejtncie.

Gdy wychodził, zobaczył Nancy, skuloną na biurku. Jej ramiona wstrząsały spazmatyczne dreszcze. Podeszedł i wziął ją za rękę, podrygującą na blacie.

- Proszę mnie nie dotykać! - krzyknęła, zrywając się. Zanim zdążył się zasłonić, z szerokiego zamachu uderzyła go w twarz. Gdy cios sięgał celu miała wrażenie, że jej ręka weszła w dzieżę z zimnym ciastem. Wyrwała ją i zakryła dłonią usta.

- Ja... przepraszam, doktorze Anderblum. Bardzo przepraszam!

- Już dobrze - burknął lekarz i skierował się ku wyjściu. Kopnął w drzwi, które otwierały się stanowczo zbyt powoli.

\*\*\*

Emir płynął w powietrzu, szybował. Już nie pamiętał, w jaki sposób dostał się na taką wysokość - szybowcem, lotnią, czy może wyniósł go

helikopter. Nie, to nie było ważne, dopóki wiatr owiewał mu twarz, a wokół było tak pięknie. Obłoki wybrzuszały się podobne chętnym hurysom rozłożonym na błękitnym adamaszku, a w dole rozpościerały się lasy, łąki i jasne pastwiska. Miasteczka i osiedla zwykle lokowały się w dolinach, ale rzadsza zabudowa rozpełzała się na okoliczne wzgórza, gdzie domki tkwiły jak mrówki o czerwonych grzbietach. Wielkie mrówki żyły też na dalekich pustynnych stepach, w krainie, z której pochodził. W ciągu godziny były w stanie oczyścić do białych kości każde ranne stworzenie, które nie potrafiło uciec.

Pochylił się w lewo i wszedł w zakręt. Mógł latać! Pewnie wysłali go na akcję i miał osiągnąć cel sterując za pomocą niewielkich płetwo-skrzydeł, czyli błon rozpiętych między łokciami i kolanami, w połowie umocowanych do pasa. Kiedyś używał już czegoś takiego, i o mało się nie rozbił przy lądowaniu, bo zapomniał o lotkach hamujących.

Właśnie przemykał nad autostradą. Ponownie położył się do skrętu i wyrównał, pędząc wzdłuż podwójnej, lśniącej wilgocią wstęgi, po której pełzły pojazdy, podobne do kolorowych żuków. Jeszcze chwila i dotarł do mostu, który odcinał się od tła białymi pylonami i siatką lin nośnych. Ostro skręcił, tracąc wysokość, i gnał teraz nad rzeką, której nurt przybierał różne odcienie zieleni, a na kamienistych płycznach burzył się jasną pianą. Poczul chłód, zapewne na widok lodowatej wody, płynącej z gór. Gdy spojrział pod słońce, w oddali dojrzał ciemne cielsko zapory, zamykającej ujście doliny. Wrażenie chłodu narastało, przyszyły gwałtowne dreszcze. Do licha, dotychczas był przekonany, że szczękaniem zębami w takich okolicznościach to czczy wymysł pisarzy.

Bardzo chciał zawrócić i polecieć nad ciepłe pastwiska, ale nie był w stanie zrobić najmniejszego ruchu, prowadzącego do zmiany kursu. Nie potrafił oderwać wzroku od cokołu z szarego betonu, do którego się zbliżał, od fortecznych murów i baszt, kryjących zapadnie słuz wielkie jak wielopiętrowe wieżyce. Na tę wyludnioną twierdzę bez chwili przerwy napierały milionowe zastępy, w dzień i w nocy w przerażającej ciszy oblegał ją wróg nie znający zmęczenia, naciskał, atakował i - czekał. Mógł tak czekać dziesięć czy sto lat, czas nie miał znaczenia. Każdy mur, mały czy wielki, w końcu skruszeje i rozpadnie się, a wtedy stumetrowa ściana wody, ciężka jak morze płynnego żelaza, runie w dół, na miasta, wsie i drogi. Bezimienna armia pójdzie do ataku, aby wyrównać

krzywdy.

Ale czy trzeba czekać na to aż sto lat?

Wydawało mu się, że widzi sylwetki ludzi, biegnących wierzchem tamy, ale nie zdążył przyjrzeć się lepiej, bo niespodziewanie pochwyciła go sieć i został pociągnięty w górę. W kokonie, który oblepił ciało tak szczelnie, że nie był w stanie poruszyć ręką ani nogą, wciągnięto go przez luk do wnętrza transportowego helikoptera. Tam potężnej postury mężczyzna bez ostrzeżenia wymierzył mu cios prosto w twarz, a potem chwycił za kołnierz i bez wysiłku uniósł na wysokość swojej głowy. Miał rysy pułkownika Vertejaka, który go niedawno przesłuchiwał. Znał wszystkich gliniarzy w okolicy i mógł każdego poznać po głosie.

- Rozumiesz? - warknął policjant.

Próbował odpowiedzieć skinieniem głowy, ale nie udało się, bo sieć zastygła w sztywną kratę.

- Pytam, czy rozumiesz, co do ciebie należy.

Nie czekając odpowiedzi, chwycił więźnia za kołnierz i cisnął nim o ścianę. Emir poczuł, a raczej usłyszał, że kości trzasnęły u podstawy czaszki, a potem zapadła ciemność. Gdy odzyskał świadomość, nadal nic nie widział, a w ustach miał smak krwi.

- Jęzor sobie przygryzł, patafian - mówił ktoś tuż obok. Twarde dłonie ściągały mu opaskę wideo, wrywały z uszu słuchawki. W tym czasie inny technik rozpinał pasy, mocujące ręce i nogi do fotela. Ostre światło jarzeniówek cięło po oczach.

- Zjeżdżaj koleś z tego klubowca, bo przywykniesz. No już. Kropnij się teraz w wyro i podumaj coś widział, żeby ci się wszystko poukładało pod sufitem jak należy. A co, myślisz że na darmo prąd puszczaemy w te twoje mózgownice? Weź se szmatę i wytrzyj ryja, bo wyglądasz jakbyś się zrzygał po truskawkach. He, he he!

\*\*\*

Gdy go wprowadzali, pułkownik siedział przygarbiony nad filiżanką kawy i wyglądał na zmęczonego. Emir pomyślał, że ten człowiek już nie żyje, że jego dusza ma coś ważniejszego do roboty na drugim krańcu świata, a tutaj pozostawiła tylko zwiotczałe ciało, działające według wyuczonych odruchów.

Policjant długo prostował plecy, zanim przybrał służbową posturę.



- Czy mam zostać? - zapytał strażnik.

- Nie, idźcie zabawiać Nancy, niech i ona ma coś z życia. Tylko nie rozmarzajcie się, zostać mi przy drzwiach. A ty, Emirku, siadaj sobie tutaj. Dobrze się czujesz, nie masz zażaleń?

Więzień usiadł na brzeжку fotela i wzruszył ramionami. Ugrzecznione zachowanie komendanta zwiastowało kłopoty. Chwilę zastanawiał się, jak odpowiedzieć na bezsensowne pytanie, w jakich gustowali mieszkańcy tego kraju.

- Ech, szkoda gadać. Wszystko w normie, chociaż każdy by wolał siedzieć w El Popo przy barze niż w pokoju za żelazną firanką.

- El Popo? Tak, ty i ta knajpa nieźle do siebie pasujecie. Niewykluczone, że jeszcze przysiądziesz na tamtym barze, jeśli będziesz chciał.

Nadstawił ucha.

- Na barze siadają tylko dziwki, komendancie. Chyba nie chcecie przerobić mnie na babę?

Oficer roześmiał się tak szeroko, że pokazał wewnątrz gardła z podrygującym małym języczkiem. Nagle zamilkł i jego wzrok stał się ciężki. Teraz wyglądał na prawdziwego glinę, a pytanie zabrzmiało jak seria z pistoletu.

- Co wiesz o tamie w Mons?

Zapadła cisza.

- Nic - odparł Emir powoli. - Kiedyś słyszałem...

Pułkownik podniósł się i nachylił nad biurkiem. Było mu czuć z ust.

- Co słyszałeś!?

- No... Kilka lat temu ją budowali. Pisali o tym w gazetach.

- Nic więcej? Nie byłeś tam ostatnio?

- A po co? - Wyglądał na szczerze zdziwionego.

Policjant chwycił go za koszulę na piersiach.

- To ja zadaję pytania, obywatelu! Czy nie odwiedzałeś Mons razem ze swoją Sulejką?

- Z nią? Skąd, nigdy!

Mimowiednie podniósł głos, ale zreflektował się i zaraz dodał:

- Przepraszam.

- A bez niej? - drażył policjant.

- Też nie. To pan pułkownik wie, że ja i ona...?

- Ja wiem wszystko. No, prawie. - Opadł na swój fotel i westchnął. - Jak będziesz współpracował, załatwię, żebyś mógł się z nią zobaczyć.

- Przecież współpracuję, podpisałem wszystko coście chcieli i czekam na przydział. Gdzie ona teraz jest, panie pułkowniku?

- Ach, więc i ty nie wiesz. Tak myślałem, nie ufali ci, i mieli rację. To są ścierwa, ale nie półgłówki, a ty słabo grałeś swoją rolę, człowieku. Teraz ona gdzieś się zasyła, przyczaiła razem z Omaarem i Sartim, i szykują robotę, w którą nie byłeś wtajemniczony. Niestety, tak to wygląda.

Pułkownik dźwignął się i podszedł do fragmentu telebimu, który wyświetlał mapę. Widać było miasteczka, autostradę, rzekę i ujście doliny, zagrodzonej tamą. Ogrom budowli robił wrażenie.

- Poznają - wyrwało się Emirowi.

- Ach, więc jednak?

- Nie, wczoraj wyświetlali wirtuala. Widziałem z góry ten teren.

- Bardzo dobrze. Przyznasz, że wybrali idealny obiekt?

- Nie rozumiem...

- Masz współpracować, do cholery! - krzyknął policjant, ale w jego zmęczonym głosie nie było zbyt wiele przekonania. - Więc nie strugaj idioty, kolego. Jedyne problem w tym, jak dostarczyć tonę trotylu w taki sposób, żeby nikt nie zauważył, nieprawdaż?

Emir wyprostował się i ścisnął poręcz krzesła. Był blady.

- Tak jest, panie pułkowniku. Wykonam każdy rozkaz, ale bardzo proszę o partnerskie traktowanie, oczywiście jeśli mam być współpracownikiem, a nie ciurą więzienną.

Vertejak zachnął się i mogło się wydawać, że chce uderzyć więźnia w twarz, ale zmienił zamiar i tylko klepnął go po ramieniu. Drzwi uchyliły się i zajrzał strażnik.

- Wszystko w porządku, szefie? - upewnił się, trzymając rękę na broni.

- Tak, nie przeszkadzajcie. Brawo, Emirze - zwrócił się do skazańca. - Wreszcie odzyskujesz wigor, tak trzymać. Od tej chwili jesteś współpracownikiem, ale zależnym, że tak powiem. Wyteż mózgownicę i uważnie słuchaj.

Znów zbliżył się do telebimu.

- Oni chcą wysadzić tę tamę - objaśniał, pomagając sobie laserowym wskaźnikiem, wyświetlającym czerwonego motylka. - Mamy dziesiątki

poszlak i kilka niepełnych dowodów. Rozmowy telefoniczne, e-maile, próby dotarcia do planów, przekupywanie urzędników. W sumie pewność, że coś złego się tam dzieje. Byłby niezły fajerwerk, a potem miliard ton wody wali się w dolinę, na miasta, wsie i osiedla, rozwalając wszystko po drodze. Czy wiesz, że od huku ludziom popękają bębrenki w uszach, zanim uderzy hydrauliczny młot?

- Przyznaję, że miejsce jest dogodne - przytaknął ostrożnie.

- Wreszcie mówisz rozsądnie. Jak myślisz, w którym miejscu należy uderzyć?

Emir podszedł do wyświetlanej planszy.

- Tutaj, gdzie mur jest najcieńszy i nie ma wzmocnień przy słuzach. Najłatwiej byłoby przekupić pracownika, żeby tygodniami przemycił po kilogramie plastiku i układał w jakiejś pustej komorze.

- Sprawdziliśmy, nic nie ma. Wszystkie puste przestrzenie zostały zbadane, obwąchane elektronicznie i przez żywe psy. Każdy metr muru jest wygłaskany przez płetwonurków, a lite ściany były kontrolowane echosondą. Zapora jest czysta, a personel inwigilujemy w sposób ciągły.

- Ho, ho - mruknął Emir z uznaniem. - Jak bojownicy mają walczyć w takich warunkach?

- No właśnie, interesuje mnie, jak rodzaj ataku wybierze ktoś o profilu myślenia azjatyckiego terrorysty. Dobrze się zastanów, nie ma pośpiechu.

Emir wzruszył ramionami, jakby sprawa była banalna.

- Z powietrza albo z wody. Najlepiej wychodzi klasyczny samobójczy atak przy użyciu samolotu, albo można odpalić ze wzgórza rakietę przeciwczołgową. Taka jednak będzie za słaba.

- Samolotem się nie przebiją, wojsko rozlokowało inteligentny sprzęt przeciwlotniczy najnowszej generacji. Są rakiety i działa laserowe.

- Wiec pozostaje woda. Brzegów jeziora nie da się wszędzie pilnować, a tonę plastiku można upchnąć w łodzi pod sprzętem rybackim, albo holować pod wodą we włoku. Jest blokada z podwodnych sieci?

- Brawo! Oczywiście, że tak - potwierdził pułkownik. - Ponadto zainstalowaliśmy echosondy i hydrolokatory, a powierzchnię zalewu patrolują kutry, wyposażone w noktowizory.

Emir zagwizdał przez zęby.

- Zupełnie jakby sam premier miał w Mons jeść obiadek. To musiało

nieźle kosztować!

- Ułamek strat przewidywanych w razie katastrofy, nie mówiąc już o ofiarach. Poza wszystkim mamy edukujące ćwiczenia, które właściwie stały się rutyną, od kiedy front przebiega przez każdą wieś i miasteczko.

- Może taniej byłoby spuścić wodę? Sucha zapora jest jak mur w lesie, a więc niegroźna.

- Bez sensu. Przecież nie o to chodzi, żeby wyłączać cywilizację. Z tych samych powodów nie będzie ewakuacji, bo potem można czekać sto lat, aż zrobią szczepionkę na terrorystów.

Żaden z mężczyzn się nie roześmiał. Emir stukał paznokciem w odsłonięte zęby.

- Nie wiem, naprawdę - oświadczył po chwili. - Oni... chyba się wycofali. To znaczy, ja tak bym zrobił na ich miejscu, gdzieś bym się zaszył i przeczekał. Przecież nie możecie trzymać tych sieci i wojska na stałe, to by wyszło za drogo.

- Nie wycofali się, kolego współpracownika. Wprost przeciwnie, są coraz aktywniejsi i myślą, ścierwa, że my tego nie wiemy. Albo gwizdzą na to, bo mają w ręku asa.

- Właśnie! Może znaleźli metodę, na którą nie macie sposobu - skwitował Emir. - Więc wygląda na to, że jednak zbliża się godzina zero. Nic na to nie poradzę, że jakiś jajogłowy dał się przekupić i zrobił opracowanie.

- Do licha, obiecuję, że dla ciebie to też będzie godzina zero! - Vertejak zerwał się i podszedł do drzwi. - Pomyśl sobie nad tym, zamiast co wieczór bezproduktywnie męczyć fiuta.

Emir cofnął się, ale nie przestraszył. Odczuwał nawet przewrotną radość, chociaż już nie wiedział, po czyjej tak naprawdę jest stronie. Swoje własne losy czytał jak pożyczoną książkę. Nagle zapragnął uciec na Ziemię Ognistą albo na Grenlandię, po prostu tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Z Sulejką, rzecz jasna, wierną i niezauroczoną żadnym innym ogierem.

- Aha, jeszcze jedno.

Pułkownik otworzył metalową szufladę i wyjął zafoliowany kawałek jedwabiu. Nie wypuszczając z rąk podsunął zawiniątko więźniowi pod nos. W środku były czerwone damskie figi w żółte kwiatki, obszyte filigranową koronką. Małeńkie burdelówki, trochę sponiewierane.

- Czy to należało do Sulejki?

Emira zapowietrzyło. Wytrzeszczy oczy i otworzył usta. Wyciągnął rękę i próbował chwycić zawiniątko, ale Vertejak zręcznie je odsunął.

- Pytałem o coś, kolaborancie.

- To znaczy... tak, panie pułkowniku - wyjąkał Emir. - To jej... garderoba.

- Doskonale. Stanowi najcenniejszą rzecz, jaką znaleźliśmy w twoim domu.

- Tak, dla mnie... też. Czy mógłbym...

- Nie, nie mógłbyś - chłodno oznajmił Vertejak i wrzucił majtki do szuflady, którą zatrzasnął. - Jeśli chcesz je włożyć, kupimy ci nowe.

- Czy mam odprowadzić więźnia? - spytał strażnik. Stał na progu, czujny i gotów do akcji.

- Tak - zezwolił komendant. - Prosto do psychotechników.

\*\*\*

Tym razem było południe i promienie słońca wnikały głęboko w toń zalewu. Na płycznach prześwitywało dno, widać było krzaczaste kępy roślin i ławice ryb, błyskające srebrnymi refleksami przy nawracaniu, a w głębszych nieckach majaczyły zarysy powalonych pni, pod którymi w zielonym mroku można było wypatrzyć ruch jakichś większych stworzeń. Szklista powierzchnia wody pokrywała się matowymi plackami w miejscach, gdzie uderzały podmuchy wiatru. Ruch powietrza wzmagął się wyraźnie na obrzeżach rozcapierzonych cieni obłoków.

Wyżej wiał silniejszy wiatr, który uderzał w twarz Emira i szumiał w piórach jego skrzydeł. Tak, miał skrzydła, przymocowane do ramion i zmyślnie podłączone do nóg systemem cięgien i dźwigni, i mógł latać. Co prawda każdy zamach wspomagały mruczące serwomotory, ale czy to było ważne? Latał jak ptak, i to się liczyło. Wzbił się tak wysoko, że hen za mierzwą lasu naliczył kilkanaście czerwieniejących dachówką wsi i miasteczek, a teraz opadał cichym lotem ślizgowym.

Opadał na zaporę, przyobleczoną w chłodny cień. Obniżył lot i teraz niemal muskał powierzchnię wody, czuł jej stęchły, przegniły zapach. Mur tamy zbliżał się i ogromniał, więc zmienił kąt nachylenia skrzydeł i wzniósł się nieco, wyhamowując. Gdy już dostrzegał fakturę betonu, poderwał się, aby przelecieć tuż nad budowlą. Rozgrzany mur

promieniował ciepłem, więc zwolnił jeszcze bardziej, rozkoszując się chwilą. Spostrzegł, że na betonie przysiadły dziesiątki ważek o szklistych skrzydłach, a inne kopulowały w powietrzu, spinając się łukowato wygiętymi odwłokami i polatując niezgrabnie. Wyraźnie słyszał warkot ich skrzydeł i wyobraził sobie batalion bojowych helikopterów, ćwiczących przedziwny powietrzny abordaż. Rozpostarł własne skrzydła i pomknął dalej.

Gdy był już poza krawędzią, od głębokiej doliny po drugiej stronie uderzył lodowaty powiew. Żołądek skurczył się, a nogi przebiegło mrowienie - pod stopami otwierał się obryw, cienista czeluść, na której dnie bieleły zamglone wodospady. Bez namysłu rzucił się w tę przepaść, nabierając prędkości, ciął coraz gęstsze powietrze gnącymi się lemieszami skrzydeł, pędził tak szybko, że wichur boleśnie chłostał go po twarzy, rozciągając skórę i wciskając gałki oczne. Uciekał przed czymś nieokreślonym, co ścigało go od szczytu zapory, było nad nim i kolejno po bokach, emanowało zimną trwogą, chwytającą coraz mocniej za gardło. Obejrzał się jeden jedyny raz, lecz zamiast prześladowcy ujrzał tylko ogromną, ciągle rosnącą budowlę z szarego betonu, pokrytą liszajami pleśni i porostów, gigantyczną ścianę sięgającą nieba. Wydawało się, że brzuch tego monstrum pęcznieje i faluje, jakby zaraz miał wydać na świat tysiąc ziejących ogniem smoków.

Naturalne pióra, wkomponowane w skrzydła, gięły się i furkotały w huraganowym wietrze, który kolejno wyrывał je z otulin w kompozytowej siatce. Mknął jak pocisk smugowy, zostawiając za sobą szlak rozwiewającego się pierza. Gdy spostrzegł, co się dzieje, było już za późno - nieliczne pozostałe pióra nie wytwarzały dostatecznej siły nośnej, aby dało się wyhamować.

Niespodziewanie pomógł mu ciepły prąd wstępujący, na który natrafił bliżej ziemi. Gdy wpadł w sferę mgły wzniecanej przez skłębioną wodę, wytryskującą spod śluzy, objął go silny powiew i zmniejszył szybkość na tyle, że znów miał szansę na wylądowanie. Wciąż trzymał resztki skrzydeł maksymalnie rozpostarte i wypatrywał dogodnego miejsca. Mógł celować w gęstwinę świerków, ale wtedy ryzykował zderzenie z pniem drzewa, mógł też wypatrywać łąki bez głązów i kamieni. Po krótkim locie wreszcie zauważył rzeczny polder, gdzie na podłożu z mułu naniesionego przez wodę bujna trawa konkurowała z

łopianami. To było idealne miejsce! Skierował się tam chybotliwym lotem koszącym i tuż nad ziemią spróbował złapać powietrze w skrzydła, ale manewr nie wyszedł. Ciężko runął w zielsko. Poczuł ostry ból w barku i usłyszał trzask łamiących się stelaży. Zaraz chciał się poderwać, ale nie wyszło, więc leżał przez chwilę spokojnie. Wyswobodził się z upręży, potem obrócił na brzuch i spróbował wstać. Udało się! Podniósł się, a pobieżne oględziny kończyn i wykonanie kilku prostych ćwiczeń utwierdziły go w przekonaniu, że tylko potłukł się, lecz kości, na szczęście, pozostały całe.

Wtedy usłyszał grzmot. Głuchy, najpierw dobiegający jakby spod ziemi, potem czystym tonem wydostający się nad powierzchnię, gwałtownie narastający, dudniący po pobliskich górach, rezonujący gdzieś daleko i powracający jak martwa fala od sąsiedniego pasma wzgórz. Spojrzał na niebo, pozostawało czyste i jasne, a małe obłoki nie mogły wygenerować burzowego ładunku.

- Hej, panie pilocie!

Cienki dziecięcy głos niósł się nad łąką i echem powracał od ściany świerków. Rozejrzał się, ale dopiero po chwili zauważył dziewczynkę, biegnącą w jego kierunku. Jak leśna południca wyłoniła się z wysokiej na metr, kłosałej się trawy.

- Nic się panu nie stało? Tak szybko pan leciał.

Mogła mieć pięć lub sześć lat, a może była trochę starsza, lecz niewielkiego wzrostu. Ubrana w staromodną białą sukienkę z wykrochmalonym kołnierzykiem, podeszła blisko i musiała zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w twarz, lecz nagle jej spojrzenie powędrowało w bok, gdzieś obok jego ramienia, i znieruchomiało, a oczy zrobiły się okrągłe. Potem dziecko rzuciło się i objęło go za nogę, przyłgnęło mocno, odruchowo szukając ratunku.

Wiedział, że nic nie można zrobić. Nie miał chęci patrzeć, ale machinalnie odwrócił głowę, robiąc jednocześnie półobrót całym ciałem. Jego zmysły próbowały traktować los jak przeciwnika, choć miał pełną świadomość, że oto kończy się jego świat, i świat tych wszystkich ludzi, zamieszkujących okoliczne polany, pobliskie wsie i dalsze miasteczka. Ale właściwie dlaczego miałby ich żałować? Czy jego naród nie jest w gorszej sytuacji, cierpiąc od wieków poniżenia, a także doświadczając systematycznej eksterminacji? Niech to, co się zaraz stanie, będzie

ostrzeżeniem!

Widok był apokaliptyczny. W stumetrowej ścianie zapory ziało potrzaskane pionowe pęknięcie, z którego wydobywała się dziwaczna fala, postawiona na sztorc, szarozielona tafla zwieńczona burą grzywą piany. Ponieważ masy były ogromne, wszystko odbywało się w zwolnionym tempie, jak na filmie grozy. *Nie, to nie jest film, chociaż wszystko tak dobrze pasuje niby puzzle - jak odróżnić te światy?*

Musiał przyznać, że jeśli to był spektakl, został zrobiony po mistrzowsku. Stumetrowy mur pękł aż do podstawy, a za kilka sekund dobiegł go potworny huk. Potem z obu stron wyrwy poczęły odłamywać się gigantyczne słupy, które odchylały się w ich stronę, pękając na fragmenty. Od środka napierała masa wody zielona na powierzchni i brudnoszara w głębinie, nieforemna bryła, góra ustawiona przez człowieka wbrew sile ciężenia, ślepy żywioł niosący zagładę.

Szarpnął się, chciał uciekać, schować się, przyczaić. Odczepił dziecko od siebie i odepchnął, ale zaraz potem chwycił i wziął na ręce. *Syndrom przyjaznego kontaktu z ofiarą, do którego nigdy nie wolno dopuszczać. Tak mówi Instrukcja.*

Nie było dokąd uciekać. Monstrualna góra wody właśnie rozsadzała resztki zapory i waliła się w dolinę. Wstrzymał oddech i zaczął się modlić, kierując twarz do niewidocznego stąd słońca.

Wtedy nadleciał śmigłowiec. Mała maszyna bzykała jak ważka, dwie wypukłe pokrywy kabiny z przyciemnionego tworzywa potęgowały podobieństwo pojazdu do owada. Podmuch od wirnika kładł kolisko trawy.

- Daj rękę!

Z kabiny wychylał się potężnej postury mężczyzna. Miał twarz pułkownika Vertejaka.

Podbiegł i próbował uchwycić wyciągniętą dłoń, ale brakło dziesięciu centymetrów. Gdzieś za plecami narastał grzmot milionów ton pędzącej wody i coraz bliższy łoskot rozrzuconych skał i drzew kładzionych pokotem. Zamachnął się jeszcze raz, ale dopiero gdy pilot obniżył maszynę, udało się złapać czubki palców. Dopasowywali chwyt, gdy w pobliżu plasnęła kamienna bomba, wyrzucona uderzeniem monstrualnej fali.

- Zostaw to dziecko!



- Nie!!

Policjant wysunął buciór i zepchnął dziewczynkę z powrotem na trawę. W swojej białej sukience wyglądała z góry jak śmieć. Zielsko kładło się teraz równo na całym polderze, bo czoło fali pchało przed sobą huraganowy szkwał.

- Dlaczego!?

Nie tracąc czasu na wciąganie go do środka, Vertejak wolną ręką ostro poderwał maszynę. Śmigłowcem zakreśliło, gdy w karoserię uderzył wir powietrza, a na koła podwozia bryznęła brudna piana. Łoskot był taki, że od bólu w uszach i ucisku na klatkę piersiową omal nie stracił przytomności. Z trudem zyskiwali wysokość, lecąc nad rozszalałą rzeką szerokości kilometra. Potężne zawirowania rzucały maszyną jak zerwanym liściem.

Pułkownik ustawił autopilota i chwycił go obiema rękoma, a potem przeniósł przez właz lekko jak kurczaka. Spojrzał spode łba.

- Altruizm nie jest w twoim stylu, kolaborancie. Co knujesz?

- Nic... Na co ta ofiara, pułkowniku?

- Owszem, była potrzebna. Jesteś tylko obserwatorem tego odgałęzienia, więc zmiany wykraczające poza sekwencję są niedozwolone. I tak nie jestem pewien, czy nie będzie przepięcia, inkluzja nastąpiła w obszarze stykowym. Już?

- Słucham, szefie?

Policjant sięgnął i położył mu dłoń na powiekach, jakby zamykał oczy umarłemu. Gdy znów rozbłysło światło, psychotechnik manipulował przy opasce wideo.

- Miał żeś cholerne szczęście, synku - obwieścił z nutką żalu. - Mało brakło, a giej by ci sie zagotował pod sufitem, he, he.

\*\*\*

Nancy była w połowie cyklu i pułkownik Vertejak dostawał szału. Nawet zrezygnował z parzenia kawy, bo aromat kolumbijskiej plantacji wydawał mu się mdły w porównaniu ze smugami piorunujących zapachów, jakie ciągnęła za sobą dziewczyna paradująca wdzięcznie jak gazela i meldująca z podanymi do przodu biodrami, na których przepisowo wspierała łokcie. Słuchał jej, ale nie słyszał, gładził brzeg biurka i dotykał własnej klatki piersiowej, pozorując poprawianie

munduru. Nancy tłumiała śmiech, ale była szczęśliwa i dumna z siebie, bo na nikim nigdy nie robiła aż takiego wrażenia. Musiała staremu przyznać, że nawet jak gotowały mu się wnętrzności, zawsze trzymał łapy przy sobie, a stymulację na odległość zaliczała do czegoś w rodzaju *role playing games*, a nie do prawdziwych zalotów.

- Szefie, przyszedł doktor Anderblum. Pięć minut przed czasem.

Vertejak wracał bardzo powoli do przyziemnej rzeczywistości. Zogniskował wzrok na zegarku. Była za pięć jedenasta.

- Prosić.

Doktor stąpał ciężko jak słoń i wycierał rękawem spocone czoło. Źródło psychodelicznych zapachów zniknęło za drzwiami.

- Chodź, El Gordo, siadaj. To co zwykle?

- Nie, dziękuję - wysapał. - Muszę ochłoniąć, tam na zewnątrz wrzątek leje się z nieba.

- Jak wolisz. Gdzie przebiega front operacyjny?

Gość podniósł dłoń.

- Między moim kciukiem a palcem wskazującym, bo właśnie one zwykle prowadzą skalpel. Jestem gotowy, mogę zaczynać jutro rano.

- Wolnego, poczekaj! Muszę zrobić jeszcze jedno warunkowanie, inaczej całe przedsięwzięcie weźmie w łeb. Trzeba też uzgodnić szczegóły, nie powiedziałeś mi wszystkiego.

Anderblum westchnął i podniósł wzrok do niewidocznego nieba.

- Gdybym opowiadał ci o wszystkich technicznych szczegółach, obaj tracilibyśmy czas. Zrozum, że utrzymuję w gotowości interdyscyplinarny zespół, złożony z ludzi pościąganych ze wszystkich cywilizowanych zakątków świata. Nie mogę czekać, bo towarzystwo się rozjedzie!

- Bez obaw, wytrzymają jeszcze jeden dzień, królowa płaci im niezłe diety. Dla ciebie to wszystko jest kolejnym eksperymentem, dla mnie musi mieć praktyczną kontynuację. Krótko mówiąc, nie wyzbyłem się wątpliwości.

- Przecież opowiadałem o wszystkim, co istotne. Co jeszcze chcesz wiedzieć? Ile neuronów ma sklonowany mózg? Nie mam pojęcia, bo nie wiem, jak je definiować! - Anderblum nie ukrywał rozdrażnienia.

- Gwiżdżę na neurony. Chcę wiedzieć, przez jaki okres mini-klon mózgu pozostaje sprawny w stu procentach?

- Dwa takie klony działają już od sześciu tygodni i nie wykazują oznak

zmęczenia. O procentach wolę nie mówić, bo twory potomne jednak trochę różnią się od pierwowzorów. Poza tym wciąż uczą się, przecież są noworodkami, nic nie szkodzi, że starymi.

Pułkownik wstał i zaczął przechadzkę po pokoju. Bezwiednie tropił ślady zapachu Nancy, ale myślał o czymś innym - jak długo utrzyma się na stołku, jeśli eksperyment nie wyjdzie. W końcu, z definicji, nie wszystkie eksperymenty się udają.

- No właśnie - mruknął. - Możemy uzyskać przyjemniaczka o nieprzewidywalnych reakcjach, i co wtedy?

- Nie ma mowy, w końcu bierzemy te same neurony, a różnice sprowadzają się do ilości i systemu wspomaganie. Tamte oba mózgi wykazują ciągłość jakościowych funkcji w odniesieniu do dawcy i względną stabilność w czasie. Są wszczepione...

- Dobra, o tym już mówiliśmy. Jak chcesz wyposażyć naszego Emirali?

- Ja chcę? - przerwał mu Anderblum. - Może róbmy protokoły rozmów?

- No dobrze, chciałem, aby miał minimum środków do prowadzenia akcji. Musi je mieć, żeby działać efektywnie, prawda? Tylko ciągle nie jestem pewien, czy użyje ich właściwie. Co proponujesz?

Lekarz rozłożył ręce.

- Wchodzimy na twoje poletko. Chciałeś fabrykę chemiczną, więc ją przygotowałem. Stanowi zupełnie nowatorskie rozwiązanie i bazuje na wspomagających biochipach molekularnych. Jest rewelacją, załączkiem sztucznej inteligencji, bo działa na intuicyjne polecenie! - Podniecony Anderblum gestykulował gwałtownie. - Tak naprawdę nikt nie wie, jak działa, bo wytworzono ją metodą celowej hodowli ewolucyjnej.

- Nie zadziała w sposób przypadkowy?

- Nie ma takiej możliwości. Jest posłuszna jak pies, który wykonuje polecenia, ale przecież nie wiadomo, dlaczego, ani co się wtedy dzieje w jego ustroju.

- A broń? - Vertejak wciąż wyglądał na zafrasowanego. Czuł, że uwolnił siły, które zaczynają przerastać możliwości kontroli. A właściwie już je przerosły. Dżin z butelki, puszka Pandory... nic nowego pod słońcem. A może raczej genialny wynalazek, system operacyjny Vertejaka-Anderbluma? Brzmi nieźle.

- Ma tylko broń chemiczną, za to niezwykle skuteczną - objaśniał lekarz.

- Hmm... A co z komunikacją?

Lekarz wzruszył ramionami.

- Można go skanować nieniszcząco, ale tylko z małych odległości, w laboratorium. Nic innego nie dało się zrobić. Kontakt radiowy nie wchodzi w rachubę, bo brak źródła energii o wystarczającej mocy. Telepatii jeszcze nie odkryliśmy, szefie. Aha, można tak zrobić, żeby nadawał alfabetem Morse'a w ultradźwiękach i odsłuchać w selektywnym paśmie za pomocą prostego dekodera, ale najwyżej na dystansie kilkunastu metrów.

- Dobrze i to. Czyli potrafi złożyć raport. Można go będzie zlokalizować?

Anderblum uśmiechnął się.

- Wyłącznie olfaktorycznie. Ale nawet jakbym dorobił ci dodatkowy metrowy nos i usensorował na jego feromony, nic by z tego nie wyszło. Po pierwsze: czułość za mała, po drugie: nie jesteś samicą. Może jednak dałbyś coś na przepłukanie gardła?

Vertejak przywołał Nancy, chociaż mógł złożyć zamówienie przez interkom. Jego idiotycznie rozanielona mina wprowadziła Anderbluma w zakłopotanie.

- Jak samiec bombikola - mruknął do siebie.

Ale policjant usłyszał. Zacisnął szczęki.

- Złotko, przynieś nam dwa ciepłe kebaby, automat już naprawili - polecił Nancy protekcjonalnym tonem. Gdy wybiegła, odwrócił się do doktora.

- Odczep się od niej, doktorku - wycedził. - Po prostu zostaw ją w spokoju!

Anderblum wytrzeszczył oczy.

- O co ci teraz chodzi, Flis?

- Co masz w kieszeni? Nie, w tej drugiej!

- Moja... sprawa. Nie masz prawa mnie rewidować!

- Pokaż! Mogę cię oskarżyć!

- Proszę! - Anderblum sięgnął do spodni. - Zadowolony?

Vertejak chwycił mały przedmiot i obejrzał z bliska. Skinął głową.

- A teraz chodź. No rusz się, grubasie!!

Pociągnął go do sekretariatu i postawił przedmiot na blacie biurka Nancy. Jak w reklamowym klipie, w czarnej powierzchni odbijały się dwa identyczne lipstyki.

- No i co z tego? - Anderblum wzruszył ramionami. - Nie tylko mnie pierzchną wargi.

- Ach tak, pierzchną - przedrzeźniał stary. - Prawda, że w twardej wazelinie świetnie rozpuszczają się specyfiki hydrofobowe? Mówić dalej?

- Nie mam pojęcia, do czego pijesz.

- Więc weźmy je do spektrometru mas. Typuję ludzki feromon Yombacha. Pamiętaj, ten sztyfcik po prawej był w twojej kieszeni.

- Ależ... Poczekaj, ja... - jąkał się doktor.

- Co masz do powiedzenia?

- Ja tylko tak... Też chciałem. Jestem mężczyzną.

Policjant chwycił go za kołnierz i szarpnął w górę. Ostatnio zbyt łatwo tracił panowanie nad sobą.

- Ty draniu! Tacy powinni gnić w pierdłu! Jak to robiłeś? Gadaj!!

- Poczekaj, zaraz powiem! Podmieniałem jej sztyfty i nasączałem swoim charakterystycznym Yombachem. Nie szarp! Przysięgam, to nie był kaprys na jeden wieczór. Zrozum, Flis, ja inaczej nie mam szans, popatrz na mnie...

Ktoś odkaszlnął. To była Nancy.

- Automat był zepsuty - powiedziała cicho.

Podeszła i stanęła przed lekarzem. Jej głos zabrzmiał spokojnie i smutno.

- Doktorze Anderblum, zaskarżę pana do sądu, jeśli zrobi pan to jeszcze choćby jeden raz. Jeśli pan musi tu przychodzić, proszę się do mnie nie odzywać.

- Jest mi tak przykro, Nancy. Ja naprawdę przepraszam...

- Nie brnij dalej, głąbie - poradził Vertejak, który nagle stracił animusz. - Chodźmy, trzeba jeszcze omówić kilka pilnych spraw. A ty, złotko, zrób nam coś do picia. Jeśli nie chcesz obsługiwać tego gburą, przynieś obydwie szklanki dla mnie, zgoda? Aha, nie zapomnij wyrzucić wszystkich sztyftów, nawet tych, które masz w domu.

Gdy drzwi się zamknęły, policjant napisał na kartce:

*Byłeś dla niej pedziem, który daje, i wpadała w chorobliwą ekstazę, gdy*

*wyobrażała sobie siebie w zalotach. Deformowałaś jej emocjonalną percepcję, a sam się ośmieszałeś. Sama mi to powiedziała.*

Anderblum czuł, jak pot spływa mu po plecach. Odpisał:

*Chciałem inaczej. Wymknęło się spod kontroli. Kończę.*

Vertejak widocznie też uznał sprawę za zakończoną, bo zmiął kartkę i wrzucił do niszczarki, zanim Nancy oprzytomniała na tyle, żeby włączyć podgląd.

- No dobrze - sapnął. - Zanim dostaniemy drinki, ustalmy harmonogram. Myślę, że możesz zaplanować zabieg na pojutrze. Zacznij o ósmej rano, zgoda?

- Pojutrze o ósmej - powtórzył lekarz, odruchowo trąc dłońmi spodnie na udach. Wreszcie usłyszał to, co chciał.

\*\*\*

Fala już przeszła. Miliard ton wody runął lawiną rozmiarów góry, przewalił się łożyskiem doliny jak morski sztorm, na pogórzcu przetoczył się kilometrowej szerokości bystrzynami po pagórkach łąk i pól, podzielił się na setki rzek i strumieni i dotarł do równin, gdzie spowodował już tylko gwałtowny przybór lustra naturalnych cieków i wodnych zbiorników, i w końcu spłynął do morza. Ale najpierw trzydziestometrowe fale uderzyły jak hydrauliczny taran w miasteczka, wsie i osady, zmiotły i uniosły z prądem drewniane domy, a także - z równą łatwością - to, co zostało z solidnych kamienic i wież kościołów, natomiast ludzi rozprasowały o najbliższe przeszkody. Niektórzy umierali dłużej, bo zostali wyrzuceni w powietrze i rozbijali się spadając, albo nadziewali się na potrzaskane pnie czy sztachety płotów. Najliczniejsi, z kończynami połamanymi przez wiry, tonęli w skotłowanym nurcie lub dusili się w zalanych piwnicach, dokąd schronili się przerażeni narastającym grzmotem. W ciągu kwadransa zginęło sto tysięcy ludzi.

Emir widział to wszystko. Był obserwatorem, przenoszącym się zawsze tam, gdzie działo się najgorzej. Błyskawicznym lotem dotarł w pobliże człowieka, któremu trakcja elektryczna równo ucięła głowę. Młoda kobieta szybowała jak ptak pięćdziesiąt metrów nad rynkiem, który jak oko cyklonu na moment wynurzył się z odmętów i błyszczał siną kamienną kostką. Dwoje starszych ludzi wypływało i nikło pod

rozmydloną powierzchnią, lecz kipiel nie rozerwała ich splecionych rąk.

Przeniósł się tam, gdzie spotkał i zostawił dziewczynkę w białej sukience, ale nawet nie zdołał zlokalizować rzeczno polderu, na którym lądował poprzednim razem. Ta okolica poddana została najcięższej próbie - las leżał pokotem z pniami zwróconymi w jednym kierunku, a większość terenu pokrywała kilkunastometrowa warstwa błota i żwiru.

Zawrócił do miasta. Panował tu spokój i bezruch, tylko czasem z rumorem obsuwała się resztką ściany albo plasnęło zapadające się rumowisko. U podnóża wzniesienia, z zalanych ruin sterczał silnie przechylony cokół meczetu. Po lądowaniu na pochyłej skarpie próbował tam dojść, ale coraz głębiej zanurzał się w grząskim błocie. Przystanął, gdy breja sięgała mu do kolan i zaczął się modlić, gdy coś dotknęło jego nogi. Z mułu wystawała szara ręka, umazana gliną. Palce dłoni były rozcapierzone i zakrzywione jak szpony.

Wzruszył ramionami i spojrział w blady błękit nieba.

- Dla dobra większości - oświadczył pełnym głosem. Spróbował sobie wyobrazić, że wyjaśnia to nieznajomej dziewczynce, która szukała u niego pomocy, a potem młodej kobiecie, która szła pod rękę z narzeczonym, gdy nagle jakaś potworna siła wyrzuciła ją na wysokość wieżowca.

Wierzchem po błocie napływało coraz więcej wody i ręka topielca zaczęła wykonywać powolny ruch wahadłowy, jak kij wystający z nurtu. Chciał wycofać się na wyżej położony teren, lecz jego noga zaplątała się w coś, drut czy może zwój liny. Szarpnął się, ale ucisk wokół kostki stał się mocniejszy. Sięgnął pod wodę, ale natrafił na płataninę drutów, belki i coś meduzowato miękkiego, co mogło być rozciętym ciałem. Tymczasem woda, uwolniona z zasieków leśnych gdzieś w górnej części doliny, napływała falami i sięgała coraz wyżej: po pachwiny, do piersi, wreszcie po szyję. Położył głowę na płask, aby chwycić powietrza, ale już słyszał poszum kolejnego przypływu. Czuł, jak ręka topielca szturcha go w bok, tańcząc w prądzie pod powierzchnią.

- Ratunku! - wychrypiał. Woda zalewała mu usta. Miał tak słaby głos, że sam ledwie go słyszał.

Ale ktoś przybywał na ratunek. Narastał warkot silnika, fala wywołana ruchem amfibii nałożyła się na przybór napływającej wody i

jego głowa znalazła się pod powierzchnią. Jednak zanim zakrztusił się, przybysz wepchnął mu między wargi ustnik i do bolących płuc dostało się chłodne powietrze. Oddychał zachłannie modląc się do tego Boga, który go uratował. Cóż, nikt nie dowie się o tym małym wiarołomstwie.

Wydawało mu się, że obok pracuje kilku nurków, ale był tylko jeden, za to słusznej postury. Rozplątywał druty, usuwał przeszkody, wreszcie oddał serię z pistoletu, która przeniosła się pod wodą bolesnymi wibracjami. W końcu poczuł, że jest wolny i wypłynął. Dryblas o twarzy pułkownika Vertejaka natychmiast pochwycił go, wciągnął do niewielkiej amfibii, po czym ruszyli wskroś rozlewiska. Ruiny miasteczka wraz z wieżą meczetu zdążyły już schować się pod powierzchnią stale przybierającej wody.

- Okaze się, ile skorzystałeś, gdy nastanie czas próby - sentencjonalnie stwierdził policjant. - Musimy się spieszyć. A teraz popatrz na mnie, zrobię ci zdjęcie.

Wyjął kieszonkową kamerę i błysnął fleszem. Światło było oślepiające i rozlało się na całe pole widzenia, w środku pulsowało bolesnym błękitem, a na obrzeżach powoli czerwieniało. Przez jasność powoli przesiąkał kontur twarzy, wykrzywionej nieprzyjaznym grymasem.

- Budzi się, śpioch dundolony. Odfajkujemy końcowy seansik brudasa i niech spada. No, jazda!

Technik odpiął ostatni pasek, trochę za mocno krępujący kostkę lewej nogi. Miał suche, szponiaste palce i pergaminową skórę. Drugi zaznaczył coś w książce wpisów i przywołał strażnika.

\*\*\*

Emirowi zaaplikowano *szybkiego strażaka* albo nawet coś lepszego, i teraz wieziono go na łóżku niklowanym jak jakiś rolls-royce, pod sutą draperią z zielonego prześcieradła. Zamyślony sanitariusz przypominał Buddę z plakatu sekty Hari Kryszna, a dwie pielęgniarki swiergoliły w nieznanym języku i były boleśnie piękne: jedna miała lekko skośne, ogromne oczy i złocistą cerę, wskazującą na stałe korzystanie z turbo-sunshine, zaś druga wyglądała na miss Gotlandii z aureolą blond włosów i przeświecającymi na różowo nozdrzami i konchami usznymi. Obie były tak zgrabne, że przy każdym ruchu ich bioder, przemieszczających się na



wyciągnięcie palca po obu stronach łoża, doznawał wielokrotnego orgazmu jelitowego, który wędrował kiszkaми niby sznur kulistych, gładkich koralii. Czuł się naprawdę świetnie, więc co chwila chichotał i próbował pozdrawiać mijane osoby.

Doktor Anderblum również dobrze ocenił jego kondycję.

- Szanowni zebrani - zagał. - Oto dorodny egzemplarz zdrowego mężczyzny, wiek dwadzieścia sześć lat, mózg typowy, bez uszkodzeń czy urazów, umysł nieskomplikowany, średnio penetracyjny, inteligencja też średnia, wiedza podstawowa, odruchy typowe. A więc nieobciążony przeciętniak, obiekt niemal doskonały.

Zrobił teatralną przerwę i powiódł wzrokiem po zgromadzonych. Wokół stołu operacyjnego tłoczyło się kilkanaście osób, ubranych w maseczki i zielone fartuchy.

- Mówię "niemal", bo naprawdę doskonały byłby egzemplarz powtarzalny, czyli wzięty z linii klonów. Jak wiemy, klonowanie ludzi jest zabronione. Ale nie mózgów, drodzy państwo! A także - tu zniżył konfidencjonalnie głos - umysłów. Bo to, co dzisiaj zrobimy, zasługuje raczej na to drugie określenie. Tak, sklonujemy umysł tego człowieka!

- Do rzeczy! - przerwał wysoki, mocno szpakowaty mężczyzna. - Wszak wiemy, po co ześmy się zebrali. Zaczynajmy.

- Chwileczkę. Naszymi gośćmi są także studenci Szkoły Medycznej, im jestem winien kilka słów wprowadzenia. Więc pozwoli pan, profesorze?

Tamten rozłożył ręce, po czym zagiętym palcem postukał w cyferblat zegarka. Z profilu przypominał sępa o małej, niemal białej głowie.

- A więc, droga młodzieży, słuchajcie uważnie, bo będę mówił samymi streszczeniami. Wiadomo wam, że zniszczenie części mózgu, na przykład w wyniku zatoru czy operacji guza, skutkuje porażeniem, które jednak może się stopniowo wycofać. W takim przypadku inne partie mózgu w pełni przejmują funkcje obumarłej czy usuniętej tkanki. Okazuje się także, że czasami jedna półkula może w pewnym stopniu przejąć funkcje całego mózgu. A ludzie z zaawansowanym wodogłowiem? Żyją i myślą zasadniczo normalnie, choć bywa, że ich kora mózgowa zostaje sprasowana do warstewki o grubości zaledwie kilku milimetrów! My w naszych badaniach poszliśmy jeszcze o krok dalej, mianowicie pobieramy tylko po kilkadziesiąt neuronów z kluczowych partii mózgu i umieszczamy w odpowiednio przygotowanej

czasem biorcy. Aby asymilacja dominujących komórek dawcy była efektywna, wprowadzamy wspomagające biochipy molekularne, uzyskane metodą celowej hodowli ewolucyjnej. Mówiąc prościej, dodajemy nadmiar aksonów i dendrytów, otrzymanych sztucznie na bazie komórek dawcy i stanowiących rodzaj wspomaganie dla przeszczepianych neuronów. Nie pytajcie, jak działa sztuczna inteligencja, bo tego - z definicji - nikt wiedzieć nie może, nawet sama Alka. Tak, właśnie tak to jest: wyhodowane aksony stanowią czynnik usprawniający i kierunkujący dla nowego mózgu, czyli coś w rodzaju pre-Alki, bo jej inteligencja objawia się dopiero w symbiozie z nowym układem, i jedynie z tym układem. Czyżbym nie wyrażał się jasno?

- Czy próbowano tych biochipów bezpośrednio na dawcy? - zainteresował się jeden ze studentów.

Anderblum skrzywił się.

- Drogi kolego, metoda hodowli biochipów została rozwinięta w innym celu niż wspomaganie własnej inteligencji. Ale dla porządku przetestowano i ten wariant. Niestety, a może na szczęście, efekt był negatywny - po gwałtownej fazie stymulacji stwierdzano regresję i kolaps mózgowy. W przypadku małych dawek po okresie śpiączki następowała resorpcja i powrót funkcji, po aplikowaniu dużych kończyło się stuporem i trwałą amnezją. Czy są inne pytania?

- Jeśli dobrze rozumiem, to razem z neuronami dawcy przekazuje się pewien zespół jego cech mentalnych, a zdominowanie mózgu biorcy następuje w wyniku akcji biochipów? - zapytał inny student.

- Tak, to uproszczony, ale zasadniczo poprawny schemat. Aby usprawnić proces, wstępnie osłabia się lub dezaktywuje wyższe funkcje mentalne biorcy.

- Czy nawyki i pamięć krótkookresowa klonowane są zawsze, a jeśli tak, to czy w zadowalającym stopniu? - Tym razem pytanie padło z grupy naukowców.

- Tak, i właśnie to jest najważniejsze. Można powiedzieć, że klonujemy nie organ, lecz jego wyższe funkcje, a więc dochodzimy do nowego poziomu proliferacji wszystkich cech, nie tylko genetycznych, lecz również nabytych, włącznie z pamięcią. Należy dodać, że przy zastosowaniu opisanej techniki minimalnej bazy, kiedy rozporządzamy niewielką liczbą komórek, kilka procent informacji przepada, mogą także

pojawić się nieoczekiwane hybrydy retrospektywne. Ale te zjawiska zaliczyłbym do marginalnych.

- Czy szanowni studenci nie mają nic przeciwko temu, abyśmy rozpoczęli zabieg? - ponaglił szpakowaty profesor.

- Sądzę, że na początek tyle wyjaśnień wystarczy - zgodził się Anderblum. - Na bardziej szczegółową dyskusję zapraszam po operacji.

Wyciągnął ręce do automatu, który płynnym ruchem założył mu sterylne rękawiczki. Tymczasem pielęgniarki przeprowadzały testy gotowości mikrochirurgicznych robotów i stroiły monitory i telebimy. Na jednym z nich widniał nieruchomy, olbrzymi łeb z fasetowymi oczami i szczękami drapieży.

- Siostrzo, proszę skasować nadmiarową zieleń - poleciał profesor.

- Nie ma żadnych nadmiarów, sir. TO COŚ naprawdę jest zielone.

Emir w głębokiej narkozie leżał pod bezcieniowym jupiterem, przypięty pasami do stołu.

- Co z nim będzie? - spytała starsza kobieta o smutnych oczach, wskazując na bezwładne ciało.

Anderblum wzruszył ramionami.

- Został skazany na karę śmierci. I tak robimy dużo, umożliwiając mu przedłużenie egzystencji.

\*\*\*

Nagły błysk. I uderzenie. I jeszcze raz, potem kolejny, i znów coś wali go tępo, bezboleśnie, a świat skacze jak oszalały, ucieka na boki. Słyszy dudniący odgłos, z drugiej strony odpowiada mu inny, trochę wyższy, drażniący wibracjami. W końcu w krajobraz cieni o różnym stopniu szarości wlewa się rzeka czerni rozjaśniana wewnętrznymi wyładowaniami, która obezwładnia i koi. Uderzenia tracą moc, stają się mniej dokuczliwe. Nadchodzi odurzenie i niespokojny sen.

- Wystarczy, Bill - upomniał Anderblum. - Odstaw ten chloroform, bo uśpiasz go na wieki.

- W porządku. Chyba przyznasz, że pacjenta należało trochę uspokoić. W tej chwili powinno kończyć się sieciowanie neuronów. Prawdę mówiąc, nie chciałbym teraz znaleźć się w jego skórze.

- A ja tak - stwierdziła jedna ze studentek. - Może nie na stałe, ale

przez małą chwilę... Zwłaszcza po *ekspozycji na atraktanty*, jak zwykł mawiać nasz tutor.

Rozległy się śmiechy, na co EmirII zareagował gwałtownym skurczem tułowia.

Napływają nowe wrażenia, przedzierają się przez ustępujące otępienie. Ból, przede wszystkim ból, wznoszący się i opadający, sygnalizujący zewnętrzne zagrożenie lub fizjologiczną niesprawność - od tej chwili już zawsze będzie mu towarzyszył. Kiedyś obiecywano, że bólu nie będzie, ale stało się inaczej, a on musi nauczyć się z nim żyć. Poruszające się niemrawo szare stożkowe wzniesienia zaczynają coś przypominać, kojarzą się z zapomnianymi kształtami. Z góry płynie mętny blask, a wokół rozpościera się nijaka, wodnista płaszczyzna, na której w różnych miejscach raptownie rozwijają się dziwne kwiaty, tylko po to, by zaraz zniknąć. Ich barwa jest trudna do opisu, ciemny amarant miesza się z głębokim odcieniem bordo. Nie, to nie kwiaty, raczej znów rozbłyski, lecz mniejsze i przybierające nieregularne, postrzępione kształty. Kiedyś widział film o fraktalach, były podobne.

Docierające z różnych stron grzmoty nie tylko słyszy, ale boleśnie odbiera całą powierzchnią ciała. Urywany, dudniący odgłos, coś jak stukrotnie wzmocniony... kaszel? Co oznacza to słowo? Kiedyś wiedział, i jeszcze sobie przypomni. Ale narastający przerywany łoskot nie jest kaszlem. Tak, to przecież śmiech! Zwyczajny śmiech całej grupy ludzi, tyle że rezonujący w niewielkim pomieszczeniu. Rezonans, nakładanie się, wzmocnienie... te terminy także są znajome. Ludzie śmieją się, więc trzeba do nich dołączyć, będzie wspólna zabawa. Ale jak? Potrafi wyobrazić sobie śmiech, ale nie umie się zaśmiać, nic z tego nie wychodzi, odczuwa tylko nieznaczące skurcze w brzuchu. Próbuje przetrzeć oczy, i to udaje się doskonale, ale jakoś inaczej, ręka od tyłu przeczesuje całą głowę, oczy, usta. Natychmiast włącza się drugie ramię i oba naprzemiennie czyszczą głowę szybkimi ruchami, zaczynając daleko, od karku. Wtedy dostrzega swoje przedramiona - są nie tylko szare, jak wszystko wokół, ale jakby...

Nie ma czasu oglądać swoich rąk, bo nagle wokół eksploduje purpura. Chwilę przedtem zapada cisza, jakby wszyscy czekali na coś ważnego, ustają łomoty pokasywania i dudnienie rozmów. W ciszę wsącza

się brzęk szkła, i natychmiast rozpoczyna się ostrzał. Wszystkie eksplozje widoczne są po tej samej stronie, więc bombardowanie zachodzi z jednego miejsca. Purpura wybucha tuż obok, jakby nadlatujący pocisk natrafiał na niewidoczny ekran, a potem rozplywa się opalizującymi falami - wydaje się, że ma metaliczną, a jednocześnie przezroczystą powierzchnię.

Zrywa się, aby biec naprzeciw tej barwie, musi to zrobić. Odczuwa lęk, ale jest on spychany przez kategorię imperatywu ruchu, tym bardziej, że w ciało wbijają się dźwignie, które powodują ruch i nadają kierunek. Osadzenie prętów dźwigni nie wywołuje bólu, ale ich zakończenia trzymają się mocno, więc układ ma dobrą sterowność. Nie wie, czy zrywa się pod wpływem impulsu, czy jest wleczony na prętach jak kukła, ale w efekcie... unosi się w powietrze. Tak, może latać! Lot odbiera podobnie realistycznie jak kiedyś, podczas wirtualnych pokazów warunkujących.

I nagle następuje zadziwiająca odmiana - cały krajobraz staje się kolorowy. Ruch powoduje, że płaskie twarze ludzi widoczne są tak, jakby zostały powleczone ochrą, prześcieradła na stole operacyjnym robią się amarantowe, zaś z otwartej butelki, stojącej na stoliku z narzędziami, wylewa się oleista czerń, spływa po blacie i skapuje na podłogę, a znad powierzchni tej rzeki unosi się czarny dym. Czym szybszy ruch, tym bardziej pokolorowany jest świat, a barwy robią się wyraźniejsze.

Jednak nie czas na ciekawostki, bo oto przestrzeń z jednej strony staje się aż gęsta od purpury, napływającej opalizującymi falami. Podczas aktywnego lotu nie ma błysków, które zostają zastąpione przez trwałe kolory, lecz dźwignie działają równie sprawnie - nadają kierunek lotu i brutalnie popychają. Na brzegu stołu spoczywa skrzydlaty kształt, źródło purpurowego szaleństwa, i na jego widok Emir II rzuca się z impetem naprzód. Nie ma już nic innego, tylko pierwotny instynkt zapłodnienia i unicestwienia, kopulacji i mord. Koszącym lotem dopada królewskiej purpury i w paroksyzmie rozkoszy uderza w nią tym wszystkim, czym może: chwyta ją szczękami drapieży, przyciąga odnóżami, wbija w nią narząd kopulacyjny, a w końcu zatapia w niej tytanowe żądło. Wzlatuje szcepiony ze swoją ofiarą, trwając w bezwolnym atawistycznym orgazmie, i wykonuje w powietrzu taniec, w którym życie i śmierć są reprezentowane przez tę samą figurę, a przestrzeń eksploduje

szkarłatem. Wreszcie, po upływie sekundy, roku albo wieczności, odrzuca partnerkę i powoli wzlatuje wzdłuż szyb i półek, wzbija się ponad rzędy butelek i sunie wzdłuż niklowanego ramienia robota. Wskroś srebrzystej powierzchni, lotem takim jak on sam, w krzywym lustrze pełnie dorodny samiec ważki, *Anisoptera aeshna*. Wzbija się do poziomu ogromnej dłoni o barwie sjeny, rozpostartej jak lądowisko dla helikopterów, i siada na jej brzegu. Gdy przestaje się przemieszczać, świat traci ciągłość barw i znów zaczyna bombardować sporadycznymi rozbłyskami.

- Zabiłeś ją - dudni głos potężny jak grom. Pęd powietrza wygina mu skrzydła, ale chwytne odnóża dobrze trzymają się rowkowanej skóry. - Musisz nauczyć się osobnego używania żądła, bo ono stanowi broń, którą dostałeś od nas.

Rozpoznaje twarz pułkownika Vertejaka, która okazuje się wysoka, szara i zniszczona jak fasada secesyjnej kamienicy. Wygina odwłok i wysuwa tytanowe ostrze, lecz żółte rozbłyski o stonowanym odcieniu sjeny, pojawiające się na garbach skóry dłoni, w którą się wczepił, uaktywniają kolejny imperatyw i nowa dźwignia uderza w ciało, wpychając broń z powrotem na jej miejsce.

- He, he, doktor Anderblum nie sknocił roboty i pamiętał o takim drobiazgu, jak nasze bezpieczeństwo. A teraz odpocznij, Mikroemirku, bo jutro pomagają cię lekarze i uczeni, a pojutrze wstępujesz do mnie na służbę. Nie potrzebujesz długiej rekonwalescencji, bo twój czas płynie szybciej niż nasz, żołnierzu.

\*\*\*

Ilja miał siedemnaście lat, śniadą skórę, kręcone włosy i był policyjnym partnerem EmirII. Urodził się w Petersburgu dziewięć miesięcy po Festiwalu Młodzieży, bo jeszcze wtedy Murzyni, Indianie i Hindusi mieli dobre branie pośród rodowitych mieszkanek tego miasta, jednak wyemigrował z matką wiele lat temu i teraz znał po rosyjsku zaledwie kilka brzydkich wyrazów. Już po dwóch dniach treningu EmirII i Ilja wyruszyli na trasę, ponieważ pułkownik Vertejak stwierdził, że utworzyli wystarczająco zgrany duet.

- Co widzisz, *man*? - zagadnął chłopak, niedbale trzymając kierownicę jedną ręką, a drugą mieszając resztkę piwa w puszcze. Jechali niezbyt

szybko starym, poobijanym buickiem. Vertejak był przekonany, że taki pojazd i jego kierowca, świrnięty nastoletni Mulat hodujący ważkę, nie wzbudzą podejrzeń obcych wywiadów.

- Gówno - nadał EmirII alfabetem Morse'a. Nie posiadał natywnych narządów służących do wydawania dźwięków ani nie został w takie wyposażony, ale mógł wprowadzać skrzydła w sekwencje ultradźwiękowych wibracji. Ilja odbierał komunikaty za pomocą groszkowej dekodującej słuchawki, umocowanej w uchu.

- *Job twaju mać!* Meldujemy centrali?

Wielka zielona ważka wczepiła się odnóżami w oparcie fotela, a wiatr, wpadający przez uchylone szyby, targał jej szklistymi skrzydełkami. Ponieważ byli w ruchu, powstające gradienty stężeń atraktantów i innych lotnych substancji tworzyły wrażenia trwałych barw, które owadzi mózg EmirII, a raczej to, co pozostało ze zwoju nadprzełykowego, przypisywał poszczególnym przedmiotom. Intuicyjne przetwarzanie danych było obciążone dużym błędem, ale turbulentny przepływ powietrza miał tę zaletę, że obraz po chwili ulegał uśrednieniu. Natomiast gdy nie mógł określić kierunku spadku lub wzrostu stężenia, odbierał jedynie barwne eksplozje, będące wynikiem statystycznego bombardowania pojedynczymi molekułami.

Sosnowy las emitował tysiące słabych zapachów. EmirII przede wszystkim rejestrował wabiącą purpurę samic gatunku, którego przedstawicielem była jego zewnętrzna powłoka, lecz był na nie odporny - otrzymał chemiczny bloker popędu, ponieważ w przeciwnym przypadku dzieliłby swój czas wyłącznie między żerowanie i kopulację. Stwierdzał obecność drugiej płci, i tyle - żadna imperatywna dźwignia nie popychała go do akcji. Zmysłem powonienia dostrzegał ponadto roje owadów innych gatunków, które z krzewów i koron drzew emanowały pstrokata poświatę. Raz wywachał zieloną, rozmytą radiację większych zwierząt, których stado przedzierało się przez zagajnik. Młody las pachniał mu zupełnie inaczej niż sosnowy bór, przez który przebiegała szosa.

Wtem z boku trafiła go mała kulka fioletu, która rozpostarła się jak wachlarz, zbladła i pojaśniała, ale zanim zrobiła się półprzejrysta i znikła, zdążyła rozbłysnąć cekinami złotych iskierek. EmirII natychmiast wyskoczył w górę, wypinając pazurki z obicia fotela, i z basowym

buczeniem skrzydeł wyfrunął przez szczelinę opuszczonego okna. Potężny wichur szarpnął go do tyłu i przekotłował, gniojąc delikatne skrzydła, a ból nasilił się do granicy wytrzymałości. Bezwładnie opadł na asfalt, legł nogami do góry. Tuż obok z rykiem opon przemknął inny samochód, a pęd powietrza zepchnął ważkę na pobocze, na warstwę zbutwiałych sosnowych igieł.

Powoli dochodził do siebie. Poprzebierał nogami, ale w zasięgu nie było żadnego punktu zaczepienia. Rozprostował skrzydła - chyba były całe. Uruchomił je, zaczął podskakiwać i kręcić się w kółko, i w końcu zdołał odbić się od ziemi, przekoziółkować i ustabilizować lot. Pomyślał, że opuszczając jadący samochód postąpił głupio, pod wpływem impulsu, ale w końcu czego można spodziewać się po bożej krówece czy innej ważce? Śmiechu warte, lecz śmiać się nie da, bo tchawki nie nadają się do tej czynności. Nie ma co, wesołe jest życie robala.

Nadał w przestrzeń, że jest zdrow i cały, ale odległość była pewnie zbyt duża, aby słuchawka Ilji odebrała sygnał. Chłopak musiał być gdzieś w dole, nawet mignął mu bladożółty zapach młodego mężczyzny, ale nie miał zamiaru tracić czasu na poszukiwania. Zamiast tego puścił się zakosami na otwartą przestrzeń nad zwirowym podjazdem, przy którym stał motel "El Popo" z fantazyjnie wygiętym neonem, umieszczonym nad wejściem.

Było wspaniale tak lecieć! Rzuczał się gwałtownie na boki, pikował, wznosił się świecą, dawał się nieść podmuchom wiatru, aby za chwilę wykonać kilkanaście ciasnych pętli. Co raz zbaczał z kursu, aby pochwycić muszkę lub motyla, ale głównym celem tak chaotycznego lotu było rozejrzenie się po okolicy. Zapachy widział w postaci barw, więc musiał sporządzić chwilową przestrzenną mapę substancji lotnych, lecz dopiero po uwzględnieniu ruchów powietrza mógł zlokalizować źródła woni, nałożyć widziane kolory na poszczególne przedmioty lub żywe organizmy, i na tej podstawie dokonać ich oceny.

"El Popo" emanował setkami zapachów, więc wyglądał kolorowo jak domek z bajki, ale najważniejszy był ten aromat, który przyzywał Emira II z zaangażowaniem ludzkiej części jego świadomości. Przez drzwi i nieszczelne okna wypływały smugi delikatnego fioletu, a okno na poddaszu otulała przejrzysta mgła o tym samym odcieniu, wewnątrz której zapalały się i gasły złote iskierki. Tam była jego Sulejka.



Jej prawdziwy zapach niedawno podarował mu pułkownik Vertejak. Już wcześniej, jeszcze w ludzkiej skórze, Emir dobrze poznał ludzką wersję kompozycji Sulejki, bo podczas samotnych wieczorów podniecał się wtulając twarz w tę część damskiej garderoby, którą kiedyś przez niedopatrzenie dziewczyna zostawiła w jego łóżku. Jednak dopiero jako EmirII zobaczył - właśnie, dosłownie zobaczył - urodę i niepowtarzalny charakter atraktantów byłej kochanki. Następnego dnia po przeistoczeniu komendant wziął go do siebie i wyjął z szuflady damskie figi, które kiedyś były czerwone w żółte kwiatki, a teraz aż buchały intensywnym fioletem, a w nim jak race eksplodowały złote płomienie. Tak wyglądał wspaniały, jedyny zapach Sulejki! Skoczył wtedy na siatkę swojego boksu, a pułkownik zdjął wieko i łaskawie wrzucił mu majtki do środka. EmirII wpadł w ich fałdy, nagarniał materiał odnóżami, chwycił szczękami i dotykał głaszczkami wargowymi, prężył odwłok wyginając go w kabłąk, sycił się kochanką jak podczas najprawdziwszego *ars amandi*. W zmysłowej konsumpcji brała udział ludzka część jego percepcji, nie było imperatywu owadzich feromonów i wrażenia dźwigni, sterującej zachowaniem bez udziału świadomości.

- Musiała być naprawdę dobra - zadudnił głos Vertejaka, a potem rozległ się łoskot śmiechu. - Mikrozołnierzu, tak dobrze zapamiętaj ten zapach, ażeby wrył się w twoje pseudomózgowe zwoje do końca życia. Jasne?

Pułkownik nachylił się nad nim i spoglądał olbrzymim, wolim okiem. Pachniał na żółto z odcieniem sepii.

- Czy po to mnie zrobiliście? - zasygnalizował skrzydłami EmirII.

Stękające gromy i uderzenia szybkich szkwałów, czyli śmiech.

- Nigdy nie zapominaj, że w gruncie rzeczy jesteś człowiekiem. I że ją kochasz.

- Gdzie ona jest? - nadał, a Vertejak poprawił słuchawkę w uchu.

- Jest szczęśliwa, bo kocha i zabija. Dewiacyjne spełnienie w łączeniu miłości i śmierci. Powinieneś to rozumieć.

Rozumiał lepiej niż ten stary człekokształtny głupiec, zniewolony namiastkami informacyjnych zapachów. Na jego biurku stała filiżanka niedopitej kawy, a w zagłębieniu fotela leżały zmięte kule papierowych ręczników, zapewne przyniesione z damskiej toalety. Rozpoznał kobiece atraktanty po zapachu kwasów w odcieniu czerwieni i zakonotował

sobie, jak mocno Vertejak reaguje na ten zużyty papier i wystygłą kawę. Zapamiętał odpowiadające im kolory, wszak stanowiły upodobanie szefa. Mimo że lekko usensorowany, tak naprawdę stary nie miał pojęcia, co można zobaczyć, jak naprawdę umie się patrzeć.

To było kilka dni temu, a teraz EmirII unosił się przed wejściem do hotelu, w którym w labiryncie korytarzy i pokoi ukrywała się Sulejka. Wiedział, w którym pomieszczeniu jej szukać. Zniżył lot i bez chwili wahania przemknął przez otwarte drzwi.

Wewnątrz było gwarно i duszno, a powietrze wydawało się aż gęste od kolorowych oparów. Co pewien czas boleśnie trafiały go szarosrebrzyste cząstki insektycydów, więc przysiadł na płótnie obrazu, który nie był spryskany. Obraz przedstawiał wałki na omszałym pniu, więc EmirII mógł wkomponować się w pejzaż i skupić na pracy organów wydzielania wewnętrznego. W swojej wewnętrznej fabryce chemicznej po kilku nieudanych próbach udało mu się wytworzyć średnio skuteczne antidotum, za to obejmujące dosyć szerokie spektrum podobnych środków owadobójczych. Odbił się od zakurzonego płótna i poleciał pod samym sufitem, poza zasięgiem skrzydeł wentylatorów, słabo widoczny pod belkowanym sklepieniem, przebijając się przez obłoki papierosowego dymu, podobnego do wyrzuconych w powietrze stert spopielonych kartek. Dotarł do klatki schodowej i jej szybem wzleciał aż do drzwi, najsilniej świecących fioletem. Przy okiennej kotarze zaczął czekać, aż przejdzie jakaś parka, po czym przecisnął się do środka przez szparę w futrynie.

W skotłowanej pościeli spali kobieta i mężczyzna. Ona leżała twarzą do dołu, czule obejmując butelkę po szampanie, ale EmirII nie musiał oglądać jej twarzy. Nie pachniała fioletem, i to wystarczało. Lecz pościel z lekko fioletowymi wyspami o jedynym w świecie odcieniu, pokropionymi złotem, stanowiła dowód, że Sulejka tu była. I tu spała, w apartamencie z bidetem pośrodku, z umywalką i przyborami do mycia, z barkiem pełnym napoczętych butelek i niedomytych kieliszków, w pokoju, gdzie na ścianie wisiała pajęczna sieć utkana z używanych prezerwatyw. Czyżby Sulejka-bojowniczką przychodziła dorabiać po godzinach?

Wydostał się na korytarz, sfrunął na dół i przysiadł na sufitowej belce. Przy barku siedział Ilja i sączył lemoniadę, jak przystało

grzecznemu siedemnastolatki, zresztą nie miał innego wyjścia, bo barmanka nie wyglądała na kobietę, która przymknie oko na przepisy. Pachniał lekkim zaniepokojeniem, ale ten stan nie był niczym dziwnym, ponieważ na blacie tuż obok jego szklanki przysiadła piękność o rozpuszczonych włosach i rozłożystych biodrach, ubrana w kosmiczną metalizowaną suknię z dekoltem obnażającym pępek. Emir II wylądował na kontuarze obok jej pośladek, między kieliszkiem oblepionym likierem a bajorem rozlanej brandy, smakując różnorodność napływających barw. Nadał:

- Jestem w pobliżu, mały. Spytaj koleżankę o Sulejkę. Sully... też robi w tym kurwidołku.

Ilja drgnął, rozlewając nieco lemoniady.

- Coś ugryzło, korniszonku? - zagadnęła kobieta. Wyciągnęła grube piegowate ramię i poczochnęła chłopakowi włosy. - Szkoda, że oprócz pcheł nie masz dwudziestu funciaków, nauczyłabym cię życia.

- Dziękuję, psze pani, ale gustuję w partnerkach o ciemnej karnacji. Szukam pani Sulejki, podobno tu bywa - odpowiedział grzecznie.

Obie gruchnęły śmiechem, gruba i druga, zajmująca sąsiedni stół. Tama była z kolei tak szczupła, że każdy lekarz wysłałby ją na prześwietlenie płuc.

- Ale koneser się znalazł! Żadnej Sulejki tu nigdy nie było. A... może chodzi o tę Sułtankę, taką ciemną Arabkę czy jakąś Beduinę? Też jej nie ma, wyniosła się.

- Dokąd, jeśli wolno spytać?

- Nie kazała mówić, tylko starym klientom. A ciebie widzę po raz pierwszy, chłopaczku.

- Ale ja dobrze ją znam! - Ilja upierał się. - Ostatnio podała mi właśnie ten adres.

- Nic z tego, dziecko. Wracaj do mamy.

Ilja odstawił szklankę, wstał i sięgnął do kieszeni.

- Mam dwadzieścia funtów. Miały być dla Sułtanki, ale pobiorę następne, jak dostanę adres. W porządku?

- Nno nie wiem... - Gruba marudziła. Wtedy włączyła się jej koleżanka.

- Hotel Papilio w Rocky Baths, pięćdziesiąt kilometrów na południe, nad morzem. - wyrzuciła szybko, jakby czegoś się bała, po czym wyrwała

mu pieniądze. Ale gruba spóźniła się tylko o ułamek sekundy. Chwyciła sąsiadkę za przegub i przytrzymała jak w kleszczach.

- Hola, Lolitko! Po połowie, złotousta!

Ale Ilja przestał się nimi przejmować. Rzucił na bar monetę i w podskokach wybiegł z baru. W ślad za nim zakosami poleciała duża, zielona ważka.

\*\*\*

- Jak jedziesz, ofiaro? Trzeba skręcić na południe! - nadawał EmirII. Ostrymi zakosami przemierzał się tuż nad kierownicą, co chwila zatrzymując się w powietrzu.

Mulat nie spieszył się z odpowiedzią, gwizdząc ostatni przebój. Gdy skończył, mruknął:

- Rozkaz pułkownika. Mamy zdać relację bezpośrednio, nie telefonować. Przestrzeń jest trefna, a kody niepewne. Zresztą mamy blisko.

- Zawracaj! Nie chcę glin. Sam muszę to załatwić. Oni zrobią z niej sito, rozumiesz?!

- Rozumiem, partnerze, ale nie popieram. Mam wyraźny rozkaz.

- Mam gdzieś twoje rozkazy!

Owad zaatakował bez uprzedzenia. Błyskawicznie rzucił się na ramię chłopca i tytanowe ostrze zagłębiło się w ciele. Ilja puścił kierownicę i odruchowo trzepnął się po ręce, ale ważka zdążyła uciec, po czym odfrunęła na tylną szybę. Chłopak ostro skręcił na pobocze i zahamował. Wokół miejsca ukąszenia w oczach rosła białosina opuchlizna.

- Zwariowałaś?! - krzyknął przez łzy. Teraz był już tylko zalęknionym dzieckiem.

- Umrzesz za pięć minut - nadał EmirII. - Mam antidotum. Wybór należy do ciebie.

- Nie mogę! On wsadzi mnie za dezercję...!

Opuchlizna ogarnęła gardło. Chłopak zaczął charczeć, oczy wychodziły mu z orbit. Chyba zrozumiał, że ta gra przestała być fajną zabawą, i kilka razy kiwnął głową, pokazując kierunek wstecz. Wtedy ważka ukąsiła ponownie, raz w szyję, a raz w okolice serca, wprowadzając kompozycję stanowiącą remedium. Oczy Mulata uciekły w tył, ukazując niebieskawe białka, a ciało bezwładnie stoczyło się na

fotel. Po piętnastu minutach odzyskał przytomność.

- Śniło mi się, że umarłem - powiedział. - Rznąłem tę grubą kurwę, co nazwała mnie korniszonem, i przy odpale wyskoczyłem z własnego ciała, a potem poleciałem w ogromną przestrzeń napełnioną srebrzystymi odblaskami. Najlepsze było to, że zabrałem ze sobą całą przyjemność, i swoją, i jej! Nic nie zostawiłem, ani pieniędzy, ani uciechy.

- Nie rozmarzaj się. Jedziemy - zarządził EmirII.

Ilja bez komentarza zawrócił i pognał na południe, wyciskając ze starego buicka wszystko, na co było stać wysłużony silnik. Jechali przez stary świerkowy bór, a kosmate gałęzie wyciągały się w ich stronę, co raz dosięgając karoserii miękkimi witkami.

Jednak coś było nie w porządku. EmirII co pewien czas rejestrował miniaturowe rozbłyski fioletu, pochodzące zapewne od pojedynczych zabłąkanych cząsteczek, ale nie potrafił określić, skąd nadlatywały, bo ich ruch był chaotyczny. Chwilami jednak koncentracja osiągała wartość progową i wtedy na moment nad lasem zapalała się słaba zorza. Dostrzegał coś w rodzaju przejrzystego welonu, na którym - miał niemal pewność - zapalały się i gasły punktowe iskierki. Najdziwniejsze było jednak to, że poświata za każdym razem pojawiała się na wschodzie, a nie na południu, dokąd zdążali.

- Stój! - zakomenderował. - Tak, tutaj.

Tym razem odczekał i opuścił wóz dopiero wtedy, gdy stanęli na poboczu. Puścił się zakosami w górę, wyleciał ponad wierzchołki drzew, gdzie porwał go południowy wiatr i zniósł kilkadziesiąt metrów. Spróbował opierać się prądowi, lawirował i badał strugę, ale powietrze okazało się jałowe, bo nie zawierało ani śladu upragnionego zapachu. Obniżył pułap i lawirując pomiędzy drzewami, które dawały częściową osłonę przed wichrem, podążył na wschód.

Nic. Nawet nie rejestrował pojedynczych cząstek. Może te, które widział w samochodzie, pochodziły z El Popo, i wieźli je ze sobą we wnętrzu karoserii? Posuwał się jednak dalej, bo chciał zyskać pewność.

Ponieważ zużywał sporo energii, posilał się w locie drobnymi stworzeniami. Te najsmaczniejsze świeciły na seledynowo i nie były trudne do schwytania. Zajęty polowaniem, nie spostrzegł, że w pewnej chwili sam stał się obiektem łowów - wielka mewa, emanująca słabo widzialną woń, rzuciła się w nagłym zwrocie i prawie dosięgła go

dziobem. Dziobisko większe niż całe jego ciało zamknęło się z trzaskiem tuż obok, a skrzydło ptaka wytworzyło wir, który uderzył go jak materialna przeszkoda. Oszołomiony, opadał bezwładnie, nie będąc w stanie poruszyć skrzydłami, natomiast mewa zawróciła, szykując się na pewną zdobycz. Wtedy zadziałały ludzkie neurony, przygotowując obronę.

Odwłok wygiął się w kabłąk, obnażając żądkło. Oczywiście w locie nie mógł dosięgnąć opierzonego prześladowcy, ale wyrzucił w jego kierunku ptasi repelent, w którego zapas został wyposażony i zawsze miał go w pogotowiu. Fala odstraszonego fetoru uderzyła w zbliżającą się mewę i spowodowała instynktowny odruch ucieczki. Ptak załopotał skrzydłami, wykonał zwrot i pomknął ponad wierzchołkami świerków, uchodząc przed nieznanym niebezpieczeństwem.

EmirII z trudem uruchomił skrzydła, jego ciało przeszywał świdrujący ból. Z wysiłkiem doleciał do najbliższego świerku i przysiadł na gałęzi, aby odpocząć. Wtedy wiatr zmienił na chwilę kierunek i niebo ponad lasem natychmiast zabarwiło się na fioletowo. Barwa raz rozpaliała się, raz przygasała i stawała się niemal przezroczystą poświatą, potem znów eksplodowała pojedynczymi rozbłyskami, wyrzucając złote iskry. Gdzieś tam na wschodzie ukrywała się Sulejka. Czy ma do niej lecieć? Tak, po stokroć tak! Nie popychał go żaden pierwotny imperatyw, ale typowo ludzki atraktant, na który został usensorowany podobnie jak Vertejak na aromaty Nancy. I cóż złego w takim ukierunkowaniu naturalnych popędów?

Ale czy ona jest sama, czy z Sartim? To nie gra roli, on przecież jest tylko owadem, na którego nikt nie zwróci uwagi. Poleci po to, żeby się przekonać, czy nie grozi jej niebezpieczeństwo. A jeśli swoją obecnością ściągnie na nią zagrożenie? Bzdura, przecież nie da się go śledzić.

Zmusił się do zawrócenia, bo wiedział, że niewiele zdziała bez swojego partnera. Wydawało mu się, że leci godzinami. Przysiadł na gałęziach, posilał się, i znów startował. Kierował się na jasnożółty zapach, i wreszcie ostatkiem sił dotarł do szosy, gdzie na poboczu stał ich stary buick. Zbudził Ilję lekkim uszczypnięciem w nogę w tak wybrane miejsce, aby chłopak nie mógł go ani zbyt łatwo dosięgnąć, ani zmiażdżyć przez dociśnięcie do fotela.

- Jesteś nieostrożny, partnerze. Żołnierz nie zasypia na posterunku -

nadał.

Chłopak przeciągnął się i ziewnął. Nie przejawiał agresywnych zamiarów.

- Co robimy, szefie?

- Wyruszamy natychmiast. Skręcisz w najbliższą drogę na wschód. Gdzie jest krzyżówka?

Ilja sięgnął po zmięty atlas drogowy. Nie zadawał niepotrzebnych pytań.

- Według tej książki o kilometr, może dwa. Dalej trzecia kategoria.

- Nie szkodzi. Pospiesz się.

\*\*\*

Co chwila wpadając w dziury, dotarli o zmierzchu do zapuszczonej leśniczówki, za którą majaczyły zabudowania gospodarskie. Nad drzwiami wisiał krzywy, rzeźbiony w drewnie szyld z napisem "Wolne pokoje". Brytan szarpał się na łańcuchu, ujadając zdartym głosem, w obejściu unosił się zapach gnoju i smażonych kartofli. Jednak był to najpiękniejszy dom, jaki Emir widział w swoich obu wcieleniach, cały spowity ciepłym fioletem. Radiacja wypełniała okna i drzwi, wypływała na zewnątrz i unosiła się warstwicowymi obłokami, rozświetlanymi deszczem iskier.

- To tutaj - nadał, niecierpliwie polatując wewnątrz pojazdu. - Zanocujemy.

Ilja podjechał pod drzwi i zgasił silnik. Wtedy w oknie na piętrze uchyliła się zasłona i ktoś wyjrzał. Nie, nie Sulejka, ale także ktoś znany, promieniujący nijakim, żółtobrązowym zapachem. Sarti?

Chłopiec otworzył bagażnik i wyjął neseser, z którego wystawała połatana siatka na motyle, a do kieszeni włożył lupę w rogowej oprawie.

Nacisnął klamkę, drzwi były otwarte. W sieni panował półmrok, rozświetlany słabym neonowym kinkietem. Na zakopconych ścianach wisiały olejne obrazy przedstawiające jelenie, niedźwiedzie i leśne potoki.

- Jest tu kto? - zapytał, a potem powtórzył głośniej. Nikt nie odpowiedział.

Obszedł pomieszczenie. Nad kontuarem, przypominającym blat recepcyjny, na dwóch okopconych łańcuchach wisiała blacha, a na niej

skosem wygrawerowano napis. Przechylił głowę i sylabizował:

*"Weź klucz z pudełka. Przed wyjazdem posprzątaj i włóż do puszek 2 funty za noc".*

- Fiuuu - zagwizdał z przejęciem. - Jeszcze w takim Hiltonie nie mieszkałem! A ty, szefie?

Nie spodziewał się odpowiedzi, ale ją otrzymał. Z góry rozległ się ostry głos:

- Do kogo gadasz?! - Na szczycie schodów stał mężczyzna o ciemnej karnacji. Jedną rękę wspierał na balustradzie, drugą trzymał w kieszeni.

- Ja? - zająknął się Ilja. - Lubię... gadać do siebie.

- Mówiłeś "szefie". Gdzie on jest?

Ilja uśmiechnął się. Zdążył się opanować.

- On jest moim jedynym szefem - stwierdził, podnosząc palcem maskotkę wiszącą na torbie. Pluszowy zwierzak stanowił coś w rodzaju skrzyżowania kota, małpy i papugi. - Czy można tu przenocować?

- Zielono w gówniarskim łbie - sapnął mężczyzna, schodząc i rozglądając się podejrzliwie. - Nie, nie można. Wynoście się, ty i twój szef, i to zaraz!

Ilja zrobił płaczącą minę.

- Przyjechałem łapać owady, bo je kolekcjonuję. Rano o świcie już mnie tu nie będzie, obiecuję!

- Nie ma mowy. Uciekaj! - To mówiąc mężczyzna podszedł do drzwi wyjściowych, otworzył je i wyjrzał na podjazd.

- W takim razie proszę zatelefonować po policję albo straż - zażądał chłopak z determinacją. - Boję się sam wracać nocą przez las. Może też pan zawiadomić mojego ojca. Mówiłem mu, dokąd jadę, więc trafi tu w godzinę.

- Niech zostanie, Sarti - rozległ się z góry głos młodej kobiety. Miała ładną, doskonale owalną twarz o cerze kawy z mlekiem. - Przecież już jutro wyjedzie. Byłeś tu już kiedyś, chłopcze?

- Oczywiście - przytaknął skwapliwie. - Kilka razy. To naprawdę dobry teren.

- Miałem cię pilnować - burknął mężczyzna do kobiety, ale bez przekonania. Od razu było widać, kto rządzi w tej grupie.

- I robisz to świetnie, ale co może mi grozić ze strony młodocianego łowcy motyli? Natomiast gdyby go wyrzucić, mógłby narobić kłopotu.



Prawda, kawalerze? - Podeszła i pogłaskała go po głowie, potem zsunęła dłoń na policzek. - Jest jeszcze dzieckiem.

- Uhm, wiem coś o takich dzieciach - zachnął się mężczyzna. - Chodźmy na górę, mamy robotę.

- Jak się rozgościsz, zajrzyj do nas, chłopcze, może za godzinę czy dwie - powiedziała kobieta. - Opowiesz nam o swoich polowaniach. - Odwróciła się i zaczęła wstępować po schodach.

Ilja zapomniał języka w gębie. Stał wpatrzony w jej biodra, niemożliwie mocno opięte kremową suknią, i w talię jeszcze węższą niż u pani Phyllis ze sklepu z pamiątkami. Tak, na pewno węższą! Stał jeszcze z pięć minut po tym, jak drzwi w korytarzu zamknęły się z trzaskiem, i żałował EmirII, byłego kochanka Sulejki. Cóż, lubił tylko te historie, w których przynajmniej możliwy był *happy end*. Wreszcie wygrzebał z pudełka klucz do "Apartamentu nr 2" i wspiął się niemożliwie skrzypiącym schodami.

Tymczasem EmirII nie próżnował. Korzystając z zamieszania przefrunął pod powałą, zatrzymując się na chwilę nad Sulejką, aby posycić się psychodeliczną erupcją jej zapachu. Potem całą siłą ludzkiej części swojej percepcji zmusił się do dalszego lotu, wszak miał coś ważnego do zrobienia. Przez otwarte drzwi dostał się do jej pokoju i wybrał dogodny punkt obserwacyjny za zasłoną. Gdy Sulejka z Sartim wrócili, zatrzasnęli drzwi i powrót został odcięty.

Kłótnię rozpoczęli rytualnie, od wymachiwania rękami i wyzywania się. Chodziło oczywiście o chłopaka - mężczyzna był zazdrosny, a kobieta, chyba na złość, proponowała zabawę we trójkę, chwając cierpki smak niedojrzałego owocu. EmirII doskonale pamiętał, czym zwykle kończyły się utarczki z Sulejką: wytrzaskaniem po gębie albo równie gwałtownym zbliżeniem fizycznym. Tym razem właśnie tak się stało - zdarli z siebie ubranie i kochali się gwałtownie, chwilami brutalnie. Najpierw podglądanie sprawiało mu przyjemność, szczęśliwie nie wystąpił syndrom porzuconego kochanka. Od pewnego czasu ludzkie sprawy stopniowo przestawały go obchodzić, patrzył z boku na te trochę dziwaczne dwunożne stworzenia, podobnie jak teraz na parę tarzającą się w pościeli. Jednak okresowe fale podbarwionego purpurą fioletem atakowały coraz mocniej. Odwrócił się i wpełzł w najdalszy kąt, lecz powódź atrakantów dosięgła go nawet za grubą zasłoną. Chcąc nie chcąc

musiał wziąć udział w orgii. Dwoje na dole szczytowało kolejno, ale żadne nie miało pojęcia, że dołączył trzeci uczestnik i właśnie odbywa się zapowiadana gra zespołowa.

- Daj coś pić, ty chamie - zarządziła kobieta, gdy złapała oddech, jednak w jej głosie nie było już złości.

- Sie robi, zdziro - odparł jej partner równie pieśczośliwie. - Już wiem, dlaczego zostawiłaś Emirka. Za każdym razem pytał, czy może pokłaskać.

- Idiota - warknęła. - Każdy musi spytać, inaczej nie podejdzie bliżej niż na dziesięć metrów. Ty pytasz swoim głupim spojrzeniem. Jak stanie się już całkiem bezmyślne, to znaczy, że łasisz się jak piesek na tylnych łapkach.

Sarti wstał i odkorkował napoczętego szampana. Nalewany płyn zapienił się lekko.

- Powinniśmy zrobić symulatkę - zauważył, zmieniając temat. - To dziwne, że Omaar wciąż nie daje sygnału. Może jego też capnęli?

- Bzdura. Nie mamy sygnału, więc musi codziennie ręcznie wyłączać alarm.

- Musi? A jak zwinęli go razem z alarmem?

- Nie bredź! - fuknęła, ale niespokojnie sięgnęła po papierosa. Wstała i nago podeszła do okna.

Była jeszcze wilgotna i kolejne uderzenie atraktantów, które niespodziewanie dosięgło EmirkaII niby gigantyczna fala tsunami, okazało się druzgocące. Zwinął się w spazmie bólu i odpadł od ściany, a potem, skurczony jak kłębek drutu, poleciał na podłogę.

- Tam coś jest! - krzyknął Sarti, zrywając się i sięgając po pistolet. - Ach, to tylko ważka.

Podniósł stopę, chcąc rozdeptać owada.

- Nie!! - zawołała Sulejka. - Złap ją. Będzie dla naszego młodego kolekcjonera.

Mężczyzna wzruszył ramionami i sięgnął po poduszkę, aby przydusić insekta do podłogi. Lecz ten zdołał poruszyć skrzydłami i począł ślizgać się chaotycznie, wciąż przewrócony na grzbiet. Sarti cisnął poduszką, ale nie trafił. Zniecierpliwiony, chwycił ciężki pled, ale EmirkaII był już w powietrzu. Nie mógł zbliżyć się do mężczyzny na tyle, by go ukąsić, ale przeleciał mu nad głową, strzykając porażającą substancją. Sarti

zatrzymał się w połowie ruchu i potarł powieki.

- Cholera, coś wpadło mi do oka, pewnie z tego koca - burknął. Tymczasem Emir II powrócił do swojej kryjówki i wczepił się w zasłonę. Wciąż bombardowały go fale feromonów, a nie był w stanie zmniejszyć zaimplantowanej mu wrażliwości. Na szczęście kobieta oddaliła się od okna i zajęła swoim partnerem.

- Pieką mnie oczy, nic nie widzę! Co było w tym pledzie? Jakaś chemia? - jęczał.

- Zastanów się, Sarti. Pod tym pledem śpimy od dwóch tygodni.

- Zrób coś, kobieto - prosił. - To naprawdę boli!

Sulejka wstała i sprawdziła drzwi, potem zlustrowała okno. Emir ponownie niemal stracił ciągłość percepcji, ale był wystarczająco dobrze zaczepiony o włochaty materiał zasłony.

- Pomyślmy. Co robiłeś w chwili, w której zacząłeś odczuwać ból?

- Chciałem walnąć tego robala, zamierzałem się...

- Czekał, czekał. Ważka...?

- Myślisz, że jaki mutant? Nie, nie ma takich cudaków, a zwykle ważki nie gryzą. Sully, kochanie, zimno mi w nogi. Nie wolno nam wezwać lekarza?

- Debil!! Lekarza mu się zachciało! Czy pamiętasz, po co tu jesteśmy i ile warte jest nasze życie? Taak... - mówiła do siebie, przechadzając się. - Ważka. Szpiegowska high-tech? Gdzieś czytałam...

Nagle zatrzymała się i rozejrzała powoli.

- Szklanka soku - wycedziła, akcentując syczące zgłoski. - Szklanka soku, słyszysz?! Potwierdź, że zrozumiałeś i akceptujesz awaryjną procedurę!

Ale mężczyzna niczego już nie słyszał. Leżał w embrionalnej pozycji i szlochał przez sen.

- Dobrze - stwierdziła spokojnym głosem, od którego ludziom powinna cierpnąć skóra. - Już dobrze, Sarti, kochanie. Nic się nie przejmuj, sprowadzę ci lekarza. Nie jesteśmy ubezpieczeni, ale nie wolno im odmówić pomocy, gdy zagrożone jest życie.

Sięgnęła pod łóżko, wyciągnęła laptopa i rozłożyła antenę satelitarną. Zamrugwały zielone lampki zasilania, monitor rozpalił się światłkami ikon. Kobieta ustawiła sobie urządzenie na kolanach i zalogowała się najpierw do sieci, a potem do serwerów, które wymagały

wielostopniowej identyfikacji. Pracowała w takim skupieniu, że nie było miejsca na wątpliwości. Tak, wszystko było jasne.

EmirII poczuł zmęczenie, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że w tak prosty sposób nie ucieknie od odpowiedzialności. Dotychczas sam był eksperymentem, nowym narzędziem, czyjąś szansą. Nie miał wątpliwości, że właśnie w tej chwili przepoczwarzył się w osławionego motyla, którego drgnienie skrzydeł przełoży się na losy świata. A jeśli nie świata, to stu tysięcy ludzi. No tak, ale cóż go to obchodzi? I po czyjej stronie tak naprawdę jest racja? Wiedział, że brudy są wszędzie, a piękne hasła wypisane na sztandarach nie mają wiele wspólnego z postępowaniem tych, którzy je dzierżą.

Sarti przestał się ruszać, a jego oddech był coraz bardziej chrapliwy. Sulejka nie zwracała na niego uwagi i w pośpiechu wywołała kolejny obraz. Czasu pozostawało coraz mniej. EmirII najpierw obleciał pokój, a potem z desperacją zanurkował w fioletową głębinę stężonego atraktantu, kierując się wprost na nagie plecy kobiety. Feromony uderzyły z taką siłą, że opadł bezwładnie na pościel, ale... po kilku sekundach jakimś cudem odzyskał świadomość.

Znajdował się w sferze nieprzyjemnej, stęchłej woni. Nie miał pojęcia, co się stało. Przebywał tuż obok pośladków kobiety, ale nie widział fioletu, tylko zgniłą czerwień. Podpełzł do poduszki i wdrapał się na nią, aby spojrzeć na monitor. Mignął dziwny napis "Harmonia ustawna". Te nazwy coś znaczą, są robione pod podręczniki historii. Zamach stulecia nie może nazywać się "kluski z serem" czy "orgazmiczek sucha łapka".

Nagle doznał iluminacji. Jasne jak słońce! Dla ludzi zapach jaśminu kojarzy się z fekaliami, gdy przekroczy określone graniczne stężenie. Ogromny napór narkotycznego fioletu zamienił się w mało przyjemną świńską czerwień w chwili, w której on, EmirII, niemal wlaźł na wymarzone babskie pośladki.

Monitor błyskał złowrogo. Pojawiło się sześć prostokątów z jakimiś nazwami, chyba geograficznymi. Co robić?

W krytycznym momencie retrospekcje przebiły się przez powierzchnię świadomości.

*Dziewczynka w białej sukience ze staromodnym kołnierzykiem. Vertejak spycha ją buciorem na łąkę, w kierunku katastrofalnej fali, ścinającej las i ciskającej głazy wielkości domu. Mała wyciąga rękę i*

*patrzy. Tego spojrzenia nie można zapomnieć.*

*- Ona jest z twojego parszywego świata i musi w nim zostać! - krzyczy pułkownik do niego, Emira.*

*Dwoje starszych ludzi siada do herbaty, gdy narasta łomot, jakby nadjeżdżający pociąg miał w trafić prosto w frontowe drzwi. Starzy podnoszą się, odruchowo sprawdzają zawory gazowe, patrzą na drzwi, okna. Wtedy pęd powietrza wgniata szyby, a grzmot jest tak silny, że pękają im bębenki uszne. Obejmują się, chwytają z całych sił, żeby pozostać razem. Szukają w sobie otuchy? Nie chcą być sami w chwili ostatecznej? Emir nie wie, nie potrafi tego wytłumaczyć.*

*Młoda para spaceruje skrajem rynku, on pogwizduje, trzymając ją za rękę, ona chce mu powiedzieć coś ważnego.*

*- Nie ma chmur, a idzie na burzę - mówi młodzieniec, oglądając się.*

*Narasta przeciągły grzmot. Huragan przelatuje górą, ścinając w połowie wieżę kościoła, a na rynek wali się tonytonowy bryzg fali, forpocza głównej masy. Odbija się i rozpryskuje, rozbijając ściany zabytkowych kamienic. Na okamgnienie odsłania się siny bruk rynku z ciałem pośrodku - to młody mężczyzna, który został zmiażdżony. Dziewczyny nie widać - ale oto jest, wodny kafar jakimś cudem oszczędził ją, za to wyrzucił pięćdziesiąt metrów w górę.*

*- Chciałam ci coś powiedzieć - szepcze i traci przytomność, zanim kolejne zawirowanie powietrza ściągnie ją w nadciągającą kipieli.*

Wizje umykają, powraca rzeczywistość. EmirII chce krzyknąć, odepchnąć kobietę pochyloną nad klawiaturą, przewrócić laptopa i odłączyć zasilanie. Jeszcze można wszystko zmienić, przecież muszą być inne sposoby! Jednak jego gwałtowne gesty przekładają się jedynie na wibracje żyłkowanych skrzydeł.

Sulejka po raz ostatni sprawdza układ na monitorze. Kiwa głową, co musi oznaczać, że wszystko jest w porządku. Opiera palec na klawiszu Enter i bierze wdech. Wtedy jakiś obrzydliwy owad - TEN owad - rzuca się jej na twarz.

Kobieta krzyczy, przerażona, ale oczy nie pieką. Uderza więc intruza otwartą dłonią, i ten leci daleko w kąt. Szybko podnosi laptopa z podłogi i ustawia go na kolanach, pobieżnie kontroluje parametry - na szczęście pozostały niezmienione. Unosi zakrzywiony palec, żeby uderzyć w

klawisz, i - nieruchomieje, nagle sparaliżowana. Otwiera usta jak ryba, oczy wychodzą jej z orbit, pada na wznak na łóżko. Laptop znów stacza się na podłogę, a jego wieko zatrząskuje się.

- Przebaczysz mi - przemawia EmirII w swoim kodzie, choć wie, że dziewczyna nie może go usłyszeć. - Musisz przebaczyć, gdy zrozumiesz.

Usiadł między wzniesieniami jej piersi i mówił dalej.

- Wiem, że tak będzie. Wszystko się wyprostuje. Moje ciało jest w chłodni, przeszczepią tylko z powrotem kilka komórek, żebym zyskał pamięciową ciągłość. Wtedy - obiecuję - zamieszkamy w porządnej dzielnicy, kupimy samochód i psa. Ale... co z tobą? Źle się czujesz? Musiałem dać ci *pioruna*, czasu było cholernie mało. Poczekaj, kochana!

Lecz Sulejka umierała. Jej grzbiet wygiął się w pałąk, a oddech uległ zatrzymaniu. Wtedy EmirII rzucił się i zatopił żądło w gardle kobiety, raz i drugi. Szkarłat śmierci i miłosnej ekstazy rozpałił zorzę, która buchnęła jak płomień i otoczyła ich oboje. Minęły długie sekundy, zanim jego kochanka odetchnęła i rozluźniła się, a powieki opadły na wytrzeszczone przed chwilą oczy. Poruszyła wargami, ale nie zdołała wydać dźwięku. Dopiero za drugą próbą przemówiła cicho:

- Kochany. Kochany... - I uśmiechnęła się. - Jesteś taki śniady.

Dumnie paradował po jej ciele, pokonał wyniosłość brzucha i zaplątał się we włosy łonowe. Tam nie było mu wygodnie, więc wrócił na brzuch i przystanął, by po raz kolejny pchnąć obnażonym żądłem. Nie miał już antidotum, więc wstrzyknął jej cokolwiek, jakiś trankwil. Przeżywał wzmożoną egzaltację, bo stężenie atraktantów spadło na tyle, że powrócił na skraj strefy olfaktorycznej ekstazy.

Sulejka bełkotała, ledwie można było zrozumieć słowa:

- Uwielbiam cię, jesteś aksamitny, mocna kawa z odrobiną mleka, i taki wąski w talii. Muszę cię mieć, każdego mam, jak zechcę. Chodź, Murzynku, połknę cię w całości, w jednym kawałku.

EmirII wyprysnął świecą do góry, w pędzie wyciągając żądło i urywając jej płatek skóry.

- Pozostała dziwką nawet po śmierci klinicznej - nadał na wysokiej częstotliwości, podlatując do szpary w drzwiach. Szczelina była jednak za wąska, żeby mógł się precyzyjnie przesuwać. - Chodź, żołnierzu, jesteś potrzebny. Drzwi otwórz nożem albo pogrzebaczem, wszystko jedno.

\*\*\*

- Oboje żyją - stwierdził Ilja, badając puls poszkodowanym. - Ale na gwałt potrzebują doktora.

- Nie. Najpierw laptop. Znasz się na tym?

- Też pytanie. Jestem dzieckiem sieci. Matka z ojcem dzyndzolili się wirtualnie mieszkając w różnych akademikach. Kiedyś po seansie on przesłał jej fiolkę pełną swojej spermy, którą ona przed następnym czatem posmarowała swoją wtyczkę. W taki oto prosty sposób znalazłem się na świecie.

- Do roboty, zgrywusie. Ale jak teraz naciśniesz *Enter*, zabiję.

- Nic nie spartolę, szefie.

Wziął pudełko laptopa z namaszczeniem, jak relikwię, i ustawił na stole. Postukał trochę w klawiaturę, popróbował. Po chwili oznajmił:

- Proste jak drut. W skrzynce siedzi programik, co robi czata naraz na sześć serwerów, a ich definicje są w tych ramkach. Dziwne, bo prawie cały program zajmuje synchronizacja, polegająca na wielokrotnym łączeniu testującym tylko po to, żeby wspólny czat zaczął się w jednej chwili z dokładnością do tysięcznej sekundy. Przecież i tak nikt tego nie wyłapie, no nie?

- Co oznaczają definicje?

- Chwila... Nie wiem, *aeschna*. Ale zaraz szurnę to w jakąś encyklopedię. Zaraz... Mam. To nazwy wiosek albo osad. Zobaczymy na mapie, hmm, ale dziwy... Miejscowości są bardzo blisko nas, i leżą jak po sznurku na jednej linii prostej!

- Na linii?

- Na tej mapie słabo widać, ale w środku jest chyba jezioro... Zapora?!

- Brawo! Umiesz skasować ten program?

- Jasne. Broniony hasłem... To zajmie chwilę.

- "Szkłanka soku"?

- Jak? Aaa... Rzeczywiście! Ale z kasowaniem to bym się nie spieszył. Mogą być samowzbudne klony, ulokowane choćby u tamtych czatowników. Tylko dlaczego na jednej linii?

- Głupie pytania - nadał EmirII. - Trzeba działać szybko, tam są wyrzutnie rakiet.

- Byłyby zbyt widoczne - zaproponował chłopak. - Mogą być bomby, zagrzebane w ziemi.

- Bzdura. Co zrobią bomby na odległość?

- Czy ja wiem... Huk, słyszalny daleko, wstrząs, panika. Zaraz, poczekaj... Rozmieszczenie na linii prostej, w różnych odległościach, jednoczesny odpał. Chyba mam, *aeschna*! Genialna sprawa! Posłuchaj: najbliższy wybuch wywołuje falę sejsmiczną, która uderza w zaporę, ale nic jej nie robi. Tylko że za pół sekundy wali w nią następna, z drugiej strony, a potem trzecia z tego kierunku, co pierwsza! Sześć zsynchronizowanych uderzeń nieźle rozbuja każdą budowlę. W szkole pan Filippo mówił o moście, który zawalił się pod maszerującym wojskiem. Coś takiego nazywa się zjawiskiem rezonansu!

Zapadła cisza. Szkliste skrzydła ważki drgały.

- Może. Trzeba rozbroić ładunki - zdecydował w końcu EmirII. - Dzwon po wojsko.

- Obawiam się, że nie zdążą. Przenicowałem ten program i widzę, że uruchomiłem jakiś mechanizm czasowy, zostało pięć minut z kawałkiem. Diabelnie sprytne, bo nie idzie go zatrzymać, korzysta z zegarów atomowych w Londynie i Nowym Jorku.

- Co możesz zrobić?

- Wprowadzę desynchronizację. I odpalę programik.

- Co wprowadzisz?

EmirII odczuwał co pewien czas neutralizację ludzkiej świadomości, i właśnie teraz to zjawisko miało miejsce. Bezmyślnie obserwował, jak aura fioletu słabła, a złote iskry przestawały zapalać się wokół ciała Sulejki.

- Zmieniam kod czasowy - tłumaczył Ilja z przejęciem, przebierając palcami po klawiaturze. - Teraz wprowadzam nieregularne interwały, idzie jak z płatką. Zaraz walniemy te bomby, co nikomu nie zrobi krzywdy, dobrze?

EmirII nie odpowiedział. Chłopak uznał jego milczenie za przyzwolenie i dalej majstrował przy programie.

- W porządku - zgodził się w końcu EmirII. - Tak będzie najlepiej. - *Tyle jestem ci winien* - zwrócił się do nieprzytomnej Sulejki na zmienionych częstościach, niesłyszalnych dla Ilji. - *Zdradziłem cię i zdradziłem moich imamów. Teraz niech los rozstrzygnie, kto miał rację. Niewiercy nazywają to Sądem Bożym.* - Uruchom program - polecił Ilji.

- Sie robi, szefie! - zawołał chłopak i dziobnął palcem w klawiaturę.

Po niemożliwie długich kilkunastu sekundach pierwsze tąpnięcie



zakołysało domostwem. Zadźwięczały szyby, za ścianą jakiś ciężki przedmiot gruchnął o podłogę, w kuchni posypała się porcelana. Drugi, daleki wybuch niemal nałożył się na trzeci, znacznie głośniejszy, różnica odległości musiała być znaczna. Doliczyli się sześciu eksplozji.

Ilja podszedł do okna i otworzył je na oścież. Grały cykady, pohukiwały sowy, łuna rozświetlała niebo od strony zapory. Zwykle głosy nocnego lasu natychmiast gubiły się w przyjaznej ciszy, otulającej gęstwiny świerków, wilgotne łąki, zamgloną powierzchnię zalewu i uśpione miasteczka.

- Chyba udało się, *aeschna* - wyszeptał chłopiec, wychylając się z okna i nasłuchując. - Wciąż jest cicho. Naprawdę się udało!

EmirII poczuł, że wszędobylski ból, towarzyszący mu od początku hybrydowego istnienia, narasta. Setki płomyków lizały go ze wszystkich stron, więc wzbił się w powietrze, aby je ugasić. Niewiele to pomogło.

- Wołaj lekarza do tych dwojga. I policję - nakazał Ilji. Przekazywanie kodem sprawiało mu coraz większe trudności, a najpoważniejsze problemy napotykał na etapie formułowania myśli. Proste informacje najchętniej przekazałby tańcem ciała w locie, ale Ilja pozostawał głuchy na ten rodzaj sygnałów.

Gdy chłopak telefonował, EmirII przysiadł na twarzy Sulejki. Jej skóra stała się szara, choć wciąż emanowała słaby fiolet, nakrapiany szkarłatnymi kleksami. Spuchnięte usta były suche i spękane, a powietrze przeciskało się z trudem pomiędzy przekrwionymi wargami.

- *Zaraz coś z tobą zrobią, Sul - obiecał. - Wyjdiesz z tego. A ja przesiądę się na starą łajbę i odzyskam lepsze narzędzie niż to coś.* - Wysunął tytanowe ostrze i pieszczotliwie użądlił ją w policzek, co na okamgnienie roznieciło szkarłatny płomień, obejmujący ich oboje. - *Śmierć jest równie szkarłatną hurysą, ale tym razem to sygnał miłości!*

- Już jadą - obwieścił Ilja. - Będą za pół godziny.

- Dobrze. Wynosimy się.

- Co takiego? - Chłopak wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Jedziemy. Natychmiast - zarządził EmirII. - Jasne?

- Tak... Oczywiście. Jedziemy, szefie. Dokąd?

- Do domu.

\*\*\*

Szarożółta chmura z rozplywającymi się przebiciami sjeny.

Pułkownik Vertejak.

- Co z nią? - nadaje EmirII w ultradźwiękach alfabetem Morse'a, odpowiednio modulując ruch skrzydeł. Unosi się pod sufitem, dokąd nie docierają czarne węgorze, panoszące się niżej. To pomieszczenie zostało spryskane czymś paskudnym.

Periodyczne stęknienia, jakby ktoś się dławił. Tak brzmi śmiech w wykonaniu jego zwierzchnika, który ma w uchu słuchawkę dekodującą i zrozumiał pytanie.

- Sarti ma się dobrze - dudni ludzki głos z głębi ciemnej toni. - Wylize się na proces, oczywiście przed sądem wojskowym, procedura specjalna.

Milczenie, gra na zwłokę. Mężczyzna siorbie kawę, a więc szprycuje się. Wchodzi Nancy w rozbłyskach człowieczej czerwieni, czyli gliniarz szprycuje się dalej. Aminy i kwasy tłuszczowe o krótkich łańcuchach. Dziewczyna mówi coś, co jest bez znaczenia, i wychodzi.

- Sulejka, seksowna laska - łomocze przepity głos spoza ławicy czarnych węgorzy. W jednym miejscu jest ich szczególnie dużo, chyba stamtąd wypływają, tam musi znajdować się jakaś cholerna bomba. - Trochę za dobrze jej zrobiłeś, *macho*. Śpi i nijak nie można jej dobudzić.

- Będzie żyła?

Znów długa cisza, przzerwana brzękiem łyżeczki.

- Może będzie, ale co to za życie? Nawet nie wiemy, czy ma sny.

- Obudzi się... kiedyś?

- Nie wiem, kolego. Może lepiej nie, bo wyrok w procesie może być tylko jeden.

EmirII unosi się pod samą powałą, ociera o chropawą powierzchnię. Tu wciąż jeszcze nie docierają obmierzłe węże.

- Wykonałem zadanie. Nie chcę zołdu, tylko własnego ciała. Uwolnijcie Sul, wyjedziemy - nadaje.

Cisza. Komendant nie spieszy się. Pije kawę. W końcu wydaje kilka stęknień, jakby wymuszonych.

- *Aeschna*, sprawiłeś się dobrze, a właściwie myśmy się dobrze sprawili, ja i Anderblum. Wszykowaliśmy cię ja należy, prototyp się sprawdził i niebawem wejdzie do seryjnej produkcji. Wszakże nie zapominaj, że Emir dostał wyrok śmierci i jego ciało zostało już dawno skremowane, zaraz po pobraniu neuronów dla ciebie. Tak bywa w żołnierskim zawodzie, że trzeba iść stale naprzód, bo nie ma dokąd

wracać. Teraz poddamy cię badaniom i zdecydujemy, co dalej. Na pewno...

Ale EmirII już nie słucha. Pikuje prosto na szarozółtą postać przy biurku, przebija się przez warstwy czarnych węży, które kąsają boleśnie, ale jakoś mu się udaje. Vertejak opędza się, zaskoczony, ale zielona ważka unika ciosów, wygina odwłok i pryska policjantowi w twarz odrobiną substancji. Owad ma zakodowany odruch blokowania trucizn i nie może ich użyć wobec przełożonego, ale nie ma zakazu na niewinne afrodyzjaki, jak aminy i kwasy tłuszczowe. Ich stężenie w powietrzu, którym oddycha człowiek, robi się stukrotnie wyższe od dawki psychodelicznej, ale wciąż jest niższe od "efektu jaśminu", czyli ilości zmieniającej mechanizm olfaktorycznej percepcji.

Człowiek zrywa się zza biurka i sztywnieje, na jego twarzy maluje się strach. Naciska zawór trzymanej w ręku puszkę i rozpyla owadobójczą substancję, ale już po sekundzie dostaje szału. Nie bardzo wie, co się z nim dzieje, lecz w nagłym rozbłysku iluminacji przypomina sobie, że stosowane w nadmiarze feromony są doskonałym środkiem owadobójczym: samce w miłosnym szale kopulują z żdźbłami trawy, patykami i kamieniami aż do zatracenia, do chwili, w której padną martwe.

Nancy wbiega do pokoju, ale ucieka, widząc daremność swoich wysiłków. Wzywa pomoc, lecz gdy sanitariusze przybywają, jest już po wszystkim. Pułkownik leży na podłodze, przywalony przewróconą szafką, z nienaturalnie wykręconą ręką. Okazuje się, że żyje, a oprócz złamanego przedramienia ma tylko kilka niegroźnych stłuczeń i zadrapań.

EmirII także uchodzi z życiem. Zostaje otoczony kłębowiskiem czarnych węży i traci świadomość, ale ma w sobie odtrutkę o szerokim zakresie aktywności, którą sporządził przeciw insektydom jeszcze kiedyś w El Popo. Dzięki temu antidotum budzi się i wylatuje przez uchylone okno, uciekając od ludzi do wabiącego go świata owadów. W trakcie procesu rewitalizacji coś przestawiło mu się w zwojach nerwowych i nie pamięta swojej przeszłości, natomiast znów przyzywają go purpurowe rozbłyski feromonów samic jego własnego gatunku *Anisoptera aeshna*. Szeroko rozwija skrzydła i leci do lasu, nad rzekę, aby tam do końca przeżyć swoje krótkie, intensywne życie ważki.

\*\*\*

Pukanie było nieśmiałe, ale interesant wszedł nie czekając na przyzwolenie. To był doktor Anderblum.

- Dzień dobry, Nancy - powiedział cicho. - Przyszedłem...

Dziewczynę przebiegł dreszcz, który skończył się bolesnym uciskiem w dole brzucha. Ze złością musiała przyznać, że nie było to szczególnie przykre przeżycie.

- Widzę - burknęła. - Znow przyniósł pan osobiste perfumy Yombacha?

Lekarz uniósł obie dłonie i rozcapierzył palce. Kojarzył jej się teraz z tłustym indykiem, wymachującym podciętymi skrzydłami, i raczej nie przypominał łabędzia, romansującego z Ledą.

- Przysięgam, że nie! Proszę sprawdzić, dam się zrewidować.

- Nie zamierzam. Szefa nie ma - oświadczyła chłodno.

- Wiem, właśnie wracam od niego ze szpitala. Kazał pozdrowić.

- Dziękuję. Ma pan urzędowe sprawy do załatwienia?

- Żadnych urzędowych. Jest za to inna... chciałem zaprosić cię na lunch, właśnie dochodzi południe. Opowiem o pułkowniku - dodał pośpiesznie, widząc jej gniewną reakcję. - Prosił, żebym zdał relację.

Chwilę walczyła ze sobą, wreszcie skinęła głową.

- No dobrze, na pół godziny. Nie mam więcej czasu.

- Doskonale! Pojedziemy do portu, na dorsza w cieście. Pyszności! I mam prośbę: mów mi po imieniu, John. Chociaż przez te pół godziny.

- Niech będzie... John.

Drżącymi palcami chwyciła torebkę. Wstała i zgasiła lampkę.

Do portu dotarli w pięć minut. Usiedli na tarasie, a za drewnianą balustradką chlupotała woda. Zapach ryb mieszał się ze słabą wonią dymu i smoły. Niezbyt odległym kanałem wodnym holowniki ciągnęły kontenerowiec, bliżej pyrkotały kutry rybackie, a obok przy kei cumowały jachty.

- Ten twój szef mnie wykończy - skarżył się John. - Uzależnił się i wymaga coraz większych dawek. Mówi, że inaczej świat jest szary i bez sensu. Naprawdę kiepska sprawa. Boję się, że kiedyś mnie wsadzą za rozprowadzanie narkotyków. Czasem mam chęć zwyczajnie zwiać.

- Nie można go leczyć? Macie takie metody...

- Problem w tym, że łatwo pójść w tamtą stronę, lecz z powrotem jest

znacznie trudniej.

- Więc po co zaczynać?

- Och, człowiek jest istotą ciekawską i wszystkiego musi spróbować. Ale lepiej zmieńmy temat - zaproponował, zdmuchując pianę z piwa i spoglądając na cumujące statki. - Wiesz, lubię porty. Zwiedzanie każdego nadbrzeżnego miasta zaczynam właśnie od portu. Tutaj znajdują się bramy do innych światów, stąd ludzie wyruszają do egzotycznych krajów, w których wszystko jest odmienne. A ty?

- Nie cierpię - oświadczyła. - Brud i smród.

- A co lubisz?

- Sklepy z konfekcją.

- Aha. Też nieraz tam bywam. A czy nie nachodzi cię czasami chęćka, żeby zrobić coś niezwykłego, szalonego? Coś, od czego starym dewotkom wypadają sztuczne szczęki, jeśli są przypadkowymi świadkami?

- Owszem, czasami. Dowodem fakt, że tu siedzę, z facetem, którego...

- No, no? Którego co?

- Który kojarzy mi się z opadającymi spodniami!

- Brawo! Wszystko idzie prawidłowo. Nancy, Jezus, Maria! Zobacz!

Tuż za linią jachtów majestatycznie i w zupełnej ciszy sunął ogromny żaglowiec. Młodzi marynarze w białych bluzach i niebieskich beretach wciągali żagle, liny błyszcząły w słońcu, a brązowe burty wydawały się zrobione z czekolady.

- Kurczę, ja chcę tam być - jęknął John. Nagle zerwał się i chwycił Nancy za rękę. - Idę! Idziemy!

Gwałtownymi ruchami zerwał z grzbietu koszulę, potem zrzucił spodnie. Tak jak przypuszczała, był cały owłosiony, a tłuszcz rolował się w fałdy. Z niespodziewaną zręcznością przerzucił nogi przez balustradę i skoczył na płask, a bryzgi piany chlusnęły aż na stolik. Zarżał z radości i zanurkował, a potem, nie oglądając się za siebie, szybkim crawl'em puścił się w kierunku żaglowca. W wodzie był zwinny jak foka.

Widok jego golizny wywołał w niej obrzydzenie graniczące z rozkoszą. Musiała za nim iść, to był imperatyw sterujący odruchami. Nie miała czasu na odpinanie haftek, więc rozdarła sukienkę na całej długości. Zawahała się, ale tylko przez ułamek sekundy, po czym, wyciągnąwszy kartę kredytową, wcisnęła torebkę starszej damie, zajmującej sąsiedni stolik.

- Proszę to potrzymać! - zawołała. Odwróciła się i skoczyła ponad balustradą. Wpadła do wody bez plusku, prawidłowo, między foliowym workiem na śmieci a rozdętą prezerwatywą. Chwilę płynęła pod wodą, rozkoszując się chłodnym, omywającym ciało prądem. Potem ruszyła w pościg za Johnem.

- Człowiek za burtą! - krzyczał marynarz na oku. - Silniki stop!

Kapitan żaglowca obejrzał Johna bez entuzjazmu, lecz jego oblicze rozjaśniło się, gdy tuż za nim z głębin wynurzyła się smukła kobieta, która na dodatek trzymała w zębach kartę płatniczą.

- Nowożeńcy? Mamy apartament za dwieście funtów!

- Tylko... zapomnieliśmy szczoteczek do zębów - zauważył John, zerkając na Nancy.

Kobieta nie odpowiedziała, ale oparła się o jego zwalisty tors, gdy pomagał jej forsować reling.

- Kiedyś rozwałę ci ten kudłaty łeb - obiecała półgłosem.

- Ale przedtem spłodzimy dwójkę - zaproponował konfidencyjnym szeptem.

- Trójkę - poprawiła go i odepchnęła. Przyjęła szlafrok, który przyniósł jej kapitan.

Wibracje pokładu ustały, gdy zastopowano silnik. Powietrze pachniało słoną morską bryzą. Łapali wiatr w żagle.

Warszawa, grudzień 2002 - luty 2003

# Kochać w Europie

W sercu Republiki Federacyjnej Europy, w Dystrykcie Masowien, obywatel Paweł Molicki ukończył osiemnaście lat i musiał uciekać, albowiem w tym wieku potrafił już zrozumieć swoje czyny, a więc mógł za nie odpowiadać. Tak stanowił Kodeks Strasburski, opracowywany i ulepszany przez dwa pokolenia prawników do chwili, aż stał się najlepszym i najbardziej wyważonym kodeksem na świecie. Ogólnie twierdzono, że w optymalny sposób godzi lokalne aspiracje narodowe z dobrem całej Republiki, tradycje religijne z nowoczesnością, a także prawa jednostki z zasadami współżycia społecznego.

Paweł od kilku tygodni czynił intensywne przygotowania do ucieczki, lecz już od lat oswajał się z nieuchronnością zdarzeń, które musiały nastąpić, podobnie jak po dniu nastaje noc. Jako podejrzanemu nie wolno mu było przekraczać granic Europy, ale w młodym wieku miał jeszcze tyle czasu do procesu, że nie zastanawiał się nad nim, podobnie jak nastolatek nigdy poważnie nie myśli o własnej śmierci. Lecz od jakichś trzech lat rodzice i nauczyciele coraz częściej robili aluzje, więc nie mógł zapomnieć, nawet gdyby chciał. Ucieczki były modne w jego pokoleniu, bo nie tylko odwlekały termin rozprawy, ale także wyrabiały samodzielność i hart ducha, a nadto stwarzały możliwości kontaktów z młodymi ludźmi w podobnej sytuacji. Takie spotkania, podobne do burz mózgow lub sejmików grodzkich, nieraz owocowały nowatorskimi koncepcjami, wzbogacającymi zasób wiedzy euroantropologii kulturowej. Mając to wszystko na względzie, europejskie władze oraz FedPol nie realizowały jakiejś specjalnej polityki prewencyjnej, która zresztą musiałaby wiązać się z zatrzymaniami czy śledzeniem przed upływem ustawowego terminu, a tego wszak nie dopuszczało prawo strasburskie.

Na miesiąc przed osiągnięciem pełnoletności Paweł nabył długi

płaszcz, czarną dzokejkę i nóż sprężynowy. Na Targu Afgańskim długo przebierał w giwerach, ale w końcu zrezygnował, pomny wyczytanych mądrości w rodzaju „broń łącno uczyni cię uczciwym bandytą”. Na kilka dni przed paskudną datą odwiedził Chińczyka, który na tyłach gabinetu akupunktury zaaplikował mu somatyczną kurację transgeniczną. W przeddzień spakował chlebak, wziął klatkę z Mary Lou i wyszedł. Rodzice taktownie udali się na brydża, więc nie musiał robić krzywych min.

Skóra mu pociemniała, pod nosem wysypały włosy podobne do łonowych, tęczówki zmieniły barwę na węglistą. Poza tym czuł się dobrze, był wolny, a Stary Świat stał przed nim otworem. Spacerował po mieście, zjadł lody pistacjowe, poczytał *Feniksa* w Eupiku, aż trafił na Dworzec Centralny, gdzie spędził następne dwie doby. Nigdzie się nie spieszył, więc ruchy miał charakterystycznie zwolnione, lecz jego ubranie nie nosiło śladów typowej dworcowej patyny, zaś spojrzenie wciąż wyrażało żwawość myśli, nie bierność trwania. Czuł przelotne spojrzenia przechodniów, zatrzymujące się na nim o ułamek sekundy za długo, jakby nie mogli zdecydować, do jakiej grupy go zaliczyć.

- Koleś, rozglądasz się za używanym autem? - zagadnął go rezydent, szturchając kulą pod zebro. Miał rudą, druciastą brodę z przedziałkiem i sztywno stojące włosy, a marynarka dawno straciła kolor i przykleiła się do ciała.

- Ja... czekam na kogoś - wybąkał Paweł.

- Ach tak... - Tamten zlustrował go nieruchomym spojrzeniem. - Masz baksa?

Paweł sięgnął do kieszeni i wcisnął monetę w szarą od brudu dłoń.

- Ćpasz? - badał dalej rezydent. Pociągnął nosem i splunął. - Ej, widzi mi się, że stary cię skopał, he, zdarza się nawet u jajogłowych. Wracaj odrabiać lekcje, mały, a po drodze kup tatce fajki i będzie zgoda. Chwytasz?

Paweł pokręcił głową.

- To nie tak, proszę pana. Nie mogę. Już mnie szukają.

Rezydent spojrział bystro.

- Aaaa, prenatalny - raczej oświadczył niż zapytał. - Mieszka ich tu trochę, nieciekawi. Nie zagrzejesz miejsca. A to bierz z powrotem, przyda się. Wiesz o komunie w Pyrach? Jest super. Bliżej masz Diamentowych, przy Dworcu Głównym.



Nie czekając na odpowiedź mężczyzna odwrócił się i niespiesznie pokuśtykał ruchliwym przejściem, grzebiąc kulą w kolejnych napotykanym koszach na śmieci. Paweł obrócił w dłoni monetę, po czym schował ją i wyszedł na powietrze.

Powoli przemierzał rejon Żelaznej, starając się nie patrzeć w oczy Azjatom. Takie przyglądanie się mogło być poczytane za dowód nieżyczliwości etnicznej lub dyskryminacji imigrantów, a za to groziła kara odosobnienia do lat trzech. Dotarł już do połowy drogi, gdy siedzący w kucki obywatel Bangladeszu splunął, inny rzucił pustą butelką. Tak jak go uczono w liceum, Paweł mową ciała nieustannie wyrażał przyjazne nastawienie, ale postanowił, że nie będzie próbował tu zostać. Kolorowi czasem przyjmowali białych, traktując ich jako łączników, ale taka robota wymagała zdecydowanej i trwałej reorientacji kulturowej.

Szczęśliwie bez uszczerbku przebrnął Asiatown, potem przekroczył marmurowo-szklany rejon biurowców Plaza-Ochota, pilnowany przez ochroniarzy w czarnych mundurach ze złotymi epoletami, i zapuścił się w porośle zielskiem, zapomniane bocznicie dawnego Dworca Głównego. Przy pierwszym krzaku napadło go dwóch niezrzeszonych oprychów, ale gdy powołał się na Diamentowych, odstąpili, a nawet oddali mu kartę płatniczą i pięć baksów gotówki. Przedarł się przez zdziczałe maliny i dotarł do zardzewiałych, pografitowanych i częściowo zapadłych wagonów, stojących na pojedynczych szynach, bo całe dostępne tory dawno rozszabrowano na złom. W cieniu zderzaka siedział zapyziały, kudłaty młodzieniec, błyszczący od potu, i celował w przybysza czymś, co kiedyś mogło być sportowym oszczepem.

- Dzidzia, sierdu. Tu prajwet skansen - zagaił uprzejmie.

- Ja właśnie... do was. Diamentowe Bractwo? - upewnił się Paweł. Był o nich spory artykuł w Koszerniej.

Strażnik skrzywił się.

- Obrodziło w maminsynków. Nie ma wolnego!

- Ale... ja nie mam dokąd iść.

- A co, tu przytułek dla popapranych?! Zresztą, zastopuj.

Stuknął drzewcem w blachę jakimś kodem, kilka razy.

- Dupnij se, myślisz że Bielas przyleci jak na gwizdek?

Paweł przysiadł na kępie trawy. Czuć było zielskiem i odchodami, brzęczały muchy. W pobliżu ktoś przeszedł, trzasnęły drzwi, aż

zarezonowały blachy. Zakwiliło dziecko.

Po pół godzinie strażnik powtórzył sekwencję uderzeń i dopiero wtedy z sąsiedniego wagonu zeskoczył na ziemię wielki, jasnowłosy chłopak.

- Chcesz się bić!? - warknął i przyskoczył do Pawła, chwytając go za klapy.

- Nieee...!

Ale już dostał po twarzy, raz i drugi. Głowa odskakiwała jak piłka, w oczach pociemniało. Poczł gorącą strużkę po nosem i słony smak. Zasłonił się rękami.

- No. - Napastnik spuścił powietrze. - Umiesz ciągnąć druta? Nie!? To jazda, naucz się!

Chwycił go za włosy i wstał, ale tylko zaśmiał się ochryple, patrząc z góry.

- Imię? - warknął.

- Pa... Paweł.

- Paw, he, możesz być Pawiem, póki co. Zostajesz przyjęty na próbny tydzień. Jak się nie przydasz, won. Jak sprawisz kłopot, to won od razu, i jeszcze takiego kopa w dupę, że ci gruczoł krokowy w gardle stanie. Rozumiesz, chłoptysiu?

- Tak. Postaram się, szefie.

- Hi, hi. Jestem Bielas, tylko pamiętaj: zawsze przez duże „B”. No dobra. - Wstał i rozejrzał się.

Dopiero teraz Paweł zauważył krąg gapiów. Przed szereg wysunęła się przysadzista dziewczyna o włosach tak tłustych i zlepionych, jakby wylała na nie pół litra oleju. Na ręku trzymała kwilące niemowlę. Podniosła rękę.

- Czy mogę?

- W porządku, Zuza - zdecydował Bielas. - Pomatkujesz Pawiowi, a on bardzo się postara, żeby uśmiech nie schodził z twej pyzatej facyjaty. Prawda, ptaśku? - zaczął odwracać się w stronę Pawła, ale nawet nie zaczekał na odpowiedź. Wspiął się do swojego przedziału, a reszta oberwańców powoli rozeszła się po krzakach i wagonach.

- Chodź, Paw - powiedziała Zuza, ciągnąc go za rękaw.

- Mam na imię Paweł - odparł, nie ruszając się.

Wyciągnęła rękę. Drgnął i cofnął głowę, ale dziewczyna tylko

pogłaskała go po policzku. Jej dłoń pachniała starym potem i skisłym mlekiem.

- Nie bój się, głupi. Nic nie rozumiesz. Chodź już... Paweł.

\*\*\*

Klawo było u tych Diamentowych, nie ma co. Paweł spędził z nimi całe dziesięć dni, mając za wyrko kawałek wyszmelcowanego na glans fotela drugiej klasy, gdzie sypiał w dzień. W nocy chodził po śmietnikach, zbierając prowiant dla siebie, Zuzy, jej dzieciaka i Mary Lou, a pety dla reszty mieszkańców wagonu. Zuza była mu przychylna, gadała bez końca albo brała się do obłapianek. Już pierwszego wieczora dała mu wszystko, co miała, a więc wrzód miękki i trypra, które to przypadłości tliły się w niej endemicznie i dożywotnio. Na szczęście na rewersie bankomatu, stojącego w Muzeum Kolejnictwa, zainstalowany był męski medomat, bezpłatnie leczący podstawowe dolegliwości. Należało wsunąć w osobne otwory palec wskazujący, język i członka i poczekać minutę, nie zważając na kłucia i mrowienia. Brawa dla społecznej medycyny w Zjednoczonej Europie! Na wyświetlające się pytania o dalsze, już płatne analizy Paweł odpowiedział przecząco, bo jego bezdebitowa karta bankowa była od dawna goła jak Święta Aspezjanka Bosa w pierwszą rytualną noc lata.

- Bielas to życzliwy gość, tylko na początku trochę nerwowy - tłumaczyła Zuza. - Rozumiesz, nowy znaczy nieznany, różni przychodzą. Z tym drutem żartował, on nieraz lubi postraszyć. A wiesz, Paweł, że kopulacja robi w Afryce za podanie ręki? Słowo daję, ludzie gadają, że nie tylko u małp.

- No właśnie, w Afryce. Acha, one, te małpy, podają sobie ręce?

- Nie udziwniaj, młody. Małpa też ma prawo, no nie?

- No tak, Zuźka.

- Nie mów tak na mnie. Za co wpadłeś, młody?

Paweł wzruszył ramionami. Może ci ludzie coś mu poradzą? W niszy swoich potrzeb byli cholernie bystrzy.

- Za zabójstwo.

- O, psiajucha - mruknęła z uznaniem. - Ze strachu?

- Coś w tym rodzaju. Przecież nie pamiętam. Prenatalne.

- Ach, to tak! - Zuza aż uniosła się na łokciu. Toś ty taki!

- Jaki?

- No, niewinny. Dzieciuch. Szkoda mi was - stwierdziła, znów głaszcząc go po policzku. Polubił tę pieśczętę, nikt go tak nie głaskał, nawet matka, która przecież zawsze porządnie wywiązywała się z obowiązków. - Nie pasujecie do nas. Jesteście jak... Kiedyś widziałam w kinie, jak kanarek poleciał do wron. Nie zgadniesz, że w końcu zadziobały go wróble.

- No tak, do wróbli był podobny, ale trochę inny. Wrony pewnie w ogóle go nie spostrzegły.

- Ty mądralo - powiedziała Zuza - zgłoś się sam. Dostaniesz mniej.

- Słyszałem o takim, co ukrywał się dziesięć lat.

- Twarda sztuka, nie jak ty. Tyś maślak, zginiesz. Wiesz co? - Uniosła się ze swojej części fotela. Dziecko odpadło jej od cycka i zaczęło wrzeszczeć, więc dziewczyna przyrzuciła je spódnicą. - Mam! Musisz się ożenić!

Paweł wytrzeszczył oczy, ale się nie zdziwił. Już na drugi dzień po ucieczce ten rodzaj doznań stał się mu z gruntu obcy.

- Właściwie.. mógłbym - przytaknął ostrożnie. Wyobraził sobie Zużę, która już teraz miała skłonności do tycia, za kilka lat. W jej nalanej twarzy małe usta poruszały się jak rybi pyszczek. - Wiek już mam, gorzej, hmm, z powołaniem.

- Pieprzyć to - oświadczyła z uniesieniem. - Jak masz odpowiedzialność, daję niższy wyrok. Zawsze się opłaca!

To mówiąc sięgnęła do kąta i zdjęła z klatki jedwabną chustę, która kiedyś przypuszczalnie była żółta. Mary Lou uśmiechała się do nich i do świata, przyciskając głowę do prętów więzienia. Zawsze była zadowolona, jak miała co zryć, a małe porcje tutejszego silnie urozmaiconego pokarmu najwyraźniej jej służyły.

Paweł Molicki, lat osiemnaście, prenatalista i uciekinier, dobry uczeń przedostatniej klasy liceum, potrzebował długiej chwili, aby skojarzyć - na pozór, a może naprawdę - odległe pojęcia. Gdy to się stało, zdziwił się. Naprawdę się zdziwił!

- Zwariowałaś? - krzyknął, a potem roześmiał się na całe gardło. Hifek Modzio, śpiący w kącie, obudził się i splunął, bo zakląć nie miał siły.

- Nuu, miarkuj się - mruknęła urażona Zuza. - Jeszcze przyjdiesz dziękować.

\*\*\*

Przy placu Zawiszy dumnie piętrzył się kościół wschodnio-neoanglikański, który prowadziła czwórka pastorów, związana małżeństwem grupowym - prawdziwym urszulańskim sedoretu. Mogli uprawiać seks wertykalnie, horyzontalnie i po przekątnej, według chęci, uznania i porywów serca.

- Proszę przyjść jutro rano - odezwał się kobiecy głos z głośnika pod judaszem.

- Ale... ja ma sprawę nietypową - wyjąkał Paweł. - Wskazany jest pościech - dodał konfidencjonalnym szeptem. Taką taktykę doradziła mu Zuza.

Podziałało. Szczęknięta zasuwa i drzwi uchylły się, a w ciemnej szczelinie pokazała się trójkątna twarz. Pastor zlustrowała go podejrzliwym spojrzeniem i pociągnęła nosem.

- Zupę wydają na Centralnym - stwierdziła i zaczęła zamykać, ale chłopak z desperacją wsunął stopę w szparę.

- Chwileczkę, psze pani! Chcę ekspresem brać ślub!

Drzwi przestały się zamykać, a potem otworzyły się na oścież. Pani pastor była drobna, miała dużą czaszkę i wąską twarz, zakończoną szpiczastą, wysuniętą brodą. Nosiła granatową garsonkę z przykrótką spódnicą i czarne lakierki na płaskim obcasie.

- Za ekspres bierzemy sto euro.

Gdy Paweł skinął głową, odsunęła się i przepuściła go. Zaryglowała drzwi i zaprowadziła petenta do biura. Czuć było stęchlizną, a od czarno-białej szachownicy posadzki ciągnęło chłodem.

- Proszę wypełnić formularze. - Podsunęła mu samokopiujące arkusze. Widząc, że rozgląda się po biurku, westchnęła z rezygnacją i popchnęła w jego stronę długopis.

- Kto zapłaci? - spytała praktycznie, zanim pióro dotknęło papieru.

- Ojciec.

- Znasz numer konta?

- Nieee... To znaczy, wpiszę adres.

Czekając, niecierpliwie stuknęła obcasem. Wstała i spojrzała mu przez ramię, demonstracyjne zatykając nos.

- Porządna dzielnica, hmm - mruknęła. - Ćpać się zachciało, synku? Zresztą, nie moja sprawa. Muszę zobaczyć dowody osobiste, wymagana

jest pełnoletność. No i przyprowadź tę dziewczynę, eksternistycznie ślubów nie udzielamy.

- My... to znaczy, przyszedliśmy razem, pani pastor.

- Gdzie?! - spytała kobieta, spoglądając w kierunku otwartych drzwi biura.

- Neee, ona jest, trzymam ją... tutaj.

To mówiąc odsłonił chustę, okrywającą klatkę. Mary Lou ożywiła się i zaczęła drapać w pręty.

Pastor przestała oddychać, chwyciła się za piersi, oczy wyszły jej z orbit. Potem roześmiała się histerycznie, płytko chwytając powietrze, co przywodziło na myśl szczekanie. Wreszcie odetchnęła głęboko i zacisnęła usta, a na koniec ordynarnie zaklęła.

- Wynoś się - zażądała. - Wynoś się natychmiast! Kretyńskie dowcipy zachowaj dla swoich kumpli. Tutaj załatwia się poważne sprawy! A może - wzięła się pod boki - jesteś zwykłym świrem? To by nawet pasowało. Uciekł z zakładu i błąka się po dworcach. Ewidentnie sprawa dla policji.

- Nie - jęknął Paweł. - Proszę...

- Chwileczkę, wielbna Wiktorio - odezwał się basem wysoki mężczyzna, ubrany w czarny garnitur. Stał w drzwiach z dłońmi splecionymi na podołku.

- Przecież to wariat, Edwardzie - tłumaczyła pastor, rozkładając ręce w geście bezradności.

- Możliwe, możliwe - zgodził się nowoprzybyły, wchodząc do biura. Po jego dużej, pomarszczonej twarzy, podobnej do mapy kontynentu, błąkał się uśmiech. Usiadł na fotelu na wprost krzesła, zajmowanego przez Pawła. - Masz coś do powiedzenia, chłopcze?

- Tak... oczywiście. Nie jestem wariatem! Kocham Mary Lou, ona jest... taka miła. Poza tym - wyprostował się i popatrzył hardo - przecież wszystkie zwierzęta zasługują na względy! Dlaczego tolerujemy dyskryminację, czemu to psy, koty czy konie mają mieć więcej praw? Kto miał czelność przeprowadzić granicę animalistycznego apartheidu, i czym uzasadnił właśnie takie jej wytyczenie? - recytował to, co wcześniej przygotował i wkuł na pamięć.

Pastor Edward pochylił głowę, pocierając kciukiem policzek. Mogłoby się wydawać, że powstrzymuje uśmiech. Po chwili przytaknął.

- Tak, ta sprawa była już kiedyś podnoszona na forum publicznym.

Pamiętam prasowe dysputy, gdzieś sprzed roku, dotyczące podmiotów małżeńskich. Najważniejszym kryterium jest miłość, oczywiście obopólna, albo przynajmniej głębokie przywiązanie. Jeśli istnieje uczucie, reszta schodzi na dalszy plan. No, pozostaje jeszcze kwestia, hmm, konsumpcji małżeńskiej.

- Nie ma problemu - zapewnił Paweł. - Stosujemy petting, głaskanie, używam dostępnych w handlu utensyliów i syntetycznych feromonów.

- Acha. Jednak w przypadku dysproporcji gabarytowych i nierównego potencjału intelektualnego zawsze istnieje możliwość seksualnego wykorzystywania. Oczywiście, kolego - pastor obronnym gestem podniósł dłonie - o nic nie oskarżam, moim jedynym obowiązkiem jest wskazać ewentualne problemy!

- Kilka razy podczas seansów zapisywałem rytm theta jej mózgu, wielebny - wyjaśnił Paweł. - Pomiar wykazały wzmożoną aktywność ośrodków przyjemności, natomiast nigdy nie wykryłem agresji.

- Zostawisz nam to na piśmie, kawalerze?

- Chwileczkę!... - wtrąciła Wiktoria piskliwym głosem. - O co tu chodzi, pastorze?

Edward wstał i zaczął spacerować, założywszy ręce do tyłu. Uśmiechnął się jowialnie.

- Droga Wiktorio - zagaił. - Ten młody człowiek przyszedł do nas z precedensową prośbą i mamy obowiązek go wysłuchać, a także udzielić, w miarę możliwości, pomocy. Powiem więcej: to nasz duszpasterski obowiązek!

Zapadła cisza, którą zakłócało tylko miarowe stukanie obcasów przechadzającego się pastora. Ów kontynuował:

- Przed rokiem miałem zamiar wziąć udział we wspomnianej dyspucie na temat małżeństw transgatunkowych, ale zanim się zdecydowałem, problemu poniechano. Teraz - zatrzymał się i przemówił takim tonem, jakby wygłaszał kazanie - pragnę upublicznić swoje poglądy. Zrobię to, udzielając ślubu tej miłej parze!

- Zwariował - jęknęła Wiktoria. - Będą kłopoty, jak amen w pacierzu.

- Będzie zainteresowanie mediów - poprawił Edward. - Zyskamy popularność, która naszemu kościołowi nie zaszkodzi. Wprost przeciwnie, wierni zaczną wreszcie napływać. Wierni, goście, zwiedzający. Nie rozumiesz, wielebna?

- Może. - Westchnęła. - Może masz rację. Ale ty bierzesz odpowiedzialność!

Pastor puścił jej słowa mimo uszu. Uniósł dłoń, jakby sobie o czymś przypomniał, i znów zwrócił się do chłopca.

- Kawalerze, pozostaje sprawa potomstwa. Wiadomo z biologii, że niezadługo zostaniesz wdowcem, więc jeśli pragniesz później zachować prawa i obowiązki opiekuńcze...

- Wiem. - Paweł rozpromienił się. Wygrywał! - Wiem, co mam zrobić. W razie niemożności zapłodnienia międzygatunkowego, mam prawo usynowić potomstwo z innego ojca i nadal wykonywać obowiązki opiekuńcze, to znaczy rodzicielskie.

- Doskonale - pochwalił pastor. - Sprawy precedensowe zwolnione są z opłat, więc możemy niezwłocznie przystąpić do przygotowań. Jeśli masz życzenie, poproszę moich pozostałych małżonków, aby pełnili rolę świadków. Czy młoda para ich akceptuje, czy zechce sprowadzić własnych?

Paweł natychmiast zaakceptował propozycję, a Mary Lou zajęła się metodycznym czyszczeniem futerka, więc było oczywiste, że również nie protestuje.

\*\*\*

Ślub, zapowiedziany przez środki masowego przekazu, odbył się z wielką pompą. Zjechały setki małżeństw alternatywnych, aby okazać solidarność z nowożeńcami. Tak więc pośród gości widać było kilkunastoosobowe stadła grupowe, płci jednej lub mieszanej, kobiety ubrane w napierśne peruki wiodące naburmuszone goryle lub gorylice, mężczyzn w szortach i korkowych hełmach z uwieszonymi u ramion modnie ufryzowanymi szympancami, chłopców przebranych za stajennych z kobyłami, ogierami, oślicami lub osłami, a także starsze wyondulowane panie trzymające za pyski nasrożone ogiery w duralowych półpancerzach, okrywających zady i genitalia. Tłumnie przybyli amatorzy psów i kotów, a zwierzęta przejawiały nieprzystojne podniecenie, węsząc syntetyczne feromony, trzymane przez ludzkich małżonków na podorędziu w jednorazowych dozownikach. Oklaskami powitane zostały bardziej nietypowe pary, jak mężczyzna z pytonem tak wielkim, że ów wąż mógłby bez trudu połknąć swojego partnera w



całości, rosły pastuszek ze stadem do połowy wygolonych owieczek, a także krakowianin w stroju ludowym pod rękę z białą niedźwiedzicą, poruszającą się na wzmocnionych łyżworolkach.

Oczywiście wśród tego tłumu nie zabrakło ciekawskich mieszczuchów o klasycznej orientacji małżeńskiej, a także dziennikarzy i fotoreporterów. Chronieni kordonem policji przybyli politycy, wśród nich Wysoki Komisarz Republiki Europy. Również pod policyjną ochroną po drugiej stronie placu pojawili się malkontenci, wszak tacy znajdują się w każdym, nawet najlepiej zorganizowanym społeczeństwie. Jeden z nich na desce do odgarniania śniegu napisał „Jutro żenię się z laską gruzlicy”, drugi pokrzykiwał „Ludzie po rozum, zwierzęta do lasu”, a kilku innych skandowało „Unia do domu”. Ci ostatni zostali szybko zneutralizowani i wywiezieni policyjną suką.

Pastor Edward przemówił, wysuwając z obrączki groszkowy mikrofon.

- Drodzy zebrani! - Śmiechy i rozmowy ucichły. - Przybyliśmy tutaj, aby uczestniczyć w ceremonii zaślubin pary pozostającej w silnym emocjonalnym związku, Pawła Molickiego i Mary Lou. Jak się okazuje, żadne przeszkody im nie straszne, wzajemna atencja jest najważniejsza. Brawa dla oblubieńców!

Zerwała się burza oklasków. Malkontenci gwizdali i grali na trąbkach.

- Szanowni goście - kontynuował pastor, gdy wrzawa przycichła. - Zaraz udamy się do kościoła, aby dopełnić obrządku, lecz najpierw poproszę Wysokiego Komisarza Rady Europy, który zaszczycił swoją obecnością tę uroczystość, o zabranie głosu. Bardzo proszę!

- Hellou! - Urzędnik europejski pozdrowił zebranych, machając ręką. - Cjesze sie niewymownie być tu z wami. Dzis mamy ceremony precedensowa, małe z dużym, gładkie z puszystym, mądre z wiernym. My w naszej Juropie miłość ponad wszystko, Liebe ueber alles, love makes free! Miłość to akceptacja, a my nie odtrącamy nikogo, ani z biedny kraj, ani że czuje inaczej, ani ze wzgląd na płeć. Nie wolno dyskryminacja że małe czy duże, przecież myśli, kocha, cierpi i cieszy. Wszyscy mają prawa do miłość!

Zagrzmiały brawa, a Komisarz musiał dwukrotnie bisować, machając rękami w geście pozdrowienia. Potem goście udali się do kościoła, gdzie co chwila wybuchały utarczki, bo mimo wszystko psy nie były w stanie

okazywać wystarczającej miłości kotom, a małpy, nie wiedzieć czemu, stale miały o coś pretensję do osłów. Część osób i większe zwierzęta pozostały na zewnątrz.

W połowie ceremonii pod kościół podjechała furgonetka policyjna, a z niej wysiadło dwóch smutnych panów w szarych płaszczach. Przygotowali kajdanki i stanęli po obu stronach drzwi.

Paweł Molicki zadrżał, gdy usłyszał warkot silnika. Wiedział, że popełnił haniebny czyn i musi ponieść karę, ale panicznie bał się więzienia.

\*\*\*

Dzięki zawartemu małżeństwu podejrzany nie został osadzony w areszcie śledczym. Po wstępnym przesłuchaniu dyżurny adwokat formalnie wystąpił o areszt domowy i wniosek został przyjęty. Oskarżonemu nie wolno było opuszczać mieszkania, a nad dotrzymaniem tego warunku czuwały policyjne kamery, zainstalowane w pomieszczeniach, na które opiewało zezwolenie. Niestrudzone oko sprawiedliwości bezustannie namierzało go zarówno w łazience, jak i w łóżku.

Po trzech tygodniach odbył się proces społeczny przed Sądem Okręgowym Becirku Ochota. Rozprawa była otwarta, lecz przybyli tylko nieliczni obserwatorzy, ponieważ sprawy prenatalne zdążyły już spowszednieć.

- Otwieram rozprawę przeciwko obywatelowi Europy Pawłowi Molickiemu - oznajmił eurolicencjonowany sędzia w błękitnej todze z trzydziestoma słonecznymi gwiazdami, rozmieszczonymi helikoidalnie. - Proszę pana prokuratora o zabranie głosu.

- Dziękuję - powiedział chudy, siwowłosy mężczyzna, powstając i zapinając marynarkę. Miał w sobie coś z sępa, zarówno w twarzy, jak i w ruchach. - Będę mówił krótko, bo sprawa jest typowa. Oto tam, na ławie oskarżonych, siedzi morderca prenatalny. Zostało dowiedzione, że w czwartym miesiącu matczynej ciąży zaatakował swojego brata, a potem w następnych tygodniach ponawiał haniebne postępkę, powiem więcej, mordercze poczynania, które spowodowały zgon bliźniaka, a następnie resorpcję płodu przez organizm matki. Pragnę podkreślić, że matka jedynie wchłonęła martwe ciało, i proces ten nie ma nic wspólnego z

poronieniem, nie można więc w żadnym stopniu uważać jej za winną.

Mężczyzna wstał i wyszedł przed audytorium, po czym wskazał na przestrzenny hologram, który ukonstytuował się nieco z boku na wysokości dwóch metrów, doskonale widoczny z każdego miejsca sali. Wewnątrz pojawił się tomograficzny obraz wnętrza brzucha ciężarnej kobiety, w którym obejmowały się i przepychały dwa płody. Środowisko było cieliste, galaretowate, półpłynne.

Prokurator zmienił obraz. Teraz poruszał się już tylko jeden płód, a ten nieruchomy przy kolejnych odsłonach zmniejszał się, zamieniał w kadłubek, rozpuszczał, aż w końcu zupełnie znikł. Pozostały rozpiekał się w obszernym brzuchu, miał teraz znacznie więcej miejsca. Po widowni przebiegło westchnienie.

- Tak, proszę państwa. Wszyscy byliście świadkami przestępczego czynu. Nagrania dowodowe zostały zarejestrowane w Szpitalu Bielańskim, a o ich prawdziwości zaświadczy obecny tu doktor Wernicki. Proszę, doktorze.

- Poświadczam - potwierdził lekarz, siedzący w ławie świadków. - Przejrzałem szpitalne archiwum i nie mam żadnych wątpliwości co do tożsamości matki, syna i płodów.

- Czy obrona chce na tym etapie rozprawy skorzystać z prawa głosu?  
- Włączył się sędzia.

- Nie - poinformował przydzielony z urzędu adwokat.

- Owszem, tak - odezwał się przedstawiciel społeczności Łemków. Oprócz Łemków przybyli reprezentanci grup etnicznych Kaszubów i Tyrolczyków. Tyrol ostatnio mocno akcentował swoją obecność, zapewne szykował kolejną petycję o rozszerzenie uprawnień. - Chciałbym wiedzieć, dlaczego płód ma odpowiadać według kodeksu, którego jeszcze nie miał okazji poznać?

- Proszę o pozwolenie na odpowiedź. - Prokurator znów wyszedł przed audytorium. Gdy sędzia skinął głową, kontynuował. - Otóż muszę nie bez żalu stwierdzić, że większość obywateli Europy też nie zna kodeksu, ani karnego, ani żadnego innego. Niestety. A mimo to, zgodnie z literą prawa, odpowiada za czyny przestępcze! Chciałbym od razu uprzedzić następne pytanie i przypomnieć, że istnieje w kodeksie istotny paragraf 45, dotyczący przestępstw nieumyślnych. Cytuję: *Za nieumyślne pozbawienie życia stosuje się karę więzienia do lat dziesięciu.*

- No dobrze - odezwał się maszynowy głos automatycznego tłumacza, płynący z głośnika. To jeden z Tyrolczyków mówił do szpilkowego mikrofonu, wpiętego w klapę marynarki. - Jestem dla pierwszego razu w tym pełnym piękności mieście i proszę o wybaczenie brak znajomości tradycji. Czas życia my liczymy od chwila narodzin. Dlaczego ten człowiek odpowiada wcześniej? U nas takiego nie ma.

Sędzia uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Zechce pan znów wyjaśnić, prokuratorze?

- Oczywiście, z przyjemnością. W naszym kraju życie człowieka zaczyna się w chwili poczęcia, a embrion ma od momentu pierwszego podziału komórki takie same prawa jak pan, ja i wszyscy tu obecni! - Mężczyzna zatoczył ręką koło w nieco teatralnym geście. - Nie rozumiem, dlaczego można zupełnie arbitralnie wytyczać granicę wieku, na przykład sześciu tygodni, po której płód raptem nabywa cech człowieczeństwa?

- Rząd Republiki Europy uznał w tym przypadku prawo do jurysdykcji lokalnej - uzupełnił sędzia. - Lecz - podniósł głos o oktawę - europejski rząd jest nie tylko wielkoduszny, ale także konsekwentny. Jeśli dajemy obywatelowi pełnię praw, egzekwujemy również obowiązki. Posiadanie samych praw byłoby wysoce demoralizujące i nie wchodzi w rachubę. Czy te wyjaśnienia są wystarczające?

- Nie wiem. - Tyrolczyk nie był do końca przekonany. - Jak karać za fizjologiczne procesy naturalne?

- Ależ, drogi kolego! - Prokurator uniósł obie dłonie w geście oburzenia. - Wystarczy spojrzeć przez mikroskop w kroplę wody, tam trwa nieustanny i oczywiście jak najbardziej naturalny proces zabijania i pożerania. Proszę powiedzieć, czy po to budowaliśmy cywilizację, której zwieńczeniem jest nasza kultura, aby wzorować się na takich atawizmach?

- Uważam te wyjaśnienia za wyczerpujące - stwierdził sędzia, poprawiając błękitną togę i tłumiąc ziewnięcie. - Czy pan mecenas zechciałby teraz zabrać głos?

- Tak, panie sędzio. Pan prokurator był łaskaw zacytować paragraf 45, precyzujący górną granicę kary za nieumyślne spowodowanie śmierci. Powtarzam: górną, bo minimalny wymiar kary nie jest określony, a w takich przypadkach domniemuje się, iż oznacza

uniewinnienie. Odstąpić od wymierzania kary można, gdy występują istotne okoliczności łagodzące. Właśnie mamy z nimi do czynienia, Wysoki Sądzie.

To mówiąc podszedł do niskiego stołka i ostrożnie zdjął woalkę z okrągłej klatki. Wewnątrz, strosząc wąsy i próbując wspiąć się na pręty, biegła łaciata świnka morska.

- Nazywa się Mary Lou - poinformował mecenas. - Obywatel Paweł Molicki miał ją pod opieką od ponad roku, i przez ten okres ich zażyłość stopniowo zamieniała się w bardzo ciepłe, pełne empatii relacje. Zwieńczeniem tego procesu była symboliczna ceremonia ślubna, nakładająca na obie strony pewne obowiązki. Miłe, ale tym niemniej obowiązki.

- Na pewno nie zdradzisz jej z kaczką? - odezwał się jakiś dowcipniś z galerii, najpewniej antyglobalista. Zaraz pośpieszył tam strażnik, aby przywołać go do porządku.

- W tym względzie obywatel Molicki ma szczególne obowiązki - kontynuował adwokat, nie dając się zbić z tropu. - Ślub był precedensowy, ale spełniał wszelkie formalne wymogi Europejskiej Karty Kultury, zyskał także aprobatę Wysokiego Komisarza Rady Europy. Tym niemniej prawnie uznana partnerka pana Pawła jest na tyle drobna i niesamodzielna, że wymaga szczególnej troski i opieki, aby przetrwała w zdrowiu i samospełnieniu. Powiedzcie - zawołał, unosząc ręce - jak obywatel Molicki ma sprostać zadaniu, jeśli zostanie skazany na odosobnienie w warunkach daleko posuniętego ubezwłasnowolnienia i intensywnej resocjalizacji, albo na absorbujące prace fizyczne? Nie jest to możliwe! Powiem więcej - mecenas zniżył głos i uniósł wskazujący palec, aby uzyskać efekt konspiracji - pan Paweł ma zamiar usynowić przyszłe potomstwo swej oblubienicy, co nastąpi już wkrótce! Nie naruszam prywatności podsądnego, zdradzając tajemnice alkowy, ponieważ zostałem upoważniony przez samego zainteresowanego do podania powyższej informacji. A więc - znów podniósł głos - przed ferowaniem wyroku należy się zastanowić, na ile poszukiwanie sprawiedliwości i egzekwowanie prawa może wpłynąć na bezpieczeństwo i indywidualne poczucie szczęścia innych członków naszej społeczności, wszak otwartej na potrzeby wszystkich mieszkańców. Wysoki Sądzie, proszę wziąć pod uwagę wszystkie aspekty sprawy.

- Dziękuję panu mecenasowi - powiedział sędzia, spoglądając na zegarek. - Czy oskarżony chce zabrać głos?

Paweł Molicki przecząco pokręcił głową.

- Podsądny jest proszony o głośne, wyraźne i jednoznaczne udzielanie odpowiedzi!

- Nie, panie sędzio. Wszystko już powiedziano.

- No dobrze. Teraz proszę o opinie, dotyczące wymiaru kary. Panie prokuratorze?

- Wnioskuje o karę ośmiu lat więzienia, po uwzględnieniu okoliczności łagodzących. Skazany powinien wykonywać pracę koncepcyjną, na przykład pisanie artykułów na temat socjalnej polityki europejskiej. Tego rodzaju zajęcie umożliwi opiekę nad małżonką i ewentualnie urodzonymi dziećmi, a jednocześnie spełni rolę wychowawczą.

- Ja bym wolał coś, co nie obciąży budżetu - wtrącił trochę obcesowo przedstawiciel etnicznej mniejszości Kaszubów. Sterowany źródłem dźwięku jupiterek rozjaśnił jego brodą, ogorzałą od wiatru twarz. - Trzeba mu obciąć kciuki, palce wskazujące i środkowe, bo właśnie nimi zadusił braciszka. Rzecz jasna sterylnie, w szpitalu. Serdeczne i małe zostawić, żeby miał czym stukać w klawiaturę i obrządzać żonkę. Koszt mały, a każdy z daleka zobaczy, że dusiciel.

Sędzia uśmiechnął się półgębkiem.

- Oddalam wniosek. Prawo europejskie nie przewiduje kary okaleczania ciała, bo to są okrutne średniowieczne metody. Panowie? - Spojrzał na przedstawicieli innych mniejszości.

- Ja nie mam wiedzy - stwierdził Tyrolczyk sylabizującym głosem maszynowego tłumacza. - Brak zrozumienia przepisu.

- Cóż, nie przewidujemy prowadzenia tutaj kursów doksztalających - skwitował sędzia. - Proszę o dalsze propozycje.

Powstał wysłannik Łemków.

- Jestem za uniewinnieniem, bo płód ze szczątkowym mózgiem nie może odpowiadać wobec prawa na równi ze świadomym człowiekiem.

- To jest demagogia! - zagrzemiał sędzia. Jego długa, mięsista twarz poczerwieniała. - Wiadomo, że zgodnie z prawodawstwem landów Hiszpania, Portugalia, Irlandia i Polska płód od samego momentu poczęcia jest pełnoprawnym człowiekiem. Odmienna jurysdykcja

obowiązuje na terenie innych landów, ale do zdarzenia doszło tutaj, i tu jest ono sądzone. Bardzo proszę, panie mecenasie.

Adwokat powstał i obciągnął poły marynarki.

- Wysoki Sądzie, szanowni państwo. Ci, którzy oczekują, że będę optował za uniewinnieniem, są w błędzie. Nie chodzi przecież o to, abym za wszelką cenę bronił swojego klienta, ale o to, by sprawiedliwości stało się zadość. Obywatel Paweł Molicki dopuścił się czynu przerwania czyjegoś życia, to zdarzenie dowiedzione. Jednakże nie udowodniono mu działania w złej wierze, a ponadto, jak wiemy, występują istotne okoliczności łagodzące. Biorąc te czynniki pod uwagę wnioskuje o skierowanie podsądnego na obowiązkowe uniwersyteckie studia, na kierunek ekobiologii. Tam nauczą go szacunku do wszelkiego życia, a także do Matki Gei. Obywatel Molicki zrobił już pierwszy krok we właściwym kierunku, mianowicie wziął pod małżeńską opiekę jeden z przejawów globalnego życia, tym bardziej więc należy domniemywać, że studia nie będą stratą czasu i pieniędzy. Ponadto uważam, że obywatel Molicki powinien dożywotnio opodatkować się na rzecz medycznej ochrony wcześniaków, co byłoby symbolicznym gestem pojednania z zamordowanym bratem. To wszystko.

- Dziękuję - powiedział sędzia i uderzył drewnianym młotkiem w rezonującą podstawkę. - Ogłaszam pięć minut przerwy.

\*\*\*

Sędzia odczytał wyrok.

- Po obradach składu sędziowskiego, na podstawie artykułu 22, posiłkując się artykułami 45, 2, 67 i 13, skazuję obywatela Pawła Molickiego na pięć lat więzienia za prenatalne morderstwo, dokonane na swoim bracie bliźniaku. Jednakże ze względu na okoliczności łagodzące zamieniam więzienie na areszt domowy, który rzeczony obywatel może opuszczać w razie nagłej potrzeby medycznej, a także uczęszczając do szkoły i na studia, lub pomagając w prowadzeniu gospodarstwa domowego. Ponadto, po ukończeniu szkoły, kieruję rzeczonego obywatela na obowiązkowe studia uniwersyteckie, kierunek ekobiologii. Naukę musi ukończyć, chyba że rektor uczelni zaopiniuje na piśmie, że jest to niemożliwe ze względu na poziom umysłowy skazanego. Wyrok stanowi także, że rzeczony obywatel nie może opuszczać landu Polska

przez okres obowiązywania aresztu. W razie złamania przez skazanego któregokolwiek z postanowień wyroku odbędzie się drugi proces, a podsądny będzie traktowany jak recydywista. Posiedzenie uważam za zamknięte.

Paweł Molicki, skuty kajdankami, został wyprowadzony przed gmach sądu w asyście dwóch policjantów. Tam stróże prawa zatrzymali się, oczekując na furgonetkę, którą mieli dostarczyć go do miejsca odbywania kary.

- Mam ochotę na domową szarlotkę - mruknął Paweł. Podniósł klatkę z Mary Lou na wysokość oczu, posyłając małżonce całusa. - Ty też dostaniesz, maleńka.

- O co chodzi? - spytał policjant, wysuwając brodę i patrząc spod daszka czapki, nasuniętej na oczy.

- O nic, mówię do siebie - odparł aresztant, spoglądając w niebo. Zachodni wiatr ucichł. Było duszno, zbierało się na deszcz.

Warszawa, sierpień-wrzesień 2003



## Intermezzo z Chys2sem

- Bóg istnieje! I jest pilnie potrzebny!

- Nie sądzi pan, że te kwestie należałoby omawiać na osobnych sympozjach?

Dwa pierwsze twierdzenia wypowiedział, a raczej wyrzucił z siebie Lebediew, mały okrągły człowieczek z nosem jak guzik od kamizelki. Jego wygląd mógł budzić wesołość, dopóki nie zjrzało się grubasowi z bliska w oczy - miał spojrzenie twardości granitu, za którym przyczało się bezkompromisowe okrucieństwo, całkowity brak skrupułów w dążeniu do celu. Wyznacznikiem działania tego człowieka była wyłącznie efektywność, a więc mógł być zarówno tyranem, jak i srogim lecz dobrym władcą, pod warunkiem, że przyświecałby mu szlachetny cel. Pytaniem odpowiedział mu Zharistrat, szczupły i ascetyczny starzec o czekoladowej karnacji i nadspodziewanie gęstej, mlecznoburej czuprynie. Lebediew patrzył przez interlokutora, jakby ów był powietrzem, choć nie miał zamiaru nikogo obrażać. Po prostu już był myślami dwa ruchy dalej.

- Panowie! - odezwał się DeVille, anorektyczny mężczyzna w średnim wieku o sępiim nosie i wydatnych wargach. - Nie wolno nam zabłądzić na bagnach bezowocnych dyskusji teologicznych. Bezowocnych i bezsensownych! Mamy cholernie prawdziwy problem, pochodzący z tego, najzupełniej materialnego świata...

- Zaraz, kolego - przerwał mu Lebediew tak chłodno, że gdyby była wiosna, wiosenne pąki podpadałyby od gałęzi. TransLator dobrze odtworzył intonację i DeVille skulił się, jakby nagle owionęło go syberyjskie powietrze. - Ta sprawa została już przez nas porządnie opukana. Nu, bez Boga ani rusz!

- A ty jesteś wierzący, Loszka? - strzelił Sodano, mrużąc i tak małe oczka, więc wydawało się, że ma zrosnięte powieki. Jego wielka jak

bochen twarz pokraśniała, jak zwykle, gdy zabierał publicznie głos.

- Tak, jeśli trzeba - odwarknął grubas. - Ale w tym przypadku nie muszę. Mogę sobie wierzyć w JEGO wszechpotęgę, dobroć i nieomylność, tak jak w wierność mojej żony, ale w istnienie nie potrzebuję! My jesteśmy dowodem! Trzeba go tylko przywołać, ot co.

- Błóżniesz - jęknął Molistrani. Nosił czarny habit i srebrny krzyż, zawieszony na szyi na masywnym łańcuchu.

- Ach tak - Lebediew pustoszył kamiennym spojrzeniem jego biurko i jego osobę - zaczynają się słowne igraszki, ple ple, gazetowe sloganiki! Nie po to spotykamy się tutaj, szanowni pionierzy polityki rozumu, żeby dalej międlić propagandową papkę! Powiedz coś, Bliski!

Wywołany był otyłym mężczyzną o rzadkich włosach, nijakiej twarzy i nieforemnym nosie.

- Co racja, to racja - skonstatował. - Nasze spotkania mają być czysto robocze, bez propagandy. - Zakrztusił się i skłonił w stronę Molistraniego. - Przepraszam Eminencję, to było ogólnie. Chciałem powiedzieć, że tutaj wypracowujemy praktyczne stanowiska, a poglądy, w tym światopoglądy, nie mają większego znaczenia.

- Jak to? - zaoponowała Gonzales, kobieta pełnego ciała, zdecydowanie trzymająca kurs mimo ryczących czterdziestek. Manifestowała oburzenie. - Przecież działanie zawsze uzależnione jest od światopoglądu...!

- Niekoniecznie, droga koleżanko - odparował DeVille. - Można dojść do podobnych praktycznych wniosków podążając różnymi drogami rozumowania, można zrobić coś dobrego z różnych pobudek. Gdyby tak nie było, nasze spotkania nie miałyby najmniejszego sensu.

- Brawo! - huknął Lebediew. - Zawsze świetnie się dogadujemy z tym libertynem mimo jego libertynizmu. Przekonaj go, Bliski, przecież jesteś katolickim agnostykiem, a to unikatowa profesja, ustawiająca cię w połowie drogi od nas do stolicy tolerancji ultymatywnej.

- Coś dużo tych pochwał. - Bliski skrzywił się w półuśmiechu. - Nie traktuję niczego jako dowodu, ale ON po prostu powinien istnieć, bo inaczej świat nie trzyma się kupy. Szanowni zebrani, chyba nie liczyacie na to, że tutaj na *hokus-pokus* zdołamy nawrócić zawziętych ateistów?

- Nawet wtedy będzie ich zbyt wielu - zabrał głos Gustavsson, zwalisty, muskularny blondyn. - U nas kościoły przerabia się na

supermarkety z kapliczkami w stoiskach z zabawkami, dopiero wtedy ktoś do nich przychodzi.

- Właśnie! - krzyknął Lebediew, aż echo wróciło spod przeszklonego sufitu, ponad którym pełzły stada cummulusów. - Kiedyś zdarzały się cuda, bo Bóg przechadzał się pośród nas, był z nami, słuchał i pomagał. Albo szkodził, ale coś robił! Dziś jest nieobecny, usnął, urznął się, zawiesił, wyjechał, zachorował. Może nawet umarł, ale nie zakładajmy od razu najgorszego. Zawołajmy go!

Molistrani złożył ręce do modlitwy za bluźnierców i odszczepieńców i stwierdził wyniośle:

- Bóg objawi się wtedy, kiedy sam zechce. Muszę stwierdzić, że poziom tej dysputy jest żenujący.

- Jest w sam raz dla praktycznej polityki, Eminencjo - niezbyt uprzejmie wyjaśnił Lebediew. - Intelktualne teoretyzowanie jeszcze nikogo nie nakarmiło, więc niech nadal odbywa się po uniwersyteckich aulach. My jesteśmy praktykami, którzy w obliczu zagrożenia zmuszeni są do marszu na skróty. Proszę więc o pomnożenie swojego filozoficznego wyrafinowania przez współczynnik barbarzyństwa pragmatycznego, przynajmniej na czas obrad, jeśli łaska.

- Jest tyle zła i niesprawiedliwości, a on, jeśli istnieje, rzeczywiście nic nie robi - palnął ośmielony McConney, opalony i wysportowany pięćdziesięciolatek. Jako jedyny w tym towarzystwie występował w podkoszulku, na dodatek z nadrukowanym czerwonoookim sępem.

- Trywialny argument - oznajmiła Gonzales. - Cóż nam wiadomo o boskich drogach i sprawiedliwości wyższej niż nasza?

- Ech, urodziwa koleżanko, reinterpretujesz Hammurabiego i aplikujesz truizm za truizm - ripostował niezmordowany Lebediew. - Bóg z definicji ma być dobry i doskonały, czyż nie? Powinien więc robić tak, żeby było nam dobrze, jeśli nie jest sadystą, to znany teodycejski problem, ale pewnie nie wszyscy słyszeli. - Prześliznął się spojrzeniem po DeVille'u. - Adwersarze odpowiadają, że porusza się jakimiś innymi drogami. Zgoda, ale podobno jest także wszechpotężny, więc w zakresie jego możliwości leży znizenie się do naszego poziomu, zrozumienie, a potem zapewnienie nam jakiegoś lokalnego szczęścia na uboczu swoich niezrozumiałych dróg. Nie robi tego, więc albo nie jest z natury dobry, albo nie jest wszechpotężny. Wolę tę drugą ewentualność. Co tam wolę!

Musimy ją przyjąć jako hipotezę roboczą, bo złego Boga nie ma sensu prosić, nu, nie tak?

- To już nie droga, a cały gościniec, wybrukowany pseudoteologicznymi sloganami! - Sodano musiał to powiedzieć, z politowaniem kiwając głową, inaczej straciłby twarz. Potem już mógł włączyć się w dyskusję. - Zakładacie więc, że Bóg jest słaby, i do tego opuścił człowieka. To apokryficzne bluźnierstwo, a poza tym przy takim założeniu zaiste smutne perspektywy, bo co można zrobić?

- No, taki słaby to on nie jest - nie zgodził się Bliski. - Dla nas pozostaje mocarzem, który być może też ma swoje problemy i ograniczenia, z oczywistych powodów pozostające poza naszym pojmowaniem.

Lebiediew nalał sobie z półlitrówki, przepłukał gardło, parsknął.

- No, mamy wreszcie rozmowę o konkretach. Są dwie oddzielne sprawy: gdzie i jak. Obie proste jak droga do cerkwi.

Zapadła cisza. Bliski po raz kolejny doszedł do wniosku, że dla tego niedźwiedzia w skórze kłowna nie ma rzeczy, które zaklasyfikowałby jako niemożliwe. Zwłaszcza po przepłukaniu gardła.

- Bóg stworzył człowieka na wzór i podobieństwo swoje, tego musimy się trzymać - kontynuował grubas. - Ponieważ jest potężny, może sobie spacerować podniebnym szlakiem, ale skoro jest podobny do człowieka czy vice versa, najlepiej czuje się tu, na Ziemi. Ty, Bliski, jak idziesz na spacer, wkładasz płaszcz i kalosze, albo i czapkę, i łazisz po błocie, aż ci się znudzi. Wtedy wracasz do domu, nu? Bo tam ciepło i można przysnąć na piecu. Wniosek? On jest tu, w naszym wspólnym domu, na Ziemi, i śpi już dwa tysiące lat. Powinniśmy na trzy, cztery krzyknąć jak wystraszone dzieci: Ojcze, wracaj, bo grozi nam śmierć! Tyle że nasze pohukiwania są mało warte, odpadną jak groch od ściany. Właśnie to chcę wam powiedzieć: krzyk człowieka musi zabrzmieć o wiele donioślej.

- Co masz na myśli? - ostrożnie spytał Molistrani.

- Cóż, wiem, jak to zrobić - stwierdził Lebiediew zniżając głos, jakby przestraszył się własnych słów. Rozejrzał się po sali i McConney, który miał najbystrzejszy wzrok, mógłby się założyć, że w spojrzeniu grubego na mgnienie pojawiła się pokora. - Co ja robię od samego rana? - krzyknął prostując się, jakby próbował zrzucić ciężar z ramion. - Cytuję

Biblię, bo w tej księdze jest wszystko, czego potrzebujemy. Wierście, mnóstwo miejsca zajmuje w niej opis przywoływania Boga. To przecież takie oczywiste.

\*\*\*

Señora Gonzales wzięła kopię raportu i zaszła się w kawiarni, zajmując miejsce w szklanej mansardzie na szklanym dachu przeszklonej sali konferencyjnej. Pod sobą miała pustą w tej chwili aulę, po której pełzali automatyczni sprzątacze, wokół idylliczną panoramę górskiego miasteczka, a w górze ciężkie zwały chmur, po brzegach zażółcone niemrawym światłem zachodzącego słońca. Czasami pokazywał się skrawek granatowego nieba, które nie miało zawierać niczego więcej ponad kosmiczny pył. Właściwie była niewierząca, ale niebo zawsze kojarzyło jej się z Bogiem. No i, wstyd się przyznać, ale w podróży podczas startów i lądowań za każdym razem szeptała nieporadne słowa modlitwy.

Opuściła ostatnie posiedzenie Rady, więc musiała nadrobić zaległości. Że też tacy ludzie pociągają za sznurki, pomyślała. Rzecz jasna, nie miała na myśli akurat siebie, premiera półwyspiarskiego kraju.

Pochyliła się nad dokumentem. W kącie było ciemno, więc podświetliła folię i wywołała pierwszą stronę. Na środku rozpoznała pieczęć Rady z napisem „Tajne”. Nie musiała się obawiać, cała konferencja była utajniona, a gmach na czas obrad został odcięty od świata. Zaczęła lekturę.

---

## **Epidemia nieznannej choroby psychicznej**

*Skrót raportu DU/44/2050*

I. Wybór fragmentów relacji

II. Ekspertyzy i komentarze

III. Materiały uzupełniające

I-1. Obserwator *Anzelm*

[...] Młodzi, tak, najczęściej zostają porażeni ludzie młodzi, chociaż nie tylko. Wszak flirtowanie to przeważnie przypadłość młodości. Bo zjawisko, to niepokojące zjawisko epidemiczne - nie waham się użyć słowa „epidemia” - zasadza się na flircie właśnie, przy czym trzeba podkreślić, że jest to flirt wyłącznie duchowy, miłość platoniczna. Tak

naprawdę nie jest to ściśle określenie, bo sformułowanie "miłość platoniczna" ma wydźwięk pewnego rodzaju niespełnienia, zatrzymania się w pół kroku czy problemów z konsumpcją, natomiast tutaj mamy od początku do czynienia z dążeniem do zespolenia wyłącznie duchowego. Można przypisywać stronom pobudki altruistyczne czy religijne, lecz według mnie nic takiego nie ma miejsca, raczej mamy do czynienia z zafascynowaniem bliskością drugiej osoby odmiennej płci, z transcendentnym przeżywaniem wspólnoty. Taki flirt koncentruje się więc na oddawaniu czy przekazywaniu czystej miłości, zaś nie na planach ułożenia sobie życia czy posiadania dzieci. [...]

Zaczyna się zupełnie normalnie, powiedziałbym że trywialnie - zaproszeniem na lody, basen, disco, albo mają miejsce jakieś typowe słowne przekomarzenia. Za to dalszy ciąg jest inny, bo zamiast wzajemnego ślinienia i pospiesznej kopulacji następuje głębokie spoglądanie w oczy, trzymanie się za ręce, rozmowy o intymnych przeżyciach, ale dotyczących wyłącznie sfery ducha. No i trzeba gwoli ścisłości wyraźnie podkreślić, że strona inicjująca zawsze jest osobnikiem naprawdę urodziwym, zdecydowanie powyżej przeciętnej.

Kończy się fatalnie. „Potrzebuję twojej miłości”, „oddaj mi swoje uczucia na zawsze”, „połączmy się duszami” - takie slogany słyszałem i utrwaliłem w nagraniach podczas podsłuchu. Fizyczne zespolenie polega na nakładaniu dłoni, przytulaniu się bez eksponowania stref erogennych, wzajemnym dotykaniu częściami twarzy, przy czym takie karesy mogą ciągnąć się godzinami. Właśnie w ich trakcie dochodzi do zarażenia. Tak, zarażenie jest chyba najlepszą definicją, w ten sposób oceniam zjawisko. Pierwszym patogenem są inicjatywni „duchowi flirciarze”, a drugim czynniki chorobotwórcze przez nich przekazywane. Co to za czynniki, trudno określić, lecz choroba jest z całą pewnością psychiczna. Dowiedziono, że część chorób psychicznych jest zaraźliwa, ale tylko wobec osobników predysponowanych. Czy w tym przypadku istnieje zarazek, czy infekcja przenosi się przez rodzaj hipnotycznej sugestii, na tym etapie nie jestem w stanie nawet zasugerować.

Co dzieje się dalej? Ofiara zarazy dosłownie z minuty na minutę staje się kim innym, a inicjujący partner usuwa się i odchodzi, czyli ma miejsce szczególnego rodzaju rozstanie. Momentalna zmiana osobowości polega na tym, że osoba zarażona od tej chwili nie wiąże się z nikim, nie

przejawia praktycznie żadnych emocji, nawet negatywnych, robi się bierna i obojętna. Niektórzy kończą w zupełnym stuporze, inni jakoś dalej funkcjonują, gorzej lub lepiej. [...]

Moim zdaniem mamy do czynienia ze schorzeniem analogicznym do chorób wenerycznych, tyle że ma ono podstawę psychiczną. Psychiczna choroba weneryczna - brzmi adekwatnie. Kim wobec tego są inicjatorzy? Nosicielami, czyli zarażonymi, u których jednak nie rozwinął klasyczny zespół objawów, za to choroba wygenerowała u nich popęd typu Casanovy, więc po „zerwaniu” są natychmiast gotowi do następnych amorów. Im zaraza nie szkodzi, za to są jej siewcami.

Jak w przypadku każdej dotychczas poznanej choroby zakaźnej, zdarza się i tu wrodzona odporność, co manifestuje się tym, że nie wszyscy są podatni na wdzięki nosicieli. Niektórzy nie nabierają się na lep opowiadek o miłości, przyjaźni, wspólnocie dusz i psychicznym synergizmie pozytywnym, pewnie dlatego że należą do pragmatyków, twardo stojących na ziemi. Okazuje się jednak, że nadspodziewanie dużo mamy podatnych osobników, i że nieraz pod zewnętrzną opoką życiowego realizmu kryje się niezaspokojona potrzeba otwarcia na miłość, ale także dawania miłości. Ci ludzie stanowią populację zagrożoną, a grupę ryzyka szacuje się na około siedemdziesiąt procent ludzkich zasobów. Wesoła nowina dla duchownych i filozofów - DOBRO zwycięża, przynajmniej w przeliczeniu na liczbę głosów. [...]

Nasuwa się jeszcze pytanie, dlaczego nosicielstwo dodatnio koreluje z wybitną urodą? To już jest pytanie dla genetyków i statystyków, w końcu pewne atrybuty urody są obiektywne i dziedziczone jako część fenotypu, więc mają swoją przyczynę w genach.

## I-2. Obserwatorka *Miriam*

Jestem głęboko przekonana, że mamy do czynienia z inwazją Obcych. Być może tą wypowiedzią narażam się na śmieszność, ale trudno, ktoś pierwszy musi wskazać przyczynę, dla dobra ogółu. Dzieją się rzeczy niezwykle, którym trzeba natychmiast zaradzić, póki nie jest za późno. O ile znajdziemy antidotum. [...]

Oto wybrane dane, otrzymane od wywiadu policyjnego. Być może zjawisko występowało już wcześniej, lecz dopiero w maju ubiegłego roku zanotowano po raz pierwszy niepokojący efekt pewnego rodzaju znajomości typu damsko-męskiego. Młoda kobieta o miłej

powierzchnowości, Angelica Hardt, uwiodła pana w średnim wieku, Beniamina Jarominsky. Znajomość trwała zaledwie dwa tygodnie i raczej nie doszło do konsumpcji związku. Rozstania nic nie zapowiadało, nastąpiło nagle. Po nim Benjamin, człowiek dotychczas nieśmiały, życzliwy i dobroduszny, zmienił się nie do poznania: stał się gburowaty, zamknięty w sobie, nie przejmował się nikim i niczym. Co ciekawe, również sobą i swoimi sprawami. Jak napisał ekspert psycholog, z pyknika zmienił się w psychopatę pozbawionego instynktu samozachowawczego. Czy takie zmiany psychiczne mogły zająć na skutek zerwania związku z panią Hardt? Niczego nie można było wykluczyć, choć psychologowie nie uważali takiego wyjaśnienia za prawdopodobne ze względu na głębokość zmian. [...]

Kolejne przypadki *psychicznej dżumy*, bo tak nazwano tę szybko rozszerzającą się przypadłość, miały analogiczny przebieg. Osoba o miłej powierzchowności wyruszała „na łowy”, następowała trwająca od kilku dni do miesiąca znajomość, często bardzo intensywny flirt, chociaż zazwyczaj pozbawiony zbliżeń erotycznych, po czym ofiara po szybkim zerwaniu popadała w wyżej opisany stan psychicznej niewydolności. Należy dodać, że myśliwy zwykle polował kilka razy, ale nie więcej niż sześć do dziesięciu, po czym żył zwyczajnie, nie wykazując żadnych zmian psychicznych, a nawet zawierał nowe znajomości, które miały już normalny przebieg, bez fatalnych następstw. Warto też nadmienić, że nie zawsze „zwierzyna” stawała się ofiarą. Rzecz jasna nie każda nagabywana osoba miała chęć na przygodę, ale co interesujące i istotne, zdarzały się także przypadki romansu, który nie kończył się degradacją psychiczną dla potencjalnej ofiary. Zgodnie z prowadzonymi dochodzeniami, w takich wypadkach znajomość utknęła na etapie przekonywania i awansów ze strony myśliwego, a więc można wnioskować, że niedoszła ofiara okazała się odporna na uroki podrywacza. [...]

Dlaczego uważam, że doszło do inwazji Obcych? Schemat dramatu jest zawsze taki sam: w losowo wybranego „myśliwego” o ujmującej powierzchowności, który dotychczas żył normalnie i nikomu nie zagrażał, nagle wstępuje „czynnik x”, po czym taka osoba rozpoczyna łowy. Po psychicznym podporządkowaniu partnera, lub inaczej - jego zaanektowaniu, ma miejsce osobliwy transfer emocji od ofiary do



myśliwego, coś w rodzaju „wyssania mózgu”. Jednak wydaje się, że następuje przemieszczenie nie tylko emocji i przynależnego im zasobu pamięci, lecz również ich podglebia, potencjału umożliwiającego ich przeżywanie, a więc zachodzi trwałe usunięcie receptorów emocjonalnych, cokolwiek by to mogło znaczyć. Testy wykazały, że głównie wymazywane są doznania pozytywne i odruchy samozachowawcze, więc po takim ataku ofiarę można określić mianem psychicznego wraka, pozbawionego chęci do życia i życiowego kompasu. Co dzieje się z uzyskanym „ekstraktem”, nie stwierdzono, lecz podejrzewa się, że po zakończeniu serii łowów jest przekazywany dalej, a myśliwy służy jedynie za coś w rodzaju biologicznej stacji przekaźnikowej. Z ekspertyz można wnioskować, że myśliwi są nieświadomi swojej roli. [...]

Zjawisko narasta w postępie geometrycznym i wydaje się, że każdy nowy przypadek zawładnięcia ofiarą zwiększa możliwości wchodzących do akcji myśliwych, zupełnie jakby psychiczne soki wypijane przez jednych służyły także innym za źródło emocjonalnej energii. Oszacowano, że za rok aż trzy czwarte populacji ludzkiej na całej Ziemi zostanie zarażone lub podporządkowane. [...]

Zdaję sobie sprawę faktu, że moja interpretacja lokuje się na samym ostrzu Ockhama, ale żadnych patogenów dotychczas nie znaleziono, a zjawisko jest na tyle nietypowe, że typowe tłumaczenia nie znajdują zastosowania.

### I-3. Obserwator *Benedyktyn*

I oto nadszedł dzień szatana. Diabeł, dotychczas atakujący z ukrycia, wypełził na światło i uderzył otwarcie. Jest oczywiste, że dożyliśmy dnia próby, i właśnie teraz okaże się, kto zapanuje nad duszami - DOBRO czy ZŁO. Szatan posłużył się przebraniem, bo na swoją szkaradną postać nałożył maskę, ubarwił się i dodał sobie regularności rysów. Chroniony mimikrą ruszył do natarcia, powtarzając w kółko słowo „miłość”, którego znaczenia wszak nigdy naprawdę nie rozumiał. Jednak potrafił mówić przymilnie i patrzeć jak ktoś samotny, i wzbudzać litość. Ludzie dobrego serca, prawdziwie wierzący, ale też tacy, którzy byli w przededniu nawrócenia się na wiarę w Pana, nie potrafili odmówić potrzebującemu, i oferowali to, co najcenniejszego dać mogli - swoją miłość. I stało się, że szatan roześmiał się radośnie, bo oto spijał z nich

miłość, zabierał im plon życia, i tak czynił przy swoich diabelskich żniwach, żeby nie tylko urwać kłosa, ale zabrać wszystko na zawsze, wyrывая z gleby korzenie. W taki sposób wierni i dobrzy ludzie pozbawieni zostali esencji swoich dusz, swoich skarbów największych, swojego drogowskazu do Pana. Błakają się teraz bezradni, zawieszeni między niebem a piekłem, niczyi. Zaiste niewielką pociechą jest, że pozbawieni wyboru świadomie zgrzeszyć nie są w stanie, więc do szatańskich zastępów nie trafią, ale i do Pana też dojść nie mogą. [...]

Szatan postępuje perfidnie, żeby oddzielić od Pana jego najlepsze owieczki. Naprawdę smutkiem napawa, że dobrze mają się bezbożnicy, cynicy, niemiłosierni, egoiści, bo ich szatan nie chwyta, oni i tak kiedyś będą jego. Jeśli atak mocy piekielnych nie osłabnie, już niebawem wyludni się Królestwo Niebieskie, a człowiecze plemię pozbawione zostanie tego, co jedyne ma sens - miłości.

---

Señora Gonzales zamknęła dokument i zwinęła folię, darowując sobie lekturę ekspertyz. Jak zwykle, starała się bazować wyłącznie na materiałach źródłowych i własnych opiniach.

\*\*\*

Barabas zaklął, bo śmigstylni pojawili się przed celą jednocześnie z dzwoniem na obiad. Jednak klął cicho, bo ubrani byli w błękitne misiurki, znaczy że ważni. Klawisz otworzył im kratę, drugi pilnował z wycelowaną fujarką, zupełnie jakby mieli prawdziwych ludzi za jakichś wariatów-kamikadze. Cuchnęło pokazową i Barabas poczuł łaskotanie strachu, bo miał wrażenie, że chodzi o niego. I rzeczywiście, chodziło o niego.

- Baraba, rusz się - mruknął klawisz Kasper zmęczonym głosem. Nie dlatego, żeby naprawdę był zmęczony, ale taki miał styl, *fingerprint*, *piercing*, swój kolczyk w nosie.

Więzień wyszedł spokojnie, nie wykonując gwałtownych ruchów, i bez ponaglenia skierował się prosto do szoferki. Tak nazywano oszkloną kabinę z mikrofonami, głośnikami, tam zwykle się rozmawiało, prawdziwi ludzie z takimi jak ci co przyszli.

- Nie - stęknął Kasper. - Na Olimp.

Dopiero wtedy Barabas uświadomił sobie, że jest jeszcze gorzej niż

źle. Skąd się dowiedzieli, psie juchy? Stopy dźwigał z wysiłkiem, były jak kawały przechłodzonego lodu.

Wjechali windą na dach, gdzie w kopule z kryształu rezydował Dyro. Barabas siedział w tym kojcu już siódmy rok i jeszcze nigdy nie był w windzie, nie mówiąc o kryształowej czapce.

- Barabas Alejandro Raimundo Esteban y Nicolás César Ernesto de Jesús. - Kasper trochę ożywił się podczas recytacji. - Notoryczny złodziej, pierwszy wyrok w wieku piętnastu lat, drugi - dziewiętnastu, trzeci - dwudziestu sześciu. W sumie skazany na osiemnaście lat odsiadki, z ostatniego wyroku od dziś zostały jeszcze cztery lata i osiemnaście dni. W wymiarze kar uwzględniono progresję recydywistyczną.

Dyrektor milczał, jak zwykle. Siwe oczy pod nastroszonymi brwiami, błyszcząca łysina, popstrzona przebarwieniami jak stołowa cerata sra ką karaluchów. Figurant, mumia, kukła, na którą klawiszom tak wygodnie się powoływać.

- Rozboje? - zainteresował się jeden ze śmigstylnych i Barabas już wiedział, że on wie. I że właśnie ubijają interes tych w pionowych potokach światła, wyciętych ze słonecznego dnia i pochwyconych między kryształowe płaszczyzny kopuły. Jak się dowiedzieli? Maryna? Nie, niemożliwe, ona nie miała wątpliwości, że zdarzył się wypadek przy pracy.

- Nie - dalej informował klawisz i w tym momencie Barabas miał ochotę go uściskać. - Tylko kradzieże, ale bez specjalizacji. Sztukmistrz, lokalik, daczupiór, automaniak, pieszczoch... Wszystko, jak leci.

- Slangujesz, jak klient - burknął drugi śmigstylny. Sam zaslangował, na co pierwszy wybuchnął szczekliwym śmiechem. Ten pierwszy był tu główny, Barabas nie miał wątpliwości, trzymał poziom wysoko nad Dyrem.

- Mów mi Herbst - wazniak odwrócił się wprost do niego. Zmrużył oczy, pogardliwie wywinął wargi. - Jesteś durny palant, Barabas. Nie, chłopcze, doceniam twoją inteligencję, tym niemniej jesteś durny. Masz trzydzieści trzy lata, powinieneś już być dyrektorem departamentu albo prezesem banku.

Barabas odruchowo zacisnął pięści, ale wzrok tamtego jak uderzenie bicia natychmiast przywołał go do rzeczywistości. W tej samej chwili dotarło do niego z przedziwną jasnością, że może mu wszystko

powiedzieć, pod warunkiem, że nie będzie kręcił.

- To nie tak - wyrzucił z siebie. - Pan chce zdobywać, musi. Ja nie.

- Ale po cholere ciągle pchasz palce między drzwi?

- Każdy ma przypisane mu ścieżki. Pan... na pewno chodzi na dziwki.

W powietrzu zawisła gęsta cisza, jej ciężar dusił. Klawisz Kasper pogłaskał się pałką po goleni, ale Herbst tylko strzepnął dłonią, poirytowany. Wykrzywił twarz w półuśmiechu.

- Nawet jeśli chodzę, nikt o tym nie wie. A ty zawsze dajesz się złapać, durnoto!

Barabas pobladł, lecz opanował się, tym razem bez wysiłku. Wytłumaczył sobie standardowo, że do chamów, którzy potrafią rozsmarować cię po podłodze, trzeba się przyzwyczaić, jeśli nie da się ich polubić.

- Nie jestem na bieżąco z waszą techniką, dlatego. A tamto - dodał, starając się zapanować nad głosem - ten wypadek...

- Dosyć! - warknął Herbst. Był wściekły i nie próbował się z tym kryć.

Więźniowi płomień przepłynął przez twarz i ciężar uwarunkowania zelżał, a potem zniknął. Odetchnął.

- No - sapnął śmigstylny, poprawiając kuloodporną misiurkę. - Przyniosłem coś dla ciebie, Baraba. - Wyciągnął zza pazuchy różową bibułkę zwolnienia z zakładu i uniósł ją dwoma palcami jak zdechłego szczura. - Jest twoja.

Więzień skoczył na równe nogi, ale tamten cofnął dłoń, drażnił się z nim.

- Jest twoja, ale nie za darmo. Chcę cię zaangażować.

Wszyscy obecni zastygli w pół ruchu i wstrzymali oddechy. Cholera, ten Herbst sam negocjuje, reszta to dupki, asysta, publiczka, nawet nie mają pojęcia, o co chodzi, pomyślał Barabas. Opuścił ramiona w geście podporządkowania.

- Robimy spektakl, a ciebie wytypowano do głównej roli. Będiesz gwiazdą, obejrzy cię co drugi człowiek na Ziemi, licząc wszystkich, nawet buszmenów i speleologów nigdy nie wyłażących z grot! Pojmujesz?

Barabas milczał, koncentrując się. Usiłował nadażyć i jednocześnie odsiać bluff od prawdy. Jego wyjąłowiony odsiadką umysł błagał o litość, pracując na najwyższych obrotach.

- Gdy cytuje się filozofów - dalej katował go Herbst - nie wolno

interpretować twierdzeń wprost, chyba o tym wiesz, podobnie jak tu obecni funkcjonariusze. - Nie spuszczać go z oka zatoczył dłonią koło, co wypadło teatralnie, i zapewne właśnie tak miało wyglądać. - A więc: jesteś drobnym złodziejaszkiem-recydywistą, tak jak w zasadzie... każdy. Bo każdy usiłuje coś skraść dla siebie, jedni uczucia, zabierając je konkurentom, inni zaszczyty, które przysługują lepszym choć pokorniejszym, a wszyscy wszystkim - pieniądze, które są fetyszem od dnia ich wynalezienia. Pieniądze skradzione bez naruszenia kodeksu nazywa się pieniędzmi zarobionymi. Czyli, Barabasiu, nie będąc mordercą ani gwałcicielem należysz do nas, zwykłych ludzi, choć niestety wykazujesz mniej sprytu od średniego obywatela. Przy tym jesteś, jak my wszyscy, synem Bożym, wszak bez wyjątków mamy prawo nazywać się Jego dziećmi. Wracając do naszego spektaklu, to jesteśmy w wygodnej sytuacji, bo nie musimy wybierać między Barabaszem a Jezusem, wszak nosisz oba te imiona. Osądzimy cię sprawiedliwie i uwolnimy albo skazemy, a w zależności od werdyktu zagrasz Barabasha albo Chryśsa. W obu przypadkach po happeningu będziesz wolny, wolność stanowi twoje honorarium za występ.

Więźnia chwycił zawrót głowy. Czy ten skecz dzieje się naprawdę?

- Bę-dziecie mnie przy-przybijać? - jąkał się. - Do krzyża?

Śmigstylny rozłożył ręce.

- Cóż, do tej roli nie angażujemy kaskadera, ale weź pod uwagę, że zapewne zostaniesz uniewinniony, a jeśli nawet nie, po twojej stronie będzie nowoczesna technika choreograficzna. Jednak według umowy wszystko musisz zagrać sam, od początku do końca.

- Do jakiego... końca?

- Jak to, jakiego? Do zmartwychwstania. Bóg-Ojciec przyjdzie, aby cię uwolnić. Odstępstw od scenariusza nie przewidujemy.

\*\*\*

- Moi drodzy, jak to dobrze, że tam jesteście, po tamtej stronie wizji... nie, chciałem powiedzieć, że tak naprawdę wszyscy jesteśmy razem, po tej samej stronie interaktywnego superwydarzenia! - krzyczał Kwaido-Jon, najlepszy telewizyjny konferansjer na świecie. - Pod żadnym pozorem nie wyłączajcie teraz odbiorników, to byłby wasz straszliwy, niewybaczalny błąd! Macie jedyną szansę uczestniczyć w największym

happeningu nowożytnej ery, więc nie bądź frajerem, ty, Andrew, i nie zgrywaj niesprawnej, Betty, tak, właśnie do was mówię, kochani, nie wychodźcie! Już za chwilę zostanie wam dana możliwość współdecydowania pośrednio o losach świata, a bezpośrednio o losach Chrysa. Tak, to prawda, przybył ktoś, kto próbuje obwołać się Synem Bożym, i nikt inny tylko my mamy zdecydować, jakiej poddać go próbie. Globalny super-plebiscyt, jak zwykle, wyjawi ludziom prawdę!

Kwaido-Jon miał na sobie lekki metalowy półpancerz, lśniący płynnym srebrem, z jego hełmu zwieszały się pawie pióra, a do pasa przytroczył krótki szeroki miecz. Twarz o wydatnych kościach policzkowych i kwadratowej brodzie zdobił wąs.

Estrada pełna była zionących białym dymem stożków wulkanicznych, między którymi płały wiotkie jak łądygi kwiatów, bladolice dziewczęta, spowite w śnieżne muśliny. Z tym pierwszoplanowym krajobrazem, utrzymanym w odcieniach bieli i szarości, kontrastowały dalsze dekoracje, tnące po oczach ostrymi barwami: tuż nad widnokretem unosiło się miasto naszpikowane kościelnymi wieżami, ściśnięte żółtym murem jak gorsetem, bokiem przepływała zielona arka z menażerią statycznie uśmiechniętych zwierząt, a na niebie krzaczastą czerwienią wybuchały fraktale płonących krzewów.

Wtem opadła kurtyna telebimu, a na niej rozwinął się kadr z przestrzeni kosmicznej. Czerń i świetliki gwiazd, a na ich tle płynie kropla bieli, zbliża się, rozrasta w owadzie monstrum. Unieruchomiony w sztywnym skafandrze, z rozłożonymi kończynami, wykonując jednostajny powolny obrót w płaszczyźnie ciała, rzucając nerwowe spojrzenia przez dymną szybę hełmu, nadlatuje człowiek. A może to nie on nadlatuje, tylko do niego zbliżają się kamery, ścigają go orbitalni paparazzi, nachalnymi sztychami jupiterów smagają po oczach, wydzierają każdy sekret.

- Oto i on! - grzmi Kwaido-Jon, wpływając z boku w kosmiczny obraz i zasłaniając gwiazdy swoim opancerzonym torsem. Zbroja lśni jak lustro, doskonale komponując się z astralną scenerią. - Został wyniesiony, tak, ale na razie przez ludzi, i tylko na orbitę wokółziemską. Tam właśnie rozegra się wyjazdowa część dzisiejszej inscenizacji, moi kochani, w której weźmiecie czynny udział. Bo jeśli okaże się, że naprawdę - uwaga,

wszystko jest dziś możliwe! - więc że przyszedł do nas Chrystus pod postacią Chrys2sa, najszersze spojrzenie na Ziemię i ludzkość będzie miał właśnie dzięki tej podniebnej perspektywie! A teraz posłuchajcie, zdradzę wam sekret dzisiejszej gry. Ach, jeszcze nie w tej chwili, przedtem rzućmy okiem w stronę Wszechświata, tam, w głąb kosmicznych czeluści. Oto rekwizyt, który nie musi być nam potrzebny, ale przecież należy mieć go pod ręką.

Ujęcie zmieniło się, kamera poszybowała ponad ramieniem uwięzionego w skafandrze astronauty i wyłuskała z mroku następny rosnący przecinek blasku. Coś wydłużonego, regularny kształt, jakiś przedmiot zbliżał się majestatycznie, nie wirując, unosząc się wciąż na tle tego samego gwiazdozbioru Bliźniąt, rosnąc. Rósł bardzo powoli, jakby choreograf precyzyjnie dostrajał powiększenie, i od pewnego momentu już dało się rozpoznać krzyż, ornamentowany i lśniący żywym srebrem. Krzyż tak wielki, że bez trudu zmieściłby się na nim ów lewitujący człowiek wraz ze swoim rozdętym próżniowym skafandrem.

- Uwaga, panie i panowie, moi wspaniali widzowie, i sędziowie zarazem! Na marginesie tych niesłychanych wydarzeń chciałbym nadmienić, że nasze audytorium w tej chwili przekroczyło dwa miliardy i rośnie w tempie miliona włączeń na sekundę! Ale przejdźmy teraz do reguł, ustanowionych specjalnie na dzisiejszą inscenizację. Te reguły możecie oczywiście zmienić, jeśli uznacie, że tego wymagają. Dziś, kochani, wy jesteście Najwyższą Władzą, Wielki Plebiscyt z waszym udziałem kształtuje oblicze świata! A więc - zniżył głos i nadał mu teatralną, sztuczną intonację - ten człowiek, samozwańczy Zbawiciel 2, ma być osądzony. Jeśli uznacie, że jest małego formatu oszustem, nieodpowiedzialnym albo nawet niepoczytalnym drobnym złodziejaszkiem Barabaszem, nieledwie śmieciem, puście go wolno. Żeby odtrąbić odejście takiego gościa, nie trzeba fanfar, wystarczy zagwizdać, a zaraz potem zatelefonować pod numer 4412. Natomiast gdy stwierdzicie, że ów człowiek stanowi transcendentną zagadkę i należy poddać go ostatecznej próbie, to niechaj będzie to... próba krzyża, tak, dobrze słyszycie!, próba krzyża. Po takiej próbie oczekujemy na ostrzeżenie, na znak, na cud. Tak, wtedy niechybnie stanie się cud, coś, co nie zdarzyło się od tysiąca lat, i nie mamy się czego obawiać, bo prawdziwy Chrys2s okaże miłosierdzie, ukazując nam swoje oblicze. Zaś

jeśli ten człowiek jest wielkim oszustem i szalbiercą, świętokradcą i heretykiem, poniesie zasłużoną karę, bo wtedy, po prostu, żaden cud się nie wydarzy. Czeką nas szczególna próba miecza: gdy oręż, który dzierżycie, trafi na spiż, odezwą się dzwony, gdy trafi w padalca, odetnie mu głowę.

- Teraz pora wrócić z rejonu metafor do spraw bardziej przyziemnych - kontynuował. - Procedura plebiscytu jest następująca: jeśli postanowicie dokonać transcendentnej próby, sprawdzić moc cudów i, być może, poruszyć Niebo i Ziemię, wybierzcie numer 4414. Regulamin jest taki, że przy różnicy w liczbie oddanych głosów równej stu milionom na korzyść 4412 następuje uniewinnienie, a gdy wystąpi taka przewaga dla numeru 4414, zostanie wbity - uwaga! - pierwszy gwóźdź! Pierwszy gwóźdź w akcie ukrzyżowania. Każdy następny, aż do czwartego, wymaga kolejnych stu milionów głosów przewagi. A więc, do dzieła! Obywatele wolnego świata, czy zdajecie sobie sprawę z doniosłości chwili? Jeśli jeszcze ktoś nie wie, mówię mu wprost: właśnie przystępujecie do odnowienia oblicza ludzkości!

Kwaido-Jon wyrzucił ramiona w górę, jakby miał zamiar chwycić Drogę Mleczną za oba jej końce i ściągnąć na Ziemię. Basem zahuczały organy, i dopiero w tej chwili większość widzów zorientowała się, że spektakl ma podłoże muzyczne.

- Teraz pora na dodatkowe informacje - zawołał Kwaido. - Szanowni sędziowie, o Barabasie wiecie już sporo z naszych codziennych audycji, ale za chwilę wyświetlę wam jeszcze inne sceny z życia tego człowieka, ujrzyście z bliska jego twarz, oczy, gesty. Na krótką, ale jakże wzniosłą chwilę wejdziecie z nim w ponadczasowy, empatyczny kontakt, nastąpi zjednoczenie duchowe. Proszę, wyciszcie się, skoncentrujcie, odstawcie na moment chipsy, colę i słomki. Nasza wspólna mantra to *ad-ven-pro*, *ad-ven-pro*... Wszyscy powtarzamy: *ad-ven-pro*... Niechaj w tej krótkiej lecz ważnej chwili wasze wewnętrzne doznania i intuicja staną się kluczem do podjęcia decyzji, do dokonania wyboru. Uwaga, zaczynamy!

Telebim wypełniły sekwencje klipowych zbliżeń twarzy Barabasa ze skrzypcowym podłożem muzycznym, w tle *unisono* powtarzano mantrę. Ta stosunkowo statyczna wstawka nie mogła być zbyt długa, więc po kilku minutach powrócił obraz kosmosu z Kwaido-Jonem na poczesnym miejscu.



- Uwaga, wstrzymajcie się jeszcze przez chwilę! - krzyknął konferansjer z udanym, a może i prawdziwym strachem, machając rękami. - Zanim przystąpicie do ferowania wyroku, trzeba podkreślić, że postępujemy etycznie, zgodnie z duchem naszej humanistycznej epoki. Dawno minęły czasy, w których tolerowano publiczne egzekucje. Nie, szanowni obywatele, Najwyższa Plebiscytowa Władzo, nie będzie wykonywania wyroku „na żywo”, żebyście, jak kiedyś w Colosseum, mogli sobie obejrzeć ukrzyżowanie i krew. To, co zobaczycie, będzie obrazem głęboko symbolicznym i należy go traktować wyłącznie w transcendentnych kategoriach. Jeśli ktoś nie potrafi przestawić się i ma zamiar urządzić sobie widowisko, angażując najniższe instynkty, powinien uszanować cywilizacyjne kodeksy i natychmiast wyłączyć odbiornik. Mam jednak nadzieję, że takich osób będzie niewiele, jeśli w ogóle się znajdują. A teraz znów obserwujcie okno Wszechświata!

Kamera po raz kolejny wykadrowała wycinek kosmicznego krajobrazu i w przestrzeni pokazał się trzeci obiekt: prom orbitalny, który niczym mrówki obsiadły różnego przeznaczenia roboty naprawcze.

- Szanowni Plebiscytanci, oto oglądacie swoje zbrojne ramię, swoje przedłużenie w rejony Mocy - kontynuował niespożyty Kwaido-Jon, pełen takiej samej werwy i energii jak na początku transmisji. - Żeby wbić gwóźdź, kiedyś człowiek używał młota, dziś wyręcza się robotem. Na statku naprawczym, który widzicie, zgromadziła się brać robotnicza, od spawaczy do dekoratorów, mechaniczny lud, który zrobi za was to wszystko, co postanowicie. A więc uwaga, zaczynamy!

Wodzirej przedstawienia chwycił chorągiew w czarno-białą kratkę, uniósł ją i gwałtownie opuścił, sygnalizując start.

\*\*\*

Barabas pocił się, mimo że skafander włączył chłodny nawiew. Serce waliło jak głupie, a strach przyduszało nelsonem. Kretyńska sprawa, chyba jeszcze nigdy tak się nie bał, nawet wtedy, kiedy w Szanghaju napadło go dziesięciu *ninja*, ani w hamburskim burdelu, kiedy mała ruda kurewka przy ostatnich pchnięciach omdlewającym głosem wyznała, że ma hifa. Z obydwu opresji zdołał się uratować, ani chybi opatrność nad nim czuwała, bo na cholernych wojowników z jasnego nieba runął

policyjny helikopter i eksplodował, i z tego wybuchu, w którym szlag trafił wszystkich *ninja* - z nieba nie spodziewali się ataku - on wyniósł tylko osmalone rzęsy. Jak zwiewał z burdelu, burdelmama przeorała mu pazurami gębę, chcąc zapłaty, i od niej zaraził się gorączką krwotoczną. Wirus Ebola pośrednio zrobił coś z hifem, zanim ten na dobre wlaźł w komórki, i przy tym tak się widocznie osłabił, że z samej gorączki Barabas wylizał się migiem, w trzy dni. Kurewka płakała, przepraszała i tłumaczyła, że chciała jeszcze przed śmiercią mieć jednego przystojniaka, a nie samych śmierdzących grubasów. Cóż, użyła sobie i niedługo potem umarła, a on... wciąż żyje. Czy po to tylko, żeby teraz stawić czoła czemuś znacznie straszniejszemu?

W słuchawkach rozbrzmiewał jazgot tego telewizyjnego kretyna Kwaido-Jona, lecz w nieskończonym kosmosie był sam, zupełnie sam, jeśli nie liczyć zgrai mechanicznych potworów, które zamiast dłoni miały klucze francuskie, palniki, szczypce i dysze do farb. Kwaido-Jon wrzeszczał:

*- Moi drodzy widzowie, a raczej Szlachetni Sędziowie! Oto po początkowej dużej przewadze optujących za Barabaszem proporcje się odwróciły i mamy już sporą nadwyżkę zwolenników próby krzyża! Zaraz... to jest już ponad dwadzieścia milionów głosów przewagi! Ach, te liczby! Są niewiarygodne, w tej chwili ogląda nas sześć i pół miliarda ludzi. Gdybyście wszyscy stanęli w szeregu, ów szereg opasałby Ziemię sto razy! Uwaga, skokowy wzrost, tak jest, już trzydzieści milionów więcej wybrało 4414 i słupek wciąż pnie się w górę. Nee, jakby zawahał się, wstrzymał tempo, lekko opadł. Weźcie pod uwagę, że spod obszaru nocy wychodzi właśnie Irlandia i Hiszpania, ale także Anglia i Francja, nie mówiąc już o Holandii i Belgii. Uwaga! Czerwony słupek przewagi dla 4414 znów ruszył w górę, eech, skoczył od razu na pięćdziesiąt, teraz wskazuje sześćdziesiąt milionów! Niesłychane. A może właśnie teraz wyrażamy zbiorową mądrość, niedowierzając samozwańcowi i, kto wie, pewnie i bluźniercy? Nie, nic takiego nie powiedziałem, nie mogłem, wszak jestem tylko bezstronnym konferansjerem, którego rolą jest przekazywanie czystej informacji.*

Barabas klął na głos, krzyczał, protestował, ale efekt był taki, jakby prosił klawisza o drugi obiad. Usłyszał stukot gdzieś przy skafandrze i gwiazdy zatrzymały się, a potem przesunęły w przeciwnym kierunku i

znieruchomiły. Na skraju wizjera pojawił się obelisk krzyża, do którego doholował go jeden z robotów, używając miniaturowych silników na sprężone powietrze. Inna mechaniczna maskara, podobna do dwumetrowego kraba, chwyciła w szczypce rękaw skafandra i przymocowała go elastyczną taśmą klejącą do ramienia krzyża. Nie widział, co dzieje się z drugiej strony, ale poczuł, że jego drugie ramię zostało unieruchomione w podobny sposób. Nogawice także przyciśnięto i przytroczono do dłuższej części słupa.

Gdy zaczął się szarpać, inteligentny skafander nadmuchał prawy rękaw, blokując ruchy ręki, po czym zaaplikował ciśnieniową iniekcję. Odpowiedź organizmu była natychmiastowa: najpierw fala gorąca, trzepotanie serca, ale to krótko; potem raptowna senność. Może i usnął na chwilę, lecz zaraz ocknął się, już spokojny, rejestrował wszystko, nawet nie był otępiały, lecz rzeczywistość wokół oddaliła się, obserwował ją z dystansu, jak teatralne przedstawienie. Owszem, ciekawe obrazki, ale co mu do tego? Co raz jakiś sztukmistrz próbuje urządzać przedstawienia uczestniczące, ale widz leniwy, woli sobie pooglądać, lepiej niech inni się narobią.

*- Uwaga, szanowni Opiniodawcy, to wy, nikt inny tylko wy, społeczność światowa, właśnie podjęliście niesłychanie ważną decyzję, która z pewnością okaże się kulturowym krokiem milowym na drodze ludzkości. Oto numer 4414 akurat w tej chwili przekroczył magiczne sto milionów przewagi nad 4412!*

Coś działo się z robotami. Uformowały szyk, lecz zwrócony na zewnątrz, w stronę trzech monstrów o wyglądzie najbardziej zbliżonym do ludzi. Jeden z nich był mały i gruby, o niemal kulistym tułowi, drugi miał cztery patykowate odnóża, zakończone chwytakami, a trzeci przypominał intelektualistę-okularnika, bo prowadził obserwację przez ruchome soczewki. Żelazny szereg cofał się, ale wciąż pozostawał zwarty, podczas gdy trzy automaty zamknięte wewnątrz krótkimi skokami parły do przodu.

Otępiały Barabas był zdolny do ograniczonego przeżywania emocji, lecz zaświtała mu nadzieja. Czyżby bunt, albo chociaż niejednomysłność pośród maszyn? Sztuczne inteligencje, broniące człowieka przed nim samym?

Nie widział zbyt dobrze trzech robotów wewnątrz koła, ale

wydawało mu się, że wykonują gwałtowne ruchy stalowymi członkami, zupełnie jakby groziły, albo prowadziły rozgrzewkę smarów w łożyskach. A może tylko symulowały zadane sekwencje ruchów, sprawdzając stopień przygotowania do wykonania zadania? Najprostsze wyjaśnienia nie muszą być prawdziwe, pocieszał się. Wciąż był więźniem, bo jeszcze nie wykonał pracy i nie zainkasował wynagrodzenia. Weź się wreszcie do pracy, Barabas! Słyszał, że aktor powinien wczuć się w rolę, spróbować na czas spektaklu stać się osobą, którą gra. Stać się Chrysem? Bzdury, rzuciło ci się na mózg, człowieku.

Chwilami czuł, że odpływa. Błękitna Ziemia u stóp falowała i zmieniała kształt, stawała się owalna lub płaska jak talerz. Może zastrzyk był narkotykową szprycą?

Nagle pierścień robotów, eskortujących maszyny w środku, rozerwał się i rozsunał na boki, odsłaniając żelazną trójcę. Kulisty automat zamachnął się i czymś rzucił, więc Barabas spróbował zasłonić głowę. Oczywiście nie udało się, bo ramiona miał przywiązane. Potem gwałtownie zgiął się wysięgnik „inteligenta” w soczewkowych okularach, ale i ten rzut, jak poprzedni, okazał się symulowany. Wtedy ulokowany pomiędzy tamtymi dwoma mechaniczny patyczak rozłożył ramiona i rozpostarł palce, które pewnie mogły pełnić rolę anten radiolokacyjnych, po czym odsunął szyber, udający usta. W ciemnej wnęce zamigotał laser celowniczy, a po ułamku sekundy robot wypluł ostre wrzeciono. Dwudziestocentymetrowy gwóźdź błysnął błękitem w blasku Ziemi, przebił rękawicę próżniowego skafandra jakby to była bibuła i przyspilił dłoń człowieka do krzyża.

Barabas nie poczuł bólu, tylko uderzenie, jakby ktoś zdzielił go w rękę kijem. Krzyczał, ale z gardła wydobywał się tylko głuchy charkot, a po wargach ciekła ślina. Wzdłuż przedramienia biegały pajęczki, a głębiej coś pulsowało, mięśnie same przemienne napinały się i rozluźniały.

Znów usiłował krzyczeć i tym razem się udało. Jego skarga w postaci wiązek fal radiowych pobiegła ku odległej atmosferze, krzyk trwogi przeniknął do powierzchni Ziemi, rozlał się szeroko po lądach i morzach, zwielokrotnionym echem redundował w pasmach transmisji telewizyjnych, radiowych, telefonicznych i internetowych, zagrzmiął w głośnikach podczas koncertów, na dworcach i lotniskach, zagłuszył muzykę w centrach handlowych i głębokim pogłosem nałożył się na

fonię w salach kinowych. Cywilizacja technologiczna była w stanie rozprować ten impuls po systemie nerwowym swoich łączy, przewodów, kabli, linii wysokiego napięcia, światłowodów, a głównie przez modulacje niezliczonych transmisji bezprzewodowych, i zrobiła to.

Ziemia pozornie podniosła się i stała teraz na wprost Barabasa, ponieważ krzyż zmienił pozycję. Była piękna, biało-błękitna, otulona jasnym welonem atmosfery, żądna krwi panna młoda, urokliwa morderczyni. Niech ją szlag trafi, niech spali ją kosmiczny piorun!

Barabas nie wiedział, ile czasu upłynęło do smagnięcia kijem w drugie ramię. Znowu ruszyły pajęczki, znowu mięśnie poruszyły się zupełnie same, jakby pod skórą zaszyte miał pęczki węży. Nie bolało, tylko po ręce rozlało się ciepło, którego skafander nie zneutralizował. Krzyczał, modlił się i złorzeczył, wzywał Boga i go przeklinał. Jego wołanie ogarniało Ziemię, docierało na szczyty górskie i w rozpadliny dolin, w głębie oceanów i do labiryntów jaskiń, szybowało pod chmurami i pędziło w porywach wiatru nad bezkresnymi stepami. Krzyczał coraz słabiej, gdy żelazny kij bił go po stopach. Zwiesił głowę i zapadł w odrętwienie, ale i wtedy nie dano mu spokoju. Pojawił się obraz Herbsta.

- Umierasz, Barabasi - stwierdził przybyły. - Umawialiśmy się, że odegrasz rolę Chrysa, a ty wciąż jesteś tylko zdurniałym Barabasem. Jak widać, niespieszno ci do nagrody.

Ukrzyżowany chciał coś odpowiedzieć, ale nie zdołał wydać dźwięku.

- Spójrz na to inaczej, człowieku - kontynuował śmigstylny. - Śmierć każdemu jest pisana, prędzej czy później, więc pod tym względem nie robisz niczego szczególnego. Ja też kiedyś umrę, ale... hmm, moja śmierć będzie tuzinkowa, duszna i paskudna, trywialna, po prostu nie dam rady złapać następnego oddechu i uduszę się, a świat w okamgnieniu skurczy się do nicości. Moje zejście nic nie da oprócz metra ditlenku węgla z komina, i zwolnionego etatu. Ale z tobą jest inaczej, bracie, masz szansę zrobić coś pożytecznego, nadać sens rozpadowi swojego cielesnego homeostatu i uszlachetnić duszę. Aby to się stało, zagraj Chrysa. Wiem, i ty wiesz, że zrobisz to nieudolnie, jak mały i do tego durny człowieczek, ale spróbuj. Jeśli się uda, będziesz drugim w historii, który umiera z sensem. Nawet gdy ten twój sens będzie się mierzyć ledwie na napałki, wszak nie o ilość tu idzie, lecz o samo pragnienie. Spróbuj, człowieku!

Obraz Herbsta zbladł i rozplynął się. Barabas miał nadzieję, że

błękitna kula Ziemi też zniknie, a on obudzi się w swojej celi i zacznie codzienne odmierzanie czasu od miski wodnistej owsianki do talerza śmierdzącej zupy ziemniaczanej. Ale planeta tkwiła tam nadal, a nawet rosła, takie przynajmniej miał wrażenie, gdy z trudem dźwigał ołowiane powieki. Na domiar złego zaczął się korowód zjaw i cieni.

Najpierw jechali konni, nędzarze w powycieranych skórach, potem rycerze w zbrojach. Za nimi szły zastępy procarzy, łuczników, kopijników. Dalej już nie wojsko, a bezładny tłum mężczyzn, kobiet, dzieci. Wysmukłe kobiety o elegancko upiętych fryzurach, postawni mężczyźni, sekretarki w granatowych kostiumach i białych bluzkach, chłopcy z farbowanymi brwiami, kosmoformanci marsjańscy o żółtych keratynowych twarzach. Każdy człowiek był draniem, którego należy natychmiast oszukać, żeby on nie zdążył oszukać ciebie. Może z wyjątkiem dupków, którzy nie wiedzą, jak żyć. I niektórych kobiet. I dzieci, choć też nie wszystkich.

- Popatrz uważnie - odezwał się Herbst gdzieś z tyłu. A więc łajdak nie odszedł, nadal węszył. Jego głos był zniekształcony, jakby przebijał się przez zwały waty. - Popatrz, czy mają coś cennego?

Na błyskotki Barabas był wyczulony, więc nawet przez różową mgłę zauważył, że każdy niesie trochę złota. Jedni więcej, inni mniej, zwykle poukrywane, niektórzy chyba wstydzili się tej odrobiny kruszcu. Chciał zapytać o to złoto, ale jego gardło było już zamknięte.

- Zrozum, oni potrzebują pomocy - gorączkowo przekonywał śmigstylny. - Powinni uświadomić sobie, że zasługują na szacunek. Przynajmniej tyle.

*Są jak złotonośny piasek na ciemnym dnie*, zdołał pomyśleć Barabas w chwili, gdy wokół niego zamykało się już chłodne morze. Trzeba im pomóc.

I to wystarczyło.

\*\*\*

Gdy Sykstus odebrał mikrowibracje nakładki czaszkowej, wiedział od razu, że czeka go zadanie specjalne. Była druga w nocy czasu Greenwich i kapitan orbitalnego patrolowca z premedytacją wykorzystał regulaminowe trzy sekundy dopuszczalnej zwłoki.

- Melduję gotowość - powiedział bez pośpiechu, markując

umiarkowaną senność. W rzeczywistości był wewnętrznie spięty jak przyczajony lampart, ale nie zdenerwowany, ani tym bardziej przestraszony. W czasie kilkudziesięciu lat służby przeżył już tyle drastycznych sytuacji, że musiał popaść w rutynę albo zwariować. Nie wylądował u czubów, ale nikt, zwłaszcza spoza kręgów wojskowych, nie nazwałby go całkowicie normalnym.

- Mówi generał Flynn. Kapitanie, czy u was wszystko w porządku? - nadawał wszczep.

Sykstus chciał zagwizdać ze zdziwienia, ale poprzestał na samym ułożeniu warg. Nie mógł sobie pozwolić na jakiegokolwiek oznaki lekceważenia wobec tak wysokiej kadry dowódczej, tym niemniej czuł się urażony.

- Meldowałem gotowość i taki jest stan faktyczny - rzucił oschle. W myśli dodał, że dokładnie tak jest od trzydziestu lat.

- Nie o to chodziło - zarezonowała siatka w jego głowie. - Pytam o statek i bieżące parametry rozpoznania.

Sykstus sprężył się jeszcze bardziej. Metodycznie skontrolował lewooczną błonę łączności, ale wszystkie wskaźniki pulsowały uspokajającą zielenią, a wartości mieściły się w dopuszczalnych zakresach.

- Melduję prawidłowe odczyty. Lot patrolowy bez zakłóceń, anomalii brak.

- Stan techniczny?

- W normie.

- Stan załogi?

- Prawidłowy - stwierdził dowódca, wytrenowanym skurczem policzka przełączając zakresy monitorowania. - Ośmiu ma wachtę, dwunastu odpoczywa.

- Jesteście pewni? Proszę o kontakt z dowódcą mostka.

- Melduje się zgodnie z regulaminem - potwierdził Sykstus po chwili. Czuł wewnętrzny napór adrenaliny. - Czy...

- No, to dobrze. - W odległym głosie dało się wyczuć wyraźną ulgę. - Tak, kapitanie, mamy problemy. W sąsiednim sektorze A/87/C załoga patrolowca nie odpowiada, choć sam statek nadaje sygnał lokacyjny. Ponadto trzy sąsiadujące boje radarowe uległy uszkodzeniu i nie ma z nimi łączności. Otrzymujecie rozkaz natychmiastowego przeszukania

tego sektora, rozpoczynając od jego centrum. Ogłaszam alarm drugiego stopnia, a więc na użycie broni wymagane jest pozwolenie sztabu, który teraz reprezentuję osobiście. Wszystko jasne?

- Tak jest, panie majorze. Pytanie.

- Słucham.

- Czy nie zacząć akcji od przeszukania patrolowca?

- Nie! Wysłaliśmy jednostki medyczne i naprawcze. Kapitanie, rozpoczynacie akcję zdefiniowaną jako bojowa, a nie ratownicza. Rozumiecie, co to oznacza?

- Oczywiście.

Zaszumiały zakłócenia, jakby ktoś sypał piasek na mikrofon. Czujnik automatycznie obniżył natężenie dźwięku, więc głos majora znalazł się na progu słyszalności.

- Jeszcze jedno, kapitanie. Proszę o ciągłą łączność na wizji i fonii. Wszelkie znalezione obiekty, niewyszczególnione w katalogu sektora, należy traktować z wielką ostrożnością. Za ich całość odpowiadacie osobiście!

- Zrozumiałem.

Dowódca statku poczuł lęk, który chłodną obręczą ścisnął mu klatkę piersiową. Dopiero teraz skojarzył fakty i domyślił się, co może być celem jego misji.

- Więć bezzwłocznie przystępujcie do akcji, kapitanie.

\*\*\*

Stenogram relacji kapitana Sykstusa

(oficjalnie udostępniona wersja)

*Kapitan Sykstus melduje: zbliżam się do centrum sektora A/87/C. Ciąg maksymalny. Wszystkie boje nadają w sposób normalny, także trzy najbliższe centrum. [...] Dziesięć minut temu nawiązałem łączność z Henry'm Smookiem, kapitanem patrolowca Skorpion. Tam wszyscy są zdrowi i statek jest sprawny. Po wstępnej kontroli stwierdzono tylko rozregulowanie zegarów, trwa poszukiwanie innych ewentualnych usterek. [...] Stwierdzam obecność nieskatalogowanego obiektu, współrzędne 12/182/57. Procedura bojowa numer trzy. [...] Powtarzam: zmiana na procedurę zwiadowczą numer jeden. Zrozumiałem i wykonuję. Pełny ciąg wsteczny, kurs mijania około tysiąca metrów. Odległość*



*optyczna: wrzeczono, długość dziesięć metrów, niepewność +/- jeden metr. [...] Nawrót, podchodzę na względnej 1 m/s, obiekt jest satelitą Ziemi, orbita kołowa, wysokość jedenaście tysięcy kilometrów. [...] Krzyż. [...] Nie, wszystko w porządku, zamyśliłem się. Skafander na krzyżu nieuszkodzony, jeśli nie liczyć gwoździ, cztery sztuki. Przymocowany taśmami do krzyża. Wizjer ciemny. Zrozumiałem, podchodzę. Powtarzam rozkaz i proszę o potwierdzenie: zdjąć obiekt z orbity i umieścić w ładowni. [...] Czujniki wykazują normalne funkcjonowanie urządzenia, wewnętrzne ciśnienie, temperatura i skład powietrza w normie biostatycznej. Gwoździe przebiły powłoki, które zareagowały samouszczelnieniem. Tak jest, zrównuję parametry, gotowe. Wy-ko-nu-ję. Przystępujemy do komisyjnego otwarcia skafandra. [...] [...] [...] [...] [...]*

*Kapitan Sykstus melduje: s k a f a n d e r j e s t p u s t y. [...] [...] [...] [...] [...]*

*Kapitan Sykstus melduje: wstępne badanie stroboskopowe ujawniło ślady zakrzepłej krwi (analiza lidarowa) wewnątrz wokół miejsc przebitych gwoździami. Pozostała powierzchnia zawiera ślady potu (poziom na górnej granicy normy), poza tym jest czysta. [...modlitwa...]. Przepraszam, ale musiałem dokończyć. [...]. Tak, obiekt sprawia wrażenie nienaruszonego, zarówno skafander, jak i krzyż, oczywiście nie licząc otworów po gwoździach. [...] Tak jest, chciałbym coś dodać: amen.*

\*\*\*

- Jak to się stało, że zwróciłeś uwagę na taką gąskę jak ja?

- Całkiem dobrze odchowana gęś!

Roześmieli się i zbiegli ze wzniesienia ku jezioru. Park prezentował się wspaniale w jesiennej szacie, pod nogami szeleściły zeszcpane liście. Choć słońce jeszcze przypiekało, od wody ciągnęło chłodem.

Usiedli w altance nad samym brzegiem, szczęśliwi jak młokosy. Irine była dobrze zbudowaną, czarnowłosą kobietą koło czterdziestki, Ive miał dziesięć lat więcej i sporo srebra w czuprynie, która jednak wciąż pozostawała gęsta.

Ujął jej dłoń delikatnie, jakby była z porcelany, i pogładził nią swój policzek. Nie zaprzestając pieszczoty, zadeklamował:

*Jesteś motylem*

*Który wleciał w okno innego czasu*

*Jesteś uśmiechem zapomnianej wiosny*

- Czyje to?

- Ode mnie do ciebie, i tylko to jest ważne.

- Chyba masz rację, chociaż lubię mieć wszystko poukładane. Miły jesteś... i taki przystojny. Czy ty aby nie robisz za „epidemicznego” podrywacza?

- A wyglądam?

- Tak!

Znów się roześmieli. Perlisty śmiech poniósł się nad wodą, płosząc parę łabędzi.

Mężczyzna i kobieta siedzieli przytuleni, wyznając sobie uczucie, bliskość duchową, mówiąc o szczęściu bycia we dwoje. Powtarzali wyświechtane banały i nawet jakąś część umysłu rejestrowali ten fakt, tym bardziej że nie były to ich pierwsze w życiu miłosne wyznania, lecz po raz kolejny odkrywali w tych sloganach nowy sens, świeżość i nadzieję. Dla nich było teraz źródło o ożywczej mocy, więc byli szczęśliwi.

- Wiesz - mówiła Irine, bawiąc się jego dłonią, splatając i rozplatając palce - mogłabym tak siedzieć bez końca. Kiedyś zaraz ciągnęło mnie do łóżka, byłam gorącą kobietą. Czy już ci to mówiłam, młokosie w średnim wieku?

- Wyczytałem tę informację z faktury skóry twojej ręki, moja droga. Miłość zaczyna się wtedy, gdy kończy się seks, to powiedział ktoś znany, kogo nazwiska również nie pamiętam. - Zachichotał. - Pamięć mam kiepską od urodzenia, prawa półkula mózgu dominuje.

- Artysta, ho, ho! Może jesteś sławny i przerabiamy kolejną wersję bajki o Kopciuszku?

- Geś, Kopciuszek. Przejawiasz syndrom niedowartościowania i zapominasz, że tak cię cenią, jak sama się cenisz. Oprócz mnie, bo ja uwielbiam w tobie tę skromność, jesteś taka inna od tych wszystkich przebojowych, pewnych siebie feministek.

- Kiedyś... - Irine odgarnęła włosy z czoła, zatrzymała dłoń trochę dłużej, kciukiem i środkowym palcem ucisnęła skronie. - Kiedyś feminizm wydawał mi się atrakcyjną alternatywą, forpocztą koniecznych zmian. Wiesz... Ivo, muszę już iść. Przykro mi, ale przypomniałam sobie...

Mężczyzna objął ją opiekuńczo i ucisnął.

- Kochanie, nie musisz się tłumaczyć. Odprowadzę cię.

- Nie. - Wstała i chwyciła się słupka altany. Odetchnęła. - Nie trzeba.

Przyjdiesz jutro?

- Wiesz dobrze, że nie mógłbym nie przyjść, Irine. Na pewno dobrze się czujesz?

- Ależ tak.

Zatoczyła się lekko, ale zaraz złapała równowagę. Pomachała mu ręką i odeszła szybkim krokiem. Udało jej się przejść około stu metrów.

Kwadrans później przypadkowy rowerzysta znalazł ciało na ścieżce. Wydawało mu się, że kobieta nie oddycha i jest zimna. Jej skóra miała lekko złotawy odcień.

Po następnych pięciu minutach na miejscu był ambulans. Lekarz pochylił się i przyłożył dłoń do czoła leżącej.

- Jeszcze jedna pozłacana - mruknął do pielęgniarza. Stwierdził hipotermię i silnie obniżony puls. - Ani chybi, idzie koniec świata - dodał, rozglądając się. Drzewa zaszumiały w nagłym porywie wiatru.

Pielęgniarz nie słuchał. Stał obok z dłońmi splecionymi na piersi i modlił się do Świętej Czwórcy.

\*\*\*

- Bóg obudził się i wreszcie wziął się do roboty! - krzyczał Lebediew, tłukąc pięścią w stół. - Chcecie szukać na siłę innych tłumaczeń!?

- Nastąpił ciąg naturalnych zdarzeń przyczynowo-skutkowych - stwierdził spokojnie DeVille, krzywiąc wargi w sardonicznym uśmiešku.

- Wszchemogący, jak zawsze, czuwa nad nami. - To był Molistrani.

Bliski chciał coś powiedzieć, ale tylko naprzemian bladł i czerwieniał, mnąc w dłoniach kartki z notatkami. Sodano uśmiechał się do siebie, pewien swego.

- No dobrze - włączyła się Gonzales, która przewodniczyła tej ostatniej podsumowującej sesji, odbywającej się po miesięcznej przerwie. - Postrzelaliście w powietrze na rozruch, teraz proszę trochę przyłożyć się do celowania. Kolega DeVille chyba pierwszy zgłosił się do rzeczowej wypowiedzi?

Nad Alpami wstawał poranek, odległe szczyty różowiały w młodym słońcu. Niebo nad szklaną kopułą było głębokie, błękitne.

- Szanowni zgromadzeni - zagaił DeVille, bezskutecznie usiłując wyprostować przygarbione plecy. - Spieszmy się do domów, więc nie będę opowiadał dowcipów i o to samo usilnie proszę następnych

mówców. - Zrobił krótką taktyczną przerwę, wodząc wzrokiem po audytorium, wytrawny bywalec mównic. - Otóż przed miesiącem przyszło nam spotkać się w tej uroczej miejscowości, aby rozważyć nietypowe zagrożenie: globalną pandemię dziwnej choroby o nieznannej etiologii. Na temat genezy zjawiska pojawiały się różne domysły, lekarze podejrzewali infekcyjną chorobę psychiczną, astrobiolodzy nie mogli się oprzeć spekulacjom na temat inwazji z kosmosu, zaś teolodzy rozpoznawali ingerencję Siły Wyższej, rzecz jasna nazywaną z dużych liter. Nie można nie dostrzec decydującego wpływu profesji ekspertów na próby wyjaśnienia zjawiska; zwykle tak się dzieje, gdy stajemy przed czymś całkowicie nietypowym, wtedy każdy czuje się bezpieczniej na dobrze sobie znanym terenie. Choć zjawisko jest przez cały czas przedmiotem intensywnych badań, naukowcy wciąż nie osiągnęli jedynomyślności. Warto nadmienić, że obecnie niektórzy przychylają się do hipotezy o pozaziemskim źródle infekcji, przy czym wyklucza się najazd jakiejś obcej inteligentnej formy życia, po prostu choroba mogła być wywołana na przykład wirusami zmutowanymi w kosmosie, a zawleczonymi tam przed dziesiątkami lat przez pierwszych astronautów.

- Nie zgadzam się! - obcesowo wtrącił McConney. - Z punktu widzenia nauki...

- Ależ kolego, ja właśnie cytuję niektóre robocze hipotezy uczonych kolegów - odparował DeVille. - Sam nie mam opinii, bo brak wiarygodnych materiałów źródłowych. Wróćmy jednak do głównego wątku. Otóż miesiąc temu rozważaliśmy różne środki prewencyjne, na przykład informacyjne akcje ulotkowe, rozmowy ostrzegawcze, a nawet presję z zastosowaniem przymusu włącznie, a także profilaktyczne zażywanie kombinacji antybiotyków i specyfików przeciwwirusowych. Nasze zalecenia zostały wprowadzone w życie i mniemam, że efekty były pozytywne, choć na wyniki analiz statystycznych należy poczekać.

Teraz trochę ezoteryki. Większością głosów tego gremium przyjęto także projekt przeprowadzenia egzorcyzmów, które, według mojej opinii, nie zawsze są szkodliwe, a czasem mogą nawet wywrzeć pozytywny psychologiczny skutek. W tym jednak przypadku nic takiego nie zaszło, natomiast epidemia po prostu się skończyła. Jak uczy historia, każda zaraza zawsze kiedyś się kończy, czy cholera, czy dżuma, czy *donżuanka*, jak niektórzy ochrzcili ostatnią przypadłość ludzkości, i nie

muszą zaraz brać w tym udziału siły nadprzyrodzone.

- Ejże - zaoponował Lebediew, który wiercił się jak na szpilkach. - Dwa miliardy ludzi leży w śpiączce, liczba chorych wciąż wzrasta, a kolega już odtrąbił zwycięstwo?

DeVille sięgnął po gazetę i uniósł ją nad głowę.

- Zanotowano przypadki wyjścia z letargu. Według najnowszych doniesień...

- Dobra, znam te depesze, to rzeczywiście pojedyncze przypadki, pewnie dotyczą tych, których w ogóle nie objęło głębokie uśpienie. Wciąż nie wiemy, czy wskrzeszeńcy, jeśli tacy będą, obudzą się normalni. Ale generalnie zgadzam się, że najgorsze mamy już za sobą. Tylko w tym jednym się zgadzam!

Przewodnicząca Gonzales podniosła dłoń.

- Udzielam panu głosu, panie Lebediew.

Grubas zerwał się i ruszył niespokojnym krokiem, krążąc wokół swojego stolika. Przywodził na myśl podrażnionego gryzzli.

- Zebraliśmy się tutaj, przyjaciele, na tej pożegnalnej sesji nie po to, żeby w okrągłych, tłustych słowach dokonać podsumowania. O kant dupy potłuc podsumowania! One potrzebne są maluczkim, półinteligentom i kronikarzom, a my tutaj nie pracujemy na własną kronikarską chwałę, my robimy coś naprawdę sensownego: tworzymy na bieżąco historię! Nu, więc musimy zająć stanowisko, jasne stanowisko wobec Niego. Dlaczego? Bo On, jak tylko zechce, rozdepcze nas lewym obcasem swojego najlżejszego buta!

Zaległa cisza, tylko DeVille mruczał coś pod nosem, ale nie przerywał. Lebediew założył ręce do tyłu i wciąż spacerował, patrząc pod nogi. Mówił:

- Mój przyjaciel libertyn uparcie ignoruje fakty. Oto Barabas zostaje przez ludzkość ukrzyżowany, a trzy dni później jego ciało w tajemniczy sposób znika z zamkniętego sarkofagu próżniowego skafandra, orbitującego wokół Ziemi i pilnowanego przez statki patrolowe. Cóż dzieje się następnego dnia? Oto na tajemniczą śpiączkę zapada dwa miliardy ludzi! Życie na planecie i poza nią ulega dezorganizacji, ale po uruchomieniu procedur wyjątkowych obywa się bez globalnej katastrofy, choć straty są ogromne. W efekcie pandemia choroby psychowenerycznej zostaje wstrzymana, wirus nie ma dostatecznej

liczby żywicieli i wycofuje się, bo potencjalne ofiary śpią, zapadły w letarg, ich metabolizm zwolnił stukrotnie, a serca biją raz na dwie sekundy! Medycy twierdzą, że gdyby nie to, epidemia *psychowenerki* mogłaby wytrzebić ludzkość, bo bakcyl stawał się coraz bardziej zjadliwy i w końcu dopadłby nawet tych względnie opornych na miłość. Ważne spostrzeżenie: w tym strasznym dniu na *złotą śpiączkę* zapadli ci, którzy byli najbardziej „zagrożeni miłością”, tak trzeba w skrócie określić tę predyspozycję czy może, mówiąc inaczej, przypadłość. Stwierdzono, że blisko milion spośród tych dwóch miliardów w komie już nie żyje, zapewne charakteryzowali się największą wrażliwością. Natomiast cynicy, psychopaci, zatwardziali...

- Chwileczkę! - zaprotestował Gustavsson. - Nie jesteśmy na wieczorku poetyckim.

- Bardzo przepraszam, więc nazwijmy ich pragmatykami. Oni są bezpieczni. Pan nie usnął, Gustavsson, i rozumiem, że woli pan być nazywany pragmatykiem niż zatwardzialcem. Zresztą nikt z naszego grona nie został trafiony, nieprawdaż? O czymś to świadczy, kochani przyjaciele, witajcie w doborowym towarzystwie!

- Że pan jest erudyta, Lebediew, wszyscy wiedzą, ale nie możemy pozwolić, aby narzucał nam pan swoje niesłuszne poglądy - zaatakował DeVille. - Owe fakty, o których pan wspomina, można bez trudu wytłumaczyć prościej, przy zastosowaniu materialistycznego światopoglądu. Ciało zostało wykradzione, zwłaszcza że istnieją ludzie, także we wpływowych kręgach, którym mogło zależeć na mistycznym efekciarstwie. Masowa koma była spowodowana przez ten sam „wirus X”, wywołujący poprzednio obserwowany etap choroby. Wiadomo, że ludzie przewrażliwieni psychicznie byli bardziej podatni, więc i w drugiej fazie właśnie oni stali się celem zmasowanego ataku zarazka. Po czym epidemia sama wygasła, co przecież nie jest niczym dziwnym. Masowy rozrost glonów w zbiorniku wodnym też powoduje ich obumieranie.

Grubas poczerwieniał i z sykiem wypuścił powietrze.

- Tralala - wycedził. - Gdyby teraz przed tobą, DeVille, pokazała się sama Matka Boska i dała ci po gębie, też byś odwrócił kota ogonem i wytłumaczył to Robespierre'm, Sartre'm, brakiem tolerancji, a w najgorszym razie przywidzeniem albo klerykalną propagandą.

- Panowie! - upomniała przewodnicząca Gonzales. - Cytuję regulamin:

celem naszych spotkań jest rzeczowa wymiana informacji i konstruktywne działanie. Inne opinie pozostawiamy na użytek prasy.

- Przepraszam szacowne gremium i przy okazji pana, DeVille. Jednakże obstaję przy sformułowaniu na piśmie wniosków, jakby to powiedzieć... natury teologicznej, nawet jeśli to będą wnioski mniejszości. Przypuszczam, że w przyszłości ludzkość może jeszcze nieraz potrzebować przychylności kogoś większego od siebie. Zwij go jak chcesz, DeVille, i ty, Gustavsson: Siła Sprawcza, Konstruktor, może być nawet Demiurg albo Dobroć Antropiczna. Ważne, żebyś Go zauważył, wtedy wybaczy ci nawet obelgi. A mnie, być może, daruje brak ślepej wiary i tę szczyptę wyrachowania, której urzędnik państwowy nie powinien wyzybywać się nawet w kościele.

- Piszcie sobie sami wnioski mniejszości do Pana Boga - mruknął DeVille. - Ja poprzestanę na ziemskich sprawach i na korespondowaniu z ludźmi.

\*\*\*

Bliski miał duszności. Napił się wody, ale niewiele to pomogło, więc wyszedł na zewnątrz, w chłodny górski wieczór. Żołnierze pilnujący drzwi przepuścili go niechętnie, bo utrudniał im robotę.

Alpejskie ściany spowijał już granitowy zmierzch, słońce zaszło, ale wciąż barwiło pół nieba gejerami tłęcej się żółci. Nisko szybowały jakieś ptaki, skrzeczając gardłowo - kruki górskie, orły? Znad hal spłynął wiatr i ziąb przeniknął do szpiku kości.

Dziś po południu sporządzili raport wspólny, a także klauzulę mniejszości, śmieszłą teodyceę, bo nic lepszego nie udało się uzgodnić. Ogłosili ją w prasie i telewizji, puścili na cały świat, podpisując się jako „grupa świeckich intelektualistów”. Hierarchia kościelna zachowała wyczekujące milczenie, za to z miejsca zostali wyśmiani przez większość mediów. Ale to przecież nie jest ważne, istotne jest, że ich głos obiegł glob i był wyraźny.

Mimo to czuł niesmak. Oczywiście formalnie głosował za klauzulą mniejszości, ale emocjonalnie był po stronie DeVille'a, co zakrawało na paradoks nawet dla niego samego. Czyżby łagodny początek schizofrenii?

Szedł szybko i poukrywani w klombach komandosi musieli

identyfikować go bezpośrednio w węzowych promieniach latarek. W odbitym świetle zauważył rozpartego na ławce Lebediewa.

- Spodziewałem się ciebie, Bliski. Dusigrosze kantoniarze za wczesnie wyłączyli klimę i w środku zrobiło się duszno. Jak to szło? „Było smaszno, rykwije smukwijne rykoświstąkały...”

Bliski przysiadł się.

- Zimaa iddzie - poskarżył się, szcękając zębami.

- Nu, dla ciebie zawsze coś się znajdzie - mruknął Lebediew, wyciągając zza pazuchy piersiówkę. - Walnij z gwinta, bracie Słowianinie.

Bliski nie odmówił. Pałace ciepło rozeszło się po piersi.

- Wiem, kolego, co cię gryzie - zagał grubas. - Myślisz, że mnie nie?

Odebrał butelkę i pociągnął tęgo. Parsknął i otarł usta wierzchem dłoni. Kontynuował:

- To prawda, że najęliśmy Pana Boga na wykonawcę. Ale co innego robi codziennie od zarania naszej ery miliard dewotek, i nie tylko one? Przyjdź, Boże, i dopomóż. Daj, Boże, zdrowie. Toż to robota dla lekarza rodzinnego!

- To nie był Bóg, DeVille miał rację. To nie m-mógł być Bóg. - Bliskiemu wciąż dzwoniły zęby.

- Acha, wracamy do idealizmów - pokpiwał Lebediew. - Dobry Bóg wypaliłby zimnym ogniem zarazki, nie tykając ludzi. Ha! Mój drogi bracie, Bóg okazał się po prostu skuteczny, tak jak my wobec pryszczycy czy ptasiej grypy. Chciał uratować ludzkość i zrobił to. Przedtem żył Kain, była Sodoma, cierpiało zakłęte przez Chrystusa drzewo figowe, które nie chciało rodzić jesienią. Wierni chodzą do kościołów po nagrodę. Każdemu pisane jest umrzeć, a przed śmiercią większość przeżywa chwile największej trwogi. Przyjacielu, łatwiej ci będzie żyć, jak wyobrazisz sobie, że wszystko czemuś służy w tym Wszechświecie, sterowanym określoną fizyką i warunkami brzegowymi, które zakreślił nikt inny, tylko Bóg, również po to, żeby w tym wymiarze samemu ich przestrzegać. Po prostu, dziś boskie cuda nie przeczą prawom fizyki, więc nieraz trudno je zauważyć.

- Nie. Nie o to chodzi! Ja nie potrzebuję dowodów, dajcie mi tylko wierzyć! Sam mówiłeś, Losza, że dowód zabija wiarę. Oczywiścieści nie wymagają wiary, ich można dotknąć!

- Dobra, nie krzycz. O wiele łatwiej patrzeć ludziom na ręce, niż



zaglądać do sumień, dlatego zajmuję się tym pierwszym i słabo znam się na drugim. Jeśli jednak uwierzysz, że Bóg jest samym sumieniem i miłością, któż ci zabroni nadal modlić się do Niego?

Bliski wpatrzył się w ciemniejące niebo, stopione w granatowosiny amalgamat ze ścianą gór, jakby stamtąd mógł spodziewać się odpowiedzi. Czuł prawdziwie fizyczny ból dokonywania wyborów. W tej chwili zapragnął schronić się w embrionie bezrozumnego trwania, uciec od świadomości istnienia, okrucieństwa nieodwracalności przemijania, od wiary i wątpienia, od tego wszystkiego, co wynosi rozum ponad pozostałą materię.

Ale to była tylko chwila słabości na długiej drodze.

Warszawa, sierpień 2005

## Kontrakt pięciominutowy

Sprzedam duszę na pięć minut.

Słowo wam daję, obiecano mi za to cały milion baksów, nie licząc premii. Niczego nie żałuję, ale też nie lubię wspominać, a tym bardziej gadać o tej sprawie, bo zaraz wpadam w zły humor. Człowiek zaczyna kombinować jak by to było, gdyby nie wziął roboty, albo gdyby inaczej pogrywał, albo może zawrócił w połowie drogi. A tu nie ma co gdybać, bo zlecenie zostało przyjęte i wykonane, ognie pogasły, wojownicy schowali broń, krew wsiąkła w ziemię. A może uleciała w kosmos, zastygając w rdzawe obłoki kryształów? Nie wiem i naprawdę nie chcę wiedzieć. Chcę czy nie, jednak muszę opisać całą historię. Dlaczego - zrozumiecie jak doczytacie do końca.

Wtedy, pierwszego z tych dziwnych dni, byliśmy naprawdę w podłym nastroju. Gladys dziobała widelcem *tortillę*, a ja udawałem że smakuje mi obrzydliwe piwsko *cider pink*. Właśnie przed chwilą powiedziałem jej, że wywalili mnie z roboty. Głupi, powiedziałem też, dlaczego.

Tak się składa, że jestem cholernym pacyfistą. Uśmiejecie się w kułak, jak poznacie dalszy ciąg moich dokonań, ale mimo wszystko to najprawdziwsza prawda. Chodzi o to, że nie jestem z tych co to nie tkną muchy albo okaleczają się, żeby nie iść do woja. Ja mogę powalczyć o pokój, tak jak miał zamiar zrobić sam Einstein, a Che odegrał po swojemu - tyle że spartolił robotę, a tłumaczenie „przynajmniej próbowałem” nie zda się na wiele w dniu Sądu Ostatecznego. Tak czy owak prawda jest taka, że bierność prowadzi donikąd, bo suma działań, a nie suma zaniechań tworzy rzeczywistość. Więc nie udawajcie mędrców, na wszelki wypadek milcząc, panie i panowie!

Indianie atakowali zawsze przed brzaskiem. Tego dnia pół godziny przed świtem Stany Zjednoczone Ameryki Środkowej przewencyjnie i niespodziewanie uderzyły na Brazylię. Pracowałem w fabryce amunicji

do inteligentnych działek i jak tylko dowiedziałem się o ataku, udałem się do kierownika i grzecznie poprosiłem o przeniesienie do pracy biurowej. Kierownik równie grzecznie udzielił mi odpowiedzi, że ponieważ w biurowcu nie ma ani jednego wolnego miejsca, przenosi mnie na zieloną trawkę ze skutkiem natychmiastowym. Nie muszę nawet fatygować się po swoje rzeczy, bo zostaną mi one przesłane kurierem. Kilka godzin później siedziałem już z Gladys na tarasie *Monkey's Tavern* i próbowałem pić to różowe świństwo.

- Nigdy nie przestaniesz być skautem w krótkich spodenkach - nagle zaatakowała Gladys, przerywając pełne napięcia milczenie, najwidoczniej jej tłumiona złość osiągnęła masę krytyczną. - Komu potrzebne twoje głupie gesty? - wysyczała. - Założę się, że pięciu albo i dziesięciu czekało, żeby zająć twoje dobrze wygrzane miejsce!

Jej szmaragdowe oczy świeciły jak u pantery. Uwielbiam ten blask sygnalizujący niekontrolowaną wściekłość, co każdy medyk uzna za objaw masochizmu, ale naprawdę guzik mnie to obchodzi. Kocham moc w swojej kobiecie, i tyle. Nie, ona nie jest „moją kobietą”, ona tylko czasami dopuszcza mnie do siebie, zgodnie z prastarym prawem przyrody.

Wykonałem najbardziej uspokajający gest, na jaki mnie było stać, ale ona nie miała zamiaru przestać. Taka już jest, że wtedy trzeba ją zdziwić. To zresztą też nie zawsze skutkuje.

- A ty może myślałeś - kontynuowała ze zdradliwą przymilnością - że związę swoje życie z patałachem i idiotą, na dodatek cierpiącym na fobie? Ja chcę mieć faceta który co tydzień przyniesie uczciwy pieniądz, żeby starczyło na dom, dzieci, kino i urlop na Florydzie! Chcę jeździć europejskim wozem, chodzić do manicurzystki i mieć psa husky. I będę to miała, do kurwy nędzy, jak nie z tobą, to z innym!

Potakiwałem usiłując dać do zrozumienia, że zgadzam się na wszystko, rzecz jasna oprócz tego innego. Gdy Gladys zaczynała kłąć, sytuacja zupełnie wymykała się spod kontroli. Naprawdę był najwyższy czas, żeby ją zdziwić. To działało analogicznie jak łyk wody na czkawkę.

- Mam już pracę - wtrąciłem szybko, gdy znów nabierała powietrza. - Nową pracę.

Oczy dziewczyny stały się idealnie okrągłe, a oddech zatrzymał się na tak długo, że już zacząłem obawiać się o jej zdrowie. Ale nie, nic jej nie

było. Jestem głęboko przekonany, że gdyby wybuchła wojna atomowa i nasze miasteczko ległoby z gruzach, Gladys jako jedyna wyszłaby nietknięta spośród ruin. No, może strzepnęłaby popiół z ramiączka.

- Co ty pieprzysz?! - krzyknęła tak głośno, że ludzie przy sąsiednich stolikach odruchowo zwrócili ku nam głowy, aby za chwilę ostentacyjnie powrócić do swoich *burritos* i *tortillas*. - W co próbujesz grać?

Pochyliłem się ku niej, ścisząc głos. W miarę jak mówiłem, jej twarz przybierała coraz bardziej drwiący wyraz, aż w końcu wykrzywił ją nerwowy tik. A przecież i tak nie powiedziałem jej wszystkiego, nie mogłem. Gdybym wyjechał z całą prawdą, natychmiast wyjęłaby telefon i zadzwoniła po lekarza. Każdy rozsądny człowiek by tak zrobił, a Gladys z pewnością nierozsądna nie była. Wielbię ją także za to, chyba na zasadzie dopełniania osobowości.

A więc opowiedziałem jej, jak zaraz po wyjściu z fabryki wyciągnąłem *mycoma* i wrzuciłem do lokalnego *newsbuzzera* podanie o pracę. Chodziło mi o jakiegokolwiek zajęcie, bo wiedziałem, na co się zanoszi. W cv oczywiście podałem, że pracowałem przy produkcji broni, bo to dodaje podszytego strachem splendoru, zupełnie jakby na człowieka spływała część chwały za krwawe czyny orężne w obronie ojczyzny. Jakie bądź, historyczne, współczesne, wojskowe czy policyjne. Ciekawe, że legalnej fabryki broni nikt nie kojarzy z bandytyzmem, a jeśli już, to raczej z jego ściganiem przez dzielnych stróżów prawa. Napisałem też, że jestem przystojny, dobrze współpracuję w zespołach, czytam dwie książki tygodniowo, mam rozległą wiedzę ogólną i „penetracyjny umysł”. To ostatnie określenie pożyczyłem z jakiegoś artykułu o naukowcach, ale co tam, przecież zwykły obywatel też może mieć w mózgu coś takiego, choćby przez przypadek. Nie wspomniałem nic o poglądach pacyfistycznych, za to skłamałem że pokłóciłem się o dziewczynę z szefem zmiany. Takich rzeczy w aktach się nie zapisuje, więc żaden ryjący w danych pedant nie dowie się na *zicher*, który powód zwolnienia był prawdziwy.

Kontynuowałem konspiracyjnym szeptem, bo umowa którą podpisałem z nowym pracodawcą miała być tajemnicą. Ale Gladys jest moją partnerką, więc ona mimo to powinna wiedzieć. Opowiadałem więc, jak po godzinie czy półtorej od zamieszczenia ogłoszenia odebrałem wiadomość od faceta, który proponował rozmowę

kwalifikacyjną. Natychmiast, bo nie miał czasu. Czemu nie, pomyślałem i poszedłem. Nie miałem nic do stracenia, a pytanie o jakieś tam zagrożenie w ogóle nie powstało w mojej głowie. Oto co się rozegrało, i co także streściłem Gladys.

Gdy go zobaczyłem, wydał mi się wielki i jakiś niezborny, wciąż się rozglądał, nie usiedziało chwili spokojnie.

- Tyś żeś napisał ten tekst? - zapytał dziwacznie, powiewając kartką z wydrukiem. Sam nie mówię wyszukany językiem, ale nie kaleczę słów jak on, książki coś tam dają, więc nie lubię, jak ktoś szatkuje słowa jak ogórki. Uniosłem brwi, na co tamten pospieszył z wyjaśnieniem:

- Jestem z międzynarodowej korporacji *Softguard*, pracuję na zlecenie rządu. To tajna misja, musisz przyrzec milczeć. Tak?

To trochę wyjaśniało. Facet był pewnie Francuzem albo jakimś Macedończykiem, a jego firma wygrała przetarg na robotę dla rządu. Tacy pchali się drzwiami i oknami i pracowali za psi grosz, chociaż nieraz trzeba było po nich sprzątać, ale tego podejmowały się inne firmy stawające do innych przetargów. Taka procedura funkcjonowała do czasu, bo sprawy coraz bardziej komplikowały się i plątały, aż w końcu wybuchała kolejna wojna, wyrównująca naprężenia jak trzęsienie ziemi przy uskoku San Andreas. Po niej ogłaszało się brak odpowiedzialności za zobowiązania poprzedników i można było zaczynać od początku. Nie lubiłem tego, więc zostałem pacyfistą, tyle że ten fakt absolutnie nikogo nie obchodził. Zresztą, ja też się zanadto nim nie przejmowałem. Znałem pacyfistów, którzy pracowali w przemyśle zbrojeniowym, he, he.

- Okay, będę milczał jak gość z wyrwanym językiem - obiecałem, wzruszając ramionami.

- Ja nie władam po angielsku aż tak dobrze, ale rozumiem że dochowasz sekretu. Zresztą wyjdiesz na durnia, jak komuś powiesz, a ja łatwo się wyprę. Tak?

- Tak, tak! Nie strasz, człowieku, bo i tak się nie boję. Nie przyszedłem na przespiegi, chcę zarobić. Uczciwie, bez żadnych przekrętów, bo jeśli coś jest nie tak..

- Legalnie! - wpadł mi w słowo. - Podpiszemy umowę na duszę.

- Proszę? - Nie dosłyszałem, o co mu biegło.

- Chcę wynająć tylko duszę. Ciało niepotrzebne, mam lepsze.

Podniosłem się.

- Od początku wyglądałeś mi na świra - warknąłem. - Nie dam ci po ryju tylko dlatego, że jesteś za duży, więc bym się napracował. A jestem leniwy, czego nie napisałem w cv.

- Poczekaj, kolego. - Tamten też wstał z ławki, na której przysiedliśmy. Parkowe drzewa szumiały na smętną nutę, bo znów byłem bez pracy.

- Powinienem być zacząć od tego - mówił dalej, wygrzebując z kieszeni kopertę. Pokazał, co jest w środku. Było równo tysiąc baksów. Gość mrugnął porozumiewawczo. - Zaliczka!

Murowany świr, ale tysiączek był prawdziwy jak cholera, więc stałem tam dalej i czekałem na rozwój wypadków.

- Druga sprawa. Moja firma reprezentuje poziom TT, *Top Technology*, rozumiemy się? Dla nieobeznanych z nauką, ehm, może tak: dla ludzi mniej obeznanych od naukowców, te wszystkie pętle tachionowe i kondensaty ziarnistości temporalnych są niestrawne jak magia, albo może nawet magia jest bardziej strawna. Więc stosujemy takie skrótowe określenia jak dusza, chociaż naprawdę jest to zespół cech psychicznych wzbogaconych redundancją somatyczną z korektą fenotypową. Chyba wolisz skróty?

- Wolę - burknąłem. Kręciło mi się w głowie. - Nigdy nie słyszałem o pętli tachionowej - stwierdziłem pytająco.

- Pewnie, że nie. - Facet ożywił się, widocznie myślał, że już mnie kupił. - Kto by o tym pisał? Dziś w naukowych działach czasopism siedzą pięknoduchy od lingwistyki i informują jak „Wieloryby śpiewają przy seksie” albo że „Dieta rzodkiewkowa prowadzi do niewierności małżeńskiej”. Może to i lepiej, bo nikt nam nie zagląda do probówek.

Westchnąłem i usiadłem.

- Mogę potrzymać tę kopertę?

Facet zdziwił się.

- Przecież mówiłem, że jest twoja. - Wyciągnął długie łapsko i wręczył mi kasę.

- Nie boisz się, że schowam ją i sobie pójdę?

- Nie.

- ...yhm?

- To proste. Chcesz zarobić tysiąc razy tyle.

- Ouuu - jęknąłem. - Ale coś mi tu nie gra. Nawet się nie

przedstawiłeś.

- Zapraszam do biura, tam załatwimy formalności. Jeśli zechcesz się wycofać, możesz to zrobić w każdej chwili, ale jeszcze przed podpisaniem umowy. Wtedy zaliczka przepada na twoją korzyść. Ale gdy wycofasz się później, nie tylko zwracasz zaliczkę, ale jeszcze jej dziesięciokrotną wartość. Tak?

Gdy doszedłem ze swoją opowieścią do tego miejsca, Gladys nie wytrzymała i zerwała się od stolika. Taka już jest: żywiołowa i szybka, jak ogień w piniowym lesie.

- Gdzie ta forsa? - rzuciła, biorąc się pod boki.

- Tutaj - wskazałem na wewnętrzną kieszeń.

- A ile dostałeś odprawy z fabryki?

Tylko westchnąłem w odpowiedzi.

- Posłuchaj, skarbie. - Uderzyła znów w przymilny ton, a więc było już całkiem niedobrze. - Założmy, że nie łzesz jak pies i masz uczciwe intencje. Poczekam rok..

- Sześć miesięcy! - wyrwałem się i zaraz ugryzłem w czubek języka. Jednak warto byłoby mieć parę dni rezerwy.

- Tym lepiej. Po tym czasie masz tu być z kasą, wtedy może zgodzę się abyś mnie poślubił. Co będziesz robił przedtem, interesuje mnie tyle co kocie szczyny, byleś nie wdepnął w jakieś gówno z glinami. Jak chcesz to prehandluj swoje pokręcone redundancje razem z psychosomatycznym fenotypem, a jak się napatoczy jaka kurwosmoczyca to ją dzielnie wybzykaj tachionowym fiutem. Ale jeśli próbujesz kretyńskich sztuczek i chcesz, żebym golcowi uwierzyła w jakieś brednie, nie pokazuj mi się więcej na oczy!

To powiedziawszy wyszła, stawiając drobne krocunki i mocno stukając obcasami. Moja przebojowa Gladys, nie do pomylenia z jakąkolwiek inną!

Zostałem z ledwie napoczętą szklanką *cider pinku* i mętlikiem w głowie. Ale nie posiedziałem długo, bo wkrótce przyszedł po mnie Ash. Ash to mój nowy pracodawca.

\*\*\*

Oto co było dalej, po tym jak już odwaliliśmy rozmowę kwalifikacyjną z tym gościem. Tego nie zdążyłem opowiedzieć Gladys, i dobrze.

Po konwersacji w parku poszliśmy do biura faceta. Trzymał

reprezentacyjny apartament w Holidayu, więc miał gdzie przyjmować kandydatów do pracy. Nazywał się tak że nie dało się tego wymówić, jakoś Akhramnasz albo Askhanmarsh. W skrócie Ash.

- Co mam robić? - spytałem zaraz po wejściu, nonszalancją maskując niepokój. Wreszcie do mnie dotarło, że dałem się tu zwabić jak jakiś wał, z kieszenią napchaną nieswoją forszą. Ale w głowie już roily się plany. O kurczę, o ile świat byłby przystojniejszy, gdybym miał w szafie tysiąc takich harmonijek z nowych dolców!

- Spokojnie. Oto umowa. - Facet podniósł mleczny półprzejrzysty rulonik, zadrukowany maczkiem. - Mogę streścić: przedmiotem jest leasing duszy na sześć miesięcy. To czas po dekonwolucji, lokalnego czasu ziemskiego będzie mniej. Nie estymuję ile, niemożliwe policzenie, za duża nieoznaczoność fluktuacji. Jak chcesz czytaj, wszystko uczciwie, nie pierwszy raz używam.

- Aha - mruknąłem, oglądając niby-papier pod światło. - Więc co się stało z tamtymi?

Rozłożył ręce, tak jakoś powoli, mechanicznie.

- Mam firmę, zatrudniam i zwalniam. Kto pracuje w jednym miejscu przez całe życie? Ale, do rzeczy. Trzeba posprzątać. Tsss, spokojnie. Będziesz miał skuteczną broń, urządzenie defensywne. Słuszny cel, ważna sprawa. Obrona przed agresją, tak?

- Czekał... Aksz... Arkh...

- Ash.

- Okay, Ash. Czegóż nie chwytam. Co wspólnego ma sprzątanie z obroną przed agresją?

Wzruszył szerokimi ramionami i wstał. Te ramiona miał wielkie jak u manekina, a za duży garnitur wisiał na nich jak na krzywym wieszaku.

- Niewiele wiesz o broni - ocenił. - W fabryce robiłeś śrubki, a o topowym produkcie wiesz tyle co nic.

Teraz ja się zdziwiłem.

- A muszę?

- Człowiek nic nie musi. Wypniesz się z matczynej cipki jak pestka ze śliwki, ani to twoja wina ani zasługa, potem trochę pobawisz się w chowanego, zerzniesz kilka dziewczyn, zrobisz dwójkę bachorów, zjesz wagon schabowych i drugi pomidorów, wypijesz sto galonów piwa, a potem pewnego dnia zatka ci się rurka i do piachu. Samo przyszło, samo



poszło.

Zdziwiłem się jeszcze bardziej. Cholera, facet gdzieś się wyuczył tekstu, gadka jak ulał pasowała do kabareciarza, ale nijak do gostka z południowej Frankonii. Tak mnie przytknęło, że miał czas się wygadać. Wam też by szczęki opadły, milusińscy.

- A tu przyszedł Ash - dalej nawijał jakby ktoś mu nacisnął nie ten klawisz - kiedy byłeś po pierwszych dziewczynach, ale jeszcze przed majstrowaniem przy bachorach, i proponuje ciekawą robotę, która ubarwi resztę tej fiesty. Może stać cię będzie na lepsze piwo? Może starczy wreszcie czasu, żeby się rozejrzeć po świecie, a nie gnać co rano na gwizdek do fabryki?

Gdy podniosłem rękę, wyłączył się jak zdalnie sterowany, patrząc na mnie badawczo. Wystraszył się?

- Ash, człowieku - westchnąłem. - Wciąż tu siedzę i nie mam zamiaru wyjść.

Skinął głową.

- Noo, tylko tłumaczę. A broń... teraz mamy nowe generacje. Do zwykłych akcji bierze się starocie, ale nie do każdej, o nie. Czasem warto zapłacić i mieć wynik na pewniaka. Berserkery. Robi się berserkery.

- Naprawdę?

Chyba wiedział, że ja nie wiem, bo zaczął tłumaczyć.

- To są psy wojny, wojownicy, hieny - wyjaśnił. - Nie mają żadnego pana, każdy jest przeciwnikiem. Tak?

- Co tak? - Zaczynałem się denerwować. Gość wrócił do własnego kalekiego języka, co raczej nie poprawiło kontaktu.

- Chodzi o to, że nie możesz ich wyłączyć. Przeciwnik jak mądry też potrafi wyłączyć, więc robi się takie co kłają aż zdechną. Masz rozumienie?

Roześmiałem się, ale na pewno nie była to swobodna wesołość. W książce z literaturą piękną by napisali: do spontanicznej radości sporo mu brakowało.

- Bez sensu - oświadczyłem, choć wiedziałem, że mój nowy szef zna odpowiedź. Faktycznie znał.

- Robi się klucz i zamek, jednocześnie. Miecz i tarczę, broń zaczepną i obronną, druga likwiduje pierwszą. Puszczą się psa na wroga, a za miesiąc, jak ma się lepszego, trzeba starego wyłączyć. Czyli odstrzelić,

inaczej się nie da. To będzie twoje zadanie.

- Moje? Nie masz wyszkolonych snajperów? Klucza do swojego zamka?

Ash wzniosł wzrok ku niebu, jakby prosił Boga o cierpliwość.

- Nie - odparł. - Żołnierze nie chcą sprzątać, ich zadaniem jest prawdziwa walka.

Zapadła cisza. Rozmyślałem o tym strzelaniu.

- Dobra stawka jak za sprzątanie - zauważyłem, żeby powiedzieć cokolwiek. Pociłem się.

Ash rozłożył ręce.

- Nie masz pojęcia, człowieku, o cenach nowoczesnej broni, twoja stawka jak raz pasuje do bilansu. Poza tym potrzebuję fachowca, który potrafi zastrzelić wściekłego psa, do tego nie wystarczy czyściciel klozetów. Więc dostajesz stawkę specjalisty.

- Dzięki - mruknąłem. - Ciekaw jestem ryzyka.

Musiał istnieć powód, dla którego facet wciąż przyjmował nowych. Lecz Ash był tak pewny siebie, że trudno mu było nie wierzyć.

- Mniejsze niż podczas jazdy samochodem po mieście. A broń jest bezpieczna dla użytkownika. One są jak psy, a ty masz giwerę. Żadne ryzyko. No, prawie, bo wypadki zdarzają się wszędzie. Ten sufit - wskazał w górę, nie patrząc - może spaść ci na głowę. U mnie też masz promil szansy, że zginiesz.

Nabrałem i wypuściłem powietrze. Mógłby wysilić się na bardziej oryginalną metaforę, powiedzmy szerszeń зараżony wścieklizną albo, he he, pocisk zawrócony znad Brazylii, ten sam, który przedwczoraj spuściłem z taśmy. Występek i kara. No, ale facet przecież nie był z tych, co dodają światu urody.

Tak już mam, że długo się nie zastanawiam.

- Kiedy zaczynam? - bardziej stwierdziłem niż spytałem.

Ash uśmiechnął się.

- Wkrótce. A teraz podpisz.

\*\*\*

Szedł jak lebiega, potykał się, stukał laską - może niedowidział? Dziwne, że przy tym posuwał się naprzód bez problemów i szybko. Trochę mi było wstyd przed ludźmi, bo ubranie miał mniej więcej tak

dopasowane, jakby wyciągnął pierwsze z brzegu łachy ze śmietnika. Tyle że wszystko było nowe, prosto z magazynu, nawet z metkami, które wisiały na zewnątrz. Nie mógł chociaż odpruć tych metek?

Usiadł i nie uśmiechnął się. Tkwił na tym samym miejscu co przed chwilą Gladys. Zacząłem kombinować, co by było, jakbym walnął go w szczękę, nie za mocno, ale tak w sam raz, żeby jeszcze nie połamać kości. Pewnie by poleciał razem z krzesłem, zrobiłoby się zbiegowisko, przybiegłby właściciel z zaplecza, rozjęczałyby się syreny policyjne, najpierw daleko, potem coraz bliżej. Wtedy wiać czy twierdzić, że gość miał chęć na mojego tysiącza, o którym się jakoś dowiedział? Tylko jak wytłumaczyć glinom, skąd wziąłem kasę?

- Spójrz tutaj - usłyszałem tubalny głos, wzmocniony dziwacznym spiżowym echem. Jego dłoń wypełniła całe pole widzenia i wciąż się zbliżała. Potem złapał mnie za twarz. Zabolało.

Bolało jeszcze bardziej, gdy jego łapa wsuwała się do mnie do środka. Tak to odebrałem - wepchnął mi rękę w ciało, nawet nie przez usta, ale jakoś między włóknami mięśni, zupełnie jakby miał ramię z innej materii, niestawiającej oporu w naszym świecie.

Myślicie, że plotę androny? Nawet nie mam wam za złe, sam bym tak przypuszczał, gdybyśmy zamienili się miejscami. Ta historia od startu do mety jest dziwna i trzeba zawiesić niewiarę i trzymać ją diabelnie daleko, żeby chwycić sens. Gladys nie uwierzyłaby w ani jedno słowo, ale ona to co innego, po prostu nigdy nie interesowała się takimi sprawami. Ash na pewno był przedstawicielem, ale raczej nie firmy TT. Lecz wtedy nie miałem czasu na domysły, bo cholerny „przedstawiciel” właśnie wyrywał mi duszę z gardła.

No więc na początku bolało, ale to jeszcze nic, najgorsze było przede mną. Czułem, że facet oplątuje mnie drutem kolczastym, ale jakoś dziwacznie, od środka. Potem szarpnął, wyciągając to co najważniejsze z komórek, tkanek, organów, żył i bebeczków. Ryknąłbym z bólu, gdyby nie ten drobiazg, że wszystko we mnie skurczyło się i stężało, łącznie z płucami i tchawicą. Ash tymczasem wydobył swoją zdobycz i przyjrzał się jej krytycznie jak trzymanemu za ogon szczurowi, po czym wrzucił do wieży.

Możecie się dziwić, milusińscy, że podpisałem taką durną umowę, albo nazywając rzeczy po imieniu, że dureń podpisał taką umowę. Ale

sęk w tym, że nic w tym dokumencie nie było o bólu, czyli mógł być albo nie, więc zasadniczo nie miałem się czego czepiać. Nic też tam nie napisano o wyrywaniu języka na żywo, transfuzji krwi kwasem siarkowym, przyrządzaniu jajecznicy z gałek ocznych i strojeniu gitary z jelita cienkiego, ale szczęśliwie te przyjemności mnie ominęły. Za to znalazłem się w wieży czasu.

Nazywajcie ją jak chcecie: pudło, przechowalnik, lodówka, anabiozer, kindersztube albo nawet trankwilizer niskoprzepięciowy, a ja i tak miałem wrażenie, że zostałem ciśnięty do lochów. Wieża była wysoka i miała owalne okna, a raczej otwory, przez które mżyło bure światło i wlatywała mgła. Daleko w dole coś się poruszyło i znów zastygło, gdy opadałem ruchem strąconego z gałęzi liścia. Chciałem się zatrzymać, wierzgałem i wymachiwałem rękami, ale na nic się to zdało. Szczęśliwie podczas podróży w dół zbliżyłem się do kamiennej framugi okna i z najwyższym trudem zdołałem się w nią wczepić. Z zewnątrz wiało przenikliwym chłodem.

Nie znoszę takich przechowalni. Nie wiem, czy ktoś z was siedział w zimnym, pełnym przeciągów korytarzu szpitalnym, czekając na wiadomość o kumplu, który wpadł pod pociąg? Albo w poczekalni przed pokojem egzaminacyjnym, gdzie jakiś mizantrop rekompensuje sobie życiowe niepowodzenia? Czy pod drzwiami urzędu rekrutacyjnego, skąd ekspediują mięso armatnie na wojnę w amazońskiej dżungli? Chyba już rozumiecie, jak się wtedy czułem.

Jestem pewien, że była to wieża czasu, bo od chwili kiedy Ash chwycił mnie za twarz, czas dostał maksymalnego pierdolca. Jesteśmy przyzwyczajeni, że u nas, czyli w naszym pocziwym świecie, mimo największych kataklizmów czas płynie raczej spokojnie i bez zmian. Może się komuś zdawać, że ów pan ludzkich losów raz przyspiesza a raz zwalnia, ale nie, naprawdę rzecz ma się zgoła inaczej - to ty, człowieczku, albo masz coś do przeżywania, albo po prostu się nudzisz. Ale tutaj, na moim kontrakcie, zdarzyło się coś takiego, co u nas spokojnie między bajki włożyć można, a nawet trzeba. Czas stanął dęba, ot co. Półroczny kontrakt wypełniłem w pięć minut. Wtedy nic z tego nie rozumiałem i nadal niewiele pojmuję, nawet jak zgodzę się na jakieś dyndolone dodatkowe wymiary. Dusza się raduje, że jest już z powrotem. Ale po kolei, dla was wciąż jeszcze siedzę w wieży czasu.

Nagle okno, przy którym się zatrzymałem, pojaśniało, a potem buchnął przez nie żółty blask. Zauważyłem, że w mrocznej głębi wieży znów coś się poruszyło, na wpół podniósł się przygięty do ziemi kształt, jakby z nadzieją, po czym to coś z powrotem opadło i zamarło w bezbrzeżnym smutku, podkreślonym zwolnionym ruchem. Odruchowo podkurczyłem nogi, ale niepotrzebnie, bo upiór nie atakował.

Tymczasem mgła rozviała się i w oknie stanął sam Gabriel. Miał złocistą skórę, muskularne ciało i szeroki uśmiech. Chłodny wiatr rozwiewał mu złote włosy. Spróbowałem się przeżegnać i zacząłem klepać paciorek, gęsto improwizując. Wtedy anioł roześmiał się, ukazując galerię wielkich, białych zębów. Miał ich w ustach chyba za dużo i były za wielkie. Czar prysł.

- Kim jesteś? - spytałem, pokonując chrypkę. Na to fałszywy anioł znów zarechotał pełnym głosem.

- Tym, który się tobą zajmuje, tak? - wyjaśnił, gdy opanował wesołość. - Nadal mów mi Ash, tak będzie najprościej. Jak ci się podoba ta skóra?

To mówiąc odwrócił się i skinął na wysokiego mężczyznę, stojącego za nim. Tamten zrobił krok do przodu, a wtedy Ash chwycił mnie i wepchnął w przybysza. Tak, kochani, w postaci duszy wpadłem w jego ciało jak śliwka w kompot. Tym razem nie czułem bólu, tylko samą frajdę, gdy lokowałem się na wszystkich kondygnacjach nowego gospodarza jak w luksusowych apartamentach pięciogwiazdkowego Hiltona. Nie ma co, ten domek był sporo lepszy niż poprzedni, chociaż dawniej też nie miałem specjalnych powodów do narzekania.

Wrzasnąłem, zamachałem ramionami i uderzyłem się w piersi jak Tarzan. Ash vel Gabriel skrzywił się z niesmakiem.

- Wy, ziemscy ludzie, nie możecie obyć się bez projekcji znanego na nieznanie, jeśli macie cokolwiek zrozumieć. Problem w tym, że tak niewiele jest dla was znane.

- Jaka projekcję masz na myśli, szefie? - Usiłowałem być rezolutny, wyszło raczej średnio. Głos miałem dudniący jakbym perorował nad blaszanym wiadrem, ale nawet mi się to podobało.

- Rozejrzyj się, to zobaczysz. A zaraz potem bierz się do roboty, jeśli chcesz zapracować na honorarium.

\*\*\*

Obciąłem mu głowę.

Tak, dobrze słyszycie. Ja, pacyfista z przekonania, z całej siły walnąłem go prętem po szyi tuż za kołnierzem, niewiele się zastanawiając. Po prawdzie to wcale się nie zastanawiałem, nie miałem czasu na takie luksusy.

Sekundę wcześniej wielki jak smok grzechotnik rzucił się na mnie z taką szybkością, że ledwie zdołałem unieść rękę. Elastyczna pałka, którą przedtem dał mi Ash, natychmiast zesztyniała w pręt twardy jak stal i wystarczająco cienki, żeby przeciąć tkanki. Wąż rozdziawił paszczę z potwornymi kłami, długimi jak dłoń, z których coś skapywało, ślina albo jad, i pędził na mnie z ogłuszającym syczeniem.

Mówię „grzechotnik”, choć wcale nie wiem, co to naprawdę było. Wężowate cielsko na pięć metrów długości, grubaśne jak udo chłopca, łeb spłaszczony, a pod nim jakaś kryza czy kołnierz z czarnej skóry. Nic tam na górze nie było normalne, czyli takie zwyczajne jak na matuli Ziemi. Proszę, nie łapcie mnie za słówka, naprawdę nie mam pojęcia, czy sprawy działały się na górze, na dole czy po skosie.

Ważne jest to, że sam łeb dalej leciał, znaczy jak już go obciąłem. Łeb i kawał szyi z tym cholernym kołnierzem, zwyczajnie siłą rozpędu, ciągnąc za sobą warkocz juchy. Niestety, nie zdążyłem się uchylić.

Walnął mnie w pierś. Po prostu staranował, powalił i popchnął, więc pojechałem po piachu dobre kilka metrów. Dopiero potem, jak wygrzebałem się spod jego pyska, zauważyłem że krwawię. I na dodatek nie mogę złapać oddechu.

Na naszej kochanej Ziemi już bym zasilił społeczność cmentarną, ale wszystko przecież odbywało się na górze. Cholerny łeb najwidoczniej jeszcze przez chwilę żył resztką tłącego się w gadzinowych nerwach życia, bo zdążył dziabnąć mnie przez pierś swoimi zębiskami - przyznam, że dziabnął diabelnie skutecznie, bo rozplątał klatę piersiową, przy okazji przecinając tętnice i krtań. Z tego właśnie powodu miałem, hmm, pewne trudności z oddychaniem, no i trochę krwawiłem.

Cóż, w umowie mój chlebodawca nie gwarantował mi znieczulenia przy demolce, nawet nie obiecywał zachowania życia. Praca jak praca, przy każdej zdarzają się wpadki i wypadki, w tym śmiertelne. Przeleciało mi przez głowę, że jakby Gladys była moją urzędową żoną, dostałaby

jakiś grosz z ubezpieczenia, ale ona niefrasobliwie wołała zaczekać. Pewnie się dziwicie, piękne panie i zacni panowie, że film całego życia nie przesunął się mi przed oczami, zamiast tego myślałem o forsie. Nie, kochani, nie o forsie. O Gladys.

Później znów próbowałem przypomnieć sobie ojczenaszka, taki zrobiłem się religijny, ale guzik z tego wyszło, za to zakrztusiłem się i zwymiotowałem, w każdym razie wyrzuciłem z siebie jakiś glut wielkości atlantyckiej mątwy. Zaraz potem złapałem oddech, jeden i drugi. Jakoś to szło, krew już nie sikała jak ze szlachtowanego wieprzka, chociaż cała koszula była nią nasiąknięta.

- Nienajgorzej, jak na pierwszy raz - ocenił Ash, pomagając mi się podnieść. - Czemu nie, mogłeś go uderzyć, ale powinieneś bardziej panować nad sytuacją. Gdybyś tej gadzinie z wyczuciem przetrzącił kręgi szyjne, łeb pozostałby przy niezdatnym cielsku, a potem mógłbyś użyć broni entropowej czy stochastycznej...

Coś jeszcze gadał, ale ja wołałem obejrzeć swoją klatkę z piersiami. Obmacałem się przy minimum nerwowości, ale najwidoczniej magia, czytaj zaawansowana nauka, posklejała mnie także w środku. Szrama, co jeszcze została, dość szybko się zwężała i na moich oczach całkiem znikła.

- Spokojnie, człowieku - łagodził Ash. Na całe szczęście kręcił się w pobliżu, inaczej nie wiem, jak by ze mną było, pewnie bym w tri miga trafił do czubów. - Przebywamy w polu rażenia odwracalnego gradientu entropii i labilnej probabilistyki. Broń rozłokowana jest w przestrzeni, nie trzeba trzymać jej w ręku, musisz tylko nauczyć się jej używać. Pręt czy giwera są dobre, ale tylko jako uzupełnienie - nauczał.

Wytrzeszczyłem oczy, bo gadał jak Hiramoto Guu po piątej fajce. Ale gość tylko rozłożył ramiona.

- Musisz sam to opanować - wyjaśnił cokolwiek lakonicznie. - Akcje polegają na działaniu intuicyjnym przez indywidualną projekcję.

Świetnie, po prostu wspaniale! Chciałem mu to powiedzieć, ale facet gdzieś się zmył.

Byłem już w całkiem dobrej formie, więc ruszyłem ścieżką, aby rozejrzeć się po okolicy. Zawsze lubiłem wyprzedzać niebezpieczeństwo, wtedy czułem się panem sytuacji, słusznie czy nie. Podążając pomiędzy kwiatami przypominającymi fioletowe flety zawieszane na ustnikach,

zmusiłem się do pracy myślowej. Wiecie, jak to jest: człowiek po szkole nie potrzebuje specjalnie wysilać mózgowicy, co trzeba ma z netu, a książki... Taa, z książek najlepiej lubię ostre dialogi i scenki miłosne, więc nigdy nie zauważyłem ani słowa o jakiejś cholernej entropii, i pewnie bym nie zauważył nawet wtedy, gdyby wkleili o niej rozdział na piętnaście stron. A o labilnej probabilistyce wiedziałem jeszcze mniej, bo słyszałem o niej po raz pierwszy w życiu.

Przydusiłem szare zwoje i wreszcie coś mi zaświtało. „Miara nieuporządkowania” - do znudzenia powtarzał fizyk, właściciel pomarszczonej, indyckiej szyi. Był wysoki jak tyka do chmielu i lubił stać koło mojej ławki, więc jak spojrzałem w górę to widziałem tę szyję i trzęsącą się brodę, znad której strzelały rozpryski śliny. „Ludzie są wysepkami malejącej entropii w świecie jej powszechnego wzrostu” - to było z kolei z jakiejś przygodówki fantastycznej. Naraz przyszła iluminacja: entropia rośnie wraz z chaosem, a maleje przy porządkowaniu! Teoretycznie jak zostawisz burdel w kuchni i wychodząc na spacer włączysz pochłaniacz entropii, powinno się samo posprzątać, ale gdy przez pomyłkę nastawisz go odwrotnie, po powrocie zastaniesz pieprznik w modelowej postaci, a więc cukier wymieszany z solą i pieprzem, wodę w zupie, zlew zamieniony w szuflę opiłków, a terakotę w postaci hałdy afrykańskiego piasku. No więc jeśli w tym dziwnym świecie udaje się obniżyć entropię, powinno być dobrze dla człowieka i wszelkiego stworzenia - rany się zagoją, obcięte palce odrosną, potencja wzrośnie. A jak walnę z giwery kondensatem entropii, do tego zwiększając prawdopodobieństwo procesu, każdy gadzi łeb musi równomiernie rozpylić się na atomy!

Nie miałem entropowej giwery, ale według Asha broń była wszędzie. Rozejrzałem się trochę po krzakach, ale nic nie znalazłem. Więc skoncentrowałem się na jednym takim kwiatowym flecie, żeby entropowo go przerobić na kaszanę, bo z gadki Asha wynikało, że te działka są sterowane samą siłą woli. Naprawdę z całej duszy pragnąłem rozwalić ten kwiatek, ale rzecz jasna nic się nie stało. Potem usiłowałem zrobić z niego elektryczną gitarę, zanurzając go w malejącej entropii, ale efekt był podobny, czyli żaden. Wydawało mi się, że trochę zmienił odcień, ale najpewniej z wysiłku mąciło mi się pod dekle.

Poszedłem dalej ścieżką. Z oddali dobiegały grzmoty, jakby zbierało



się burzę. Albo jakby puszczano fajerwerki. Albo jakby pierdział smok króla Jerzego.

Szedłem pogwizdując, bo nie miałem pojęcia, że tą samą ścieżką, tylko w drugą stronę pędzi mi na spotkanie Xenodium, czyli opancerzona baba wielkości lokomotywy, prawdziwa córa berserkera, pragnąca przerobić na siano cokolwiek, co napotka na swojej drodze. Ciekawe, co by na to powiedział mój fizyk o indyjskiej szyi. Biedaczek, pewnie łykając w nadmiarze tej swojej entropii już dawno się przekreślił, więc nie będę mógł mu poczarować, że jego lekcje jednak na coś się przydały.

\*\*\*

- Ćwicz dalej - ponaglił Ash. - Te kursy masz od nas za darmo, w ramach szkolenia.

Trochę się zdenerwowałem.

- Chcesz powiedzieć, szefie, że narażam się na szwank i nic przy tym nie zarabiam? - zagadnąłem, próbując mówić spokojnie i bez chryпки.

- Oczekiwaliśmy od ciebie wyższych kwalifikacji, więc ciesz się, że nie potrącamy ci z honorarium. Nie zapominaj o odwrotnym gradiencie entropii, kolego. Zagrożenie było niewielkie, dopiero teraz wzrośnie. Uwaga, zaczynamy!

Dopiero teraz zauważyłem, że to, co brałem za odległe grzmoty, było dudnieniem zbliżających się kroków. W odległości kilkunastu metrów zatrzymała się kobieta-olbrzym. Wyglądała jak postać wycięta z okładki tandetnego pisemka fantastycznego: na głowie snopek dredów owiniętych spiralami srebrnego drutu, twarz ukryta pod maską z amalgamatowego makijażu, cyce wielkości gigant-melonów obleczone lustrzanym metalem, talia ściśnięta czarną obręczą z wiankiem podwieszonych granatów odłamkowych, blaszane stringi wypchane włosami łonowymi, nagie uda i stalowe kozaki. W olstrach miała laserowe giwery, a w ręku karabin wielkości armaty na tachiony i antimaterię.

Przełknąłem ślinę.

- Czy to jeden z tych... berserkerów?

- Też coś - roześmiał się Ash. - To tarcza na strzelnicę, tyle że ruchoma. Interaktywna. Dziewczyna ma na imię Xenodium, w skrócie Xena, i naprawdę może zrobić ci krzywdę, jeśli się nie postarasz, masz

rozumienie?

Na potwierdzenie tych słów Xena nacisnęła spust. Ziemia jęknęła, a piasek na ścieżce przede mną błyskawicznie stopniał i uformował wrzącą kałużę, strzelając pęcherzami wielkimi jak pięści. Magmowy ukrop zbliżał się niebezpiecznie do czubków moich butów. Nie wytrzymałem i dałem nura w zarośla.

Wydawało mi się, że pada deszcz, a to tachionowe kulki pruły po liściach tuż nad moją głową. O mało nie zesrałem się ze strachu, ale jednocześnie zrozumiałem we wspólnym przebłysku iluminacji, że muszę wytrwale próbować wciąż od nowa, jeśli chcę jeszcze trochę pożyć. Zebrałem myśli i wolę... i deszcz stopniowo ustał. Nagle niemożliwe stało się prawdopodobne, a niemal pewne zachodziło tak rzadko jak wygrana na loterii. Kurde, czy to nie sen? Ja sam to zrobiłem? Jakim cudem? Cóż, moi drodzy, w tamtej przestrzeni takie rzeczy się zdarzały i wcale nie należały do cudów. A wy, zamiast cmokać z niedowierzaniem lepiej spytajcie własne dziecko, jak nauczyło się porządnie mówić, słuchając na okrągło przekleństw i bełkotu o piwie, piłce nożnej i cenach papierosów. Jeśli rozmawialiście czasem na inne tematy, najmocniej przepraszam.

Jeszcze raz wam powiem, że swoją niewiarę musicie zawiesić na wysokim kołku, nie ma innego wyjścia. Ash twierdził, że „ziemscy ludzie” - zupełnie jakby sam był nieziemski, albo jakby nie był człowiekiem, albo i to i to - a więc twierdził, że zwykli ludzie muszą zrobić projekcję znanego na nieznaną, żeby cokolwiek zrozumieć. No to robiłem na okrągło te projekcje, i pewnie dlatego w końcu wyszedłem na swoje.

Gnałem wtedy przez krzaki, co raz wpadając na wilgotne tuleje kwiatów, które odchyłały się z obleśnymi mlaśnięciami. Miałem nadzieję, że Amazonka została za murem ze zwichrowanego prawdopodobieństwa i dała za wygraną, albo że Ash ją wyłączył i odstawił do hangaru. Niestety, bardzo się myliłem, najwidoczniej mój pryncypał uważał, że powinienem to zrobić osobiście.

Ziemia zadrzała, trzasnęły miażdżone łodygi krzewów, zupełnie jakby galopował tabun wściekłych słoni, ale to była tylko słodka Xena. Tym razem nie strzelała, za to biegnąc od niechcienia uderzała w ziemię długachnym pejczem uzbrojonym w żelazne kulki na końcówkach sznurów, wyrrywając w ten sposób kępy murawy i łamiąc gałęzie. Gdy

biczysko gwizdnęło mi nad głową zrozumiałem, że uciekam wolniej niż ona mnie goni i że w ten sposób się nie wywinę. Powodowany bardziej desperacją niż rozsądkiem nagle zatrzymałem się i odwróciłem na pięcie, po czym zrobiłem dwa rozpaczliwe skoki w jej stronę. Odruchowa demonstracja ostatniej szansy - a nuż się przestraszy?

Nie przestraszyła się, ale osiągnąłem tyle, że też się zatrzymała, krzywiąc w zwycięskim uśmiechu metalizowaną maskę. Najpierw ćwiczyła pejczem po cholewkach swoich stalowych botów aż leciały iskry, potem zaatakowała.

Zakręciła biczyskiem, a linki śpiewnie przecięły powietrze o palec nad moją głową. Potem walnęła z góry, wzniecając chmurę kurzu i wyrrywając spory dołek o włos od mojej stopy. Trzecie uderzenie było miękkie, a sznur okręcił mi się wokół łydki. Wojowniczką leciutko pociągnęła i już jechałem po murawie na plecach czując jak kurtka idzie w strzepy.

Wtedy dotarło do mnie powtórnie, że te ćwiczenia są zupełnie na serio i że zginę marnie, jeśli natychmiast nie otworzę tutejszej zakamuflowanej zbrojowni. Wszak pracodawca nie ukrywał, że jego pupilka jest w stanie zrobić krzywdę, jeśli się odpowiednio nie zareaguje, tyle że aniołek zapomniał powiedzieć, co rozumie pod pojęciem „odpowiednio”.

Znów wysiliłem się, aż mi pociemniało w oczach, próbując przyłożyć agresorce falą zmniejszonego prawdopodobieństwa. Wyobraziłem sobie potężną falą tsunami, w której wszystko działo się odwrotnie: woda cofała się, ludzie wydostawali się z żywiołu, topielcy wylazili z morza i snuli się jak zombie. Coś drgnęło wokół, lecz działałem gwałtownie i niewprawnie, więc efekt okazał się słaby i mało specyficzny. Szyja baboluda wydłużyła się, głowa kilka razy podskoczyła i opadła z dźwiękiem krowiego dzwonka, zbroja na piersiach zamieniła się w Pańską Skórkę, stalowe cholewki rozděły się w balony, a blaszane stringi zwinęły się na kształt metalowego wióra, wylatującego z frezarki podczas obróbki żelaza skrawaniem. Spod stringów wyłonił się gąszcz czarnych włosów o grubości drutu z przemysłowego transformatora. Tak, kochani, pracowałem w fabryce, więc dupa Maryni kojarzyła mi się z fabryką. Rzecz jasna u was, moi drodzy, w takiej sytuacji kojarzenie zachodziłoby w odwrotnym porządku, i to jest na wskroś normalne.

W wyniku mojej akcji działały się jeszcze inne rzeczy. Trawa zaczęła zakwitać, fioletowe tubusy kwiatów nabrały połysku i teraz przypominały klarnety wyszykowane na koncert, a polatujące nad lasem szpaki rozpoczęły akrobacje do taktu gwizdanej przez siebie melodii.

Gorzej, że sam też sobie dogodziłem. Włosy na moich przedramionach zrobiły się czarne i kręcone, coś podejrzanego działało się z paznokciami, a trzecim okiem z czubka głowy widziałem chmurki na niebie. To jako żywo nie były przelewki, więc korzystając z chwilowego stuporu prześladowczyni, zajętej podziwianiem nowych szczegółów własnej fizjonomii, po raz wtóry rzuciłem się do ucieczki.

Gnałem na złamanie karku przez świecące zarośla, pełne szeptów i basowych dudnień, aż w prześwicie dostrzegłem pośród mgieł srebrnoszarą taflę jeziora. Skręciłem w tamtą stronę i bez namysłu skoczyłem do wody marząc o przemianie w rybę, ale lokalne generatory entropii niestety nie zadziałały po mojej myśli. Za to stwierdziłem nie bez przykrości, że zbiornik wypełniony jest wodą geotermalną o temperaturze zdecydowanie nieprzyjaznej wszelkiemu życiu, być może wyjąwszy termofilne bakterie bytujące we wrzących źródłach. Xenodium stało opodal na skarpie i patrzyło z radosnym uśmiechem, jak wyfruwałem ze zdradzieckiej toni i natychmiast wyskakuję z buchających parą spodni. Zdarłem z siebie także parzącą bluzę, po czym spazmatycznie chwyciłem haust powietrza.

Bodajże wtedy, gdy stałem nagi i parujący jak po łaźni, po raz pierwszy dotarła do mnie oczywista prawda, że w otwartej walce nie dam rady tej wiedźmie, wyspecjalizowanej w niszczeniu. Tak ją zaprogramowano i funkcjonuje bez zarzutu, ale... może da się zmienić to ukierunkowanie, jakoś chytrze przeprogramować maszynkę do zabijania? Tak, to była szansa! Jak nie kijem go, to kwiatkiem - może by tak po dobroci? Kto wie, czy babulec nie jest w środku dziewczynką złąknioną pogłaskania, po główce ale i po pleckach, a zewnętrzny pancerz nie ukształtował się pod wpływem wieloletniej traumy instrumentalnego seksistowskiego warunkowania? Freud domieszgowany Kafką, niekiepska miszkulancja, ale powinna się nadać. Taa, obu poczytywałem, może niezbyt dokładnie, ale wiem o co chodzi.

Przetarłem twarz i już odwzajemniałem jej uśmiech, a raczej na złośliwy grymas przepełniony Schadenfreude odpowiedziałem

radosnym szczerzeniem zębów. Jednocześnie rychtowałem wielkokalibrową gradientową mieszaną entropii i probabilizmu, starając się, aby epicentrum zmian znalazło się jak najbliżej mojej prześladowczyni.

Efekt przeszedł oczekiwania.

Tak na marginesie - wy teraz suszycie sobie zęby, mili czytacz, ale mnie wtedy zgoła z tą babą nie było do śmiechu. Fakt, sceneria bajkowo-groteskowa rodem z rolpleja, lecz reszta była prosto z realu, nie dało się niczego zresetować i zacząć od początku, tym bardziej nie dało się wyłączyć golema i pójść na piwo. Teraz opowiadam wam skecze i sam się z nich śmieję, ale wtedy narażałem prawdziwą i do tego własną skórę, do ciała. Dziś, jak już jestem bezpieczny, nieraz zachodzę w głowę, po jaką cholere to wszystko zrobiłem. Czyżby tylko dla Gladys?

No więc zagrałem na probabilijnej strunie, próbując wyczarować coś w rodzaju sonaty, oczywiście odpowiednio romantycznej. Nie uderzałem, nie walczyłem, za to pieściłem - tak chyba trzeba opisać ów eksperyment. Wyobraziłem sobie z detalami, jak żelazne ciało wojowniczkę subtelnie i zamienia się w cherubina miłości, który ma wszystko na swoim miejscu, młodziutkie i świeże.

Jak wspominałem, atak dosłownie zdruzgotał przeciwniczkę. Wydawało się, że Xena topnieje, wyposażenie odpadało, płyty pancerza robiły się coraz cieńsze i w końcu zamieniły się w zetlałe strzępy jedwabiu, które uleciały z wiatrem, giwery wpadły w trawę jak w bagno i znikły z krótkim mlaśnięciem, a po granatach pozostała tylko rdza, która osypała się wzdłuż wysmukłych ud. W końcu cały sztafaż komiksowego kiczu wydeletował bez reszty. Przede mną stała naga dziewczyna, skromna, lecz - wiercie - naprawdę warta grzechu.

Do momentu zniknięcia ostatniego kawałka żelastwa upajałem się zwycięstwem i nie w głowie były mi jakieś bara-bara, ale nie minęły więcej niż trzy oddechy, jak przypomniałem sobie o dyspensie udzielonej mi przez Gladys. Mówię wam, warunki do odświeżenia pamięci w tym kierunku były nad wyraz sprzyjające, bo nic nie zostało z wiedzy-berserkerki, natomiast miałem przed sobą przepiękne czarnowłose zjawisko płci żeńskiej. Fakt, że była trochę za wysoka, ale cóż to za przeszkoda, gdy obie strony dążą do jednego celu? Emocjonalną wypowiedź Gladys od początku traktowałem metaforycznie, no bo

przecież ani nie „napatoczyła się jakaś kurwosmoczyca”, ani nie też nie miałem uprzednio w planach „wybzykać jej tachionowym fiutem”. Wszystko odbyło się w jakiś normalny, oczywisty sposób, naturalną kolejną rzeczą.

Moje nowe ciało sprawowało się ciut lepiej niż własne, bo pełny wzwód osiągnąłem w pół sekundy - wydatny członek bryknął tak dziarsko w górę, że aż plasnął mnie w żołądek. Po kąpieli byłem nagi, więc bez zwłoki ruszyłem naprzód z ostro nastawioną kopią. Ale ona była szybsza. Skoczyła na mnie jak lwica, widocznie krew wojowniczką jeszcze nie zdążyła zmienić się w malinowy syrop. Zwarliśmy się w uścisku, ona chwyciła mnie za szyję, a ja zapamiętałem dusiłem jej kibić. Zakleszczyła uda wokół moich bioder, a łydki splotła na pośladkach.

Wpadłem w nią jak pociąg ekspresowy do tunelu, błyskawicznie i nie wiadomo kiedy, chyba tuż przed zwarciem, jeszcze jak leciała w moją stronę. To było mignięcie, wilgotne muśnięcie kropli letniego deszczu, skok w bańkę mydlaną. A potem od razu gwałtowne zapasy, napór tak silny, jakbyśmy chcieli nawzajem przeniknąć przez swoje ciała na drugą stronę, miażdżenie mięśni i ścięgien, napinanie łuków chrupiących kości. Wyścig po rozkosz i walka o dominację.

Ona w polach entropowo-stochastycznych przedzierzgnęła się w cudziowczynę, ale byłem pewien, że na wewnętrznych zrębach osobowości pozostała tym, kim była w istocie - wojowniczką i władczynią. Pozbawiłam ją insygniów władzy, więc próbowała podejść mnie inaczej, otumanić gorączką żądzą, a w końcu zeżreć przy kopulacji jak modlicha swojego samca, który po wydzieleniu nasienia nie stanowił niczego więcej ponad pożywny kęs białka. Ha, niedoczekanie! Nie na darmo teraz już kręciłem entropią równie sprawnie jak fiutem.

Gladys - pomyślałem sobie wtedy - moja miła Gladys, wiem że darujesz mi to fizjologiczno-fizykochemiczne starcie, w końcu używam mojej „tachionowej kopii” faktycznie jako broni. A raczej darowałaabyś, gdybym kiedyś opowiedział ci tę całą historię, jednak wiem, że jesteś mądrą kobietą i wcale nie będziesz jej ciekawa.

Genitalne zmagania przybierały na sile. Xena nagle szarpnęła się, chcąc powalić mnie na plecy i dosiąść. Taka musiała być jej normalna pozycja, górująca i dominująca, i tak pragnęła szczytować. Ja jednak wolałem po swojemu - nie tyle wolałem, co musiałem, wszak nie wolno

mi było zapomnieć, że odbywam trening i zarazem zaliczam sprawdzian.

Moja partnerka była dużą kobietą, ale jam też nie ułomek, zwłaszcza w nowej skórze. Pochyliłem się i mój rumak zaczął z niej uciekać, na co ona odruchowo przywarła do mnie biodrami, bo już prawie dochodziła. Dzięki temu jej tułów odchylił się od pionu i bez trudu mogłem położyć ją na plecach. Sapnęła za złością i próbował się podnieść, ale już zwałem się całym ciężarem i przygwoździłem ją do ziemi żelaznym sztychem. Jęknęła, a mnie wydawało się, że naprawdę przebiłem ją na wylot, przeszyłem swoją szpicą kobierzec łąki i dowierciłem się aż do wód geotermalnych. Ona jęczała ze ściśle frykcyjną częstością, a na koniec wydała dziwnie smutne westchnienie, ja zaś byłem przekonany, że smoczyca ma w trzewiach siarczany ogień. Muszę wam jednak wyznać, że nie było to specjalnie traumatyczne przeżycie.

Ta runda skończyła się moim zwycięstwem. Powstałem i przez chwilę syciłem się widokiem. Niestety, ciało Xeny wyglądało na zwłoki tylko przez chwilę krótszą niż mgnienie oka.

Jej mięśnie natychmiast stężały i zagrały pod aksamitną skórą. Wężowym ruchem wyrzuciła nogi w górę i wykonała akrobatyczne salto do tyłu, które zakończyła w pozycji stojącej, zwrócona do mnie twarzą. Zauważyłem, że na śniadym czole i policzkach pojawił się metalicznie opalizujący makijaż, a spojrzenie wąskich oczu nie wyrażało niczego prócz chłodnego zdecydowania. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób na jej nogach znalazły się stalowe boty. Gdzieś z trawy wyskoczyły blaszane węże i z wizgiem metalu uformowały stringi, które zakryły wciąż wilgotną płęć. Rdzawy wapor buzował nad szczotką traw, materializując się w girlandy granatów. Podręczne miotacze zawirowały w powietrzu i gładko wskoczyły w olstry. Gdy z kobierca zieleni wyłoniła się giwera wielka jak armata, a wojownicza wyciągnęła ku niej dłonie, wreszcie przełamałem stupor i zacząłem działać. Tyle że nic z tego nie wyszło.

Byłem bezsilny, czułem to każdą komórką ciała. Albo wypstrykałem się w tej cholernej babie, która podstępem wyssała ze mnie całą moc, albo utraciłem dostęp do broni Asha. Tak czy inaczej, przegrałem i już za chwilę, za sekundę, za mrugnięcie powieką - zginę, rozpylony na atomy w tachionowej serii. Po prostu wydarzy się nieszczęśliwy wypadek podczas treningu. Tak bywa, że w elegancki sposób eliminacji ulegają fajfusy bez odpowiednich kwalifikacji, jakoś trzeba dokonać odsiewu.

Xena zakręciła młynka olbrzymią giwerą, jakby to była dziecięca zabawka, przy czym kilka razy znalazłem się na linii strzału. Nic jednak się nie stało, bawiła się ze mną jak kot z myszą. Broń zakreślała koła, rysowała nad głową wojowniczkę symetryczne elipsy, metal błyskał w słońcu. Nagle giwera zatrzymała się w pionowej paradnej pozycji, a stalowe obcasy trzasnęły jeden o drugi. Amazonka stanęła wyprostowana jak struna.

- Spocznij - powiedziałem bez zastanowienia. Poziom granulocytów zgrywu w osoczu decyduje o odruchach, moi drodzy, wszak to jest sprawa oczywista. Gladys kiedyś wygłosiła opinię, że nigdy nie dorosnę, niepoważny będę nawet na łożu śmierci. Najwyraźniej coś takiego właśnie miało miejsce.

Ale berserkerka ciągle nie strzelała. Za to posłusznie wykonała komendę „spocznij”, wsparła giwerę na ramieniu, zrobiła w tył zwrot i odmaszerowała. Lekkim, cichym krokiem, bez żadnych tam popisowych słoniowatych przytupów i innych efektów specjalnych.

Stwierdziłem, że muszę usiąść, i to natychmiast. Obraz zamazywał się, powietrze stało się za rzadkie do oddychania. Klapnąłem na trawę i oparłem się plecami o jakiś pień.

Tym pniem była noga mojego pryncypała. Odczołgałem się, bąkając coś pod nosem. Ash skinął głową.

- W porządku - stwierdził. - Nadajesz się. Jesteś gotowy do akcji. Jutro ruszamy na Procjona.

\*\*\*

Pierwsza maszyna nadleciała tak szybko, że nawet nie byłem pewien, skąd - po prostu zmateriałizowała się w moim sektorze pola Hillary'ego, w strefie którą miałem czyścić. Bez trudu rozwaliłem ją entropowym kopem o średniej energii.

Znajdowałem się w stanie wysokiej gotowości bojowej, a wtedy, moi drodzy, percepcja jest nieco odmieniona. Gwiazdy rejestrowałem jako kolorowo oświetlony deszcz, który ciągle padał, choć żadna jego kropla jeszcze nie spadła. Kosmiczne tło sprawiało wrażenie czekoladowego budyniu z permanentnie wykwitającymi fraktalnymi ziarnistościami. Na pierwszym planie tkwił najciekawszy obiekt, a mianowicie gazowa planeta-olbrzym, jasnofioletowa w środku tarczy, ciemniejsza i



rozmywająca się w kierunku brzegów. Chyba właśnie od tego globu kolizyjnym kursem zbliżył się berserker, którego rozniosłem w chmurę pyłu.

Od razu wiedziałem że to bers, i miałem pewność że muszę go dopaść. Odwrócenie gradientu entropii może mieć niezwykle interesujące skutki, jak samoorganizacja układów, wzmocnienie funkcji życiowych organizmów czy podwyższenie „życiorodności” materii. Ale jeśli zaaplikować wielką dawkę, a celem będzie złożona struktura, nierównomierny impuls w różnych częściach obiektu spowoduje jego natychmiastowy rozpad. Maszyna, którą zaatakowałem, eksplodowała w przeraźliwie białym błysku, z którego wykwitły różowoniebieskie protuberancje, ciemniejące do głębokiego fioletu w miarę rozrostu od epicentrum. Nie ma co, tak ładnie to wyglądało, że aż poczułem buzowanie adrenaliny.

Wykonywałem lot patrolowy w przezroczystej kapsule podobnej do kropli wody. Jej napęd, a także broń rozlokowane zostały gdzieś w innych częściach sektora, więc ich nie widziałem. Byłem tylko ja, delikatne jak mgła odbicie mojej nowej twarzy w szklistej ścianie, tańczący rój diamentowych gwiazd, planeta-olbrzym emanująca przygaszony blask i krążące w mroku oszalałe maszyny, które należało zniszczyć, zanim zrobią komuś krzywdę.

Ze skokowych zmian rytmu oscylacji gwiazd wnioskowałem, że upływ czasu nie był jednostajny. Zapewne dlatego nie czekałem długo. Następna maszyna była większa i musiałem użyć znacznie większej energii, żeby wywołać pożądany efekt. Gdy byłem już na skraju wytrzymałości, wreszcie kadłub rozdał się w tylnej części i rozpadł na fragmenty, a uszkodzony statek przez chwilę dryfował w polu widzenia, po czym gwałtownie przyspieszył i znikł. W tym samym momencie gwiazdy również zmieniły szybkość ruchu. Przez chwilę miałem wrażenie, że moja bojowa kapsuła pędzi przez kosmos w poszukiwaniu pojedynczych wrogich jednostek. Dziwne omamy w stanie koncentracji.

Wyczerpany, opadłem na żelowe oparcie. Oddychałem jak po biegu, ale nie mogłem pozwolić sobie na beczynność, bo gdzieś przez przestrzeń pędziła w moją stronę kolejna maszynaria nafaszerowana śmiercią. Coraz większa odporność atakujących statków na pole entropowe mogła wynikać albo z zastosowania przez wroga zapór

ekranujących, albo buforów pochłaniających. Niewątpliwie miałem do czynienia z kolejnymi generacjami berserkerów, a więc powinienem otrzymywać lepszą broń defensywną, aby im sprostać. Niestety, na tym etapie akcji nie miałem kontaktu a Ashem, więc musiałem radzić sobie sam. Pozostawało mieć nadzieję, że problem nie wynikał z niedopatrzenia i że dysponuję kluczem uniwersalnym, a więc moja obrona powinna być skuteczna wobec kilku generacji wrogich maszyn. Lepsze wyjaśnienie nie przychodziło mi do głowy.

Nie zdążyłem ułożyć planów obrony, bo już pojawił się kolejny statek. Podchodziły pojedynczo, jakby próbkowały moją dzielność bojową. Trzeci obiekt był mały i kojarzył się z ruchliwym szerszeniem, a gradientowanie entropii nie miało na niego żadnego widocznego wpływu. Podobnie manipulacja prawdopodobieństwem nic nie dała, bo zapewne wzrastało ono po równo dla zdarzeń dla mnie korzystnych, jak i niekorzystnych. Spociłem się jak mysz w kocich pazurach, bo drań podchodził coraz bliżej. Nagle strzyknął jakimś rodzajem energii, która wyglądała na żółty monochrom laserowy. Promień macnął osłonę kapsuły wzbudzając dudniący rezonans. Ściany najpierw straciły przezroczystość, potem rozpały się karminową czerwienią. Zacisnąłem zęby, czekając na liźnięcie żaru, ból palonej skóry i na ostatni krzyk duszy, ale na nic takiego nie nastąpiło. Najwidoczniej na razie ekrany wytrzymały napór. Wtedy desperacko uderzyłem na odlew zespoloną falą mieszanego gradientu entropowo-stochastycznego, w którym obie funkcje rosły, a więc - jak wierzyłem - wybiórczo wzrastało prawdopodobieństwo chaosu.

Płomień liżące ściany kapsuły najpierw przygasły, potem opadły i znikły. Obca jednostka znajdowała się tuż obok, widziałem wyraźnie koncentryczne pasy na jej kadłubie i końcówki czujników, przez które moje urządzenia szpiegujące mogły zajrzeć do wnętrza. Zobaczyłem owalną plamę kwarkowego centkompa, włókna przewodów miałkich jak puch, i jakieś rozsypujące się struktury o dużej symetrii początkowej. Odczułem niepokój, potem nieprzyjemny lęk, więc wycofałem się. Maszyna wojenna intruza rozpadała się, centralny mózg umierał, destrukcja ogarniała kolejne części układu. Jeszcze dwa oddechy i po lśniącej powierzchni bojowego szerszenia rozpełzła się pajęczyna pęknięć, po czym kadłub rozsypał się na srebrzysty proszek. Opalizująca

chmura dryfowała w próżni, przesłaniając tarczę planety.

Mimo kolejnego zwycięstwa nie czułem się dobrze. Coś było nie tak. Zamknąłem i otworzyłem oczy. Gazowy olbrzym zmienił kolor na błękitny, a po jego powierzchni... nie, to musiało być złudzenie, bo gdy przyjrzałem się dokładniej, niczego niezwykłego nie dostrzegłem, a tarcza globu wciąż miała błękitnoszare zabarwienie. Pewnie rozproszony w przestrzeni pył w specyficzny sposób filtrował światło.

\*\*\*

Pośród drgających kropli gwiazd pojawił się stabilny, świecący na biało punkt. Powiększał się szybko, lecz nie wzbudzał niepokoju. Cicho jak duch nadleciała bliźniacza kapsuła, w której tkwił Ash, przypominający owada zatopionego w szklanej łożeczce. Kapsuły zetknęły się, ich powierzchnie ugięły się i odbiły, lecz przy ponownym dotknięciu bańki z głośnym cmoknięciem połączyły się w jedną i Ash stanął obok mnie. Wyszczrzył się w swoim oryginalnym uśmiechu, i w tym momencie bardziej niż kiedykolwiek przypominał skarłatego tyranozaura, kiepsko przebranego za człowieka.

Pochwalił mnie uprzejmie. Nie mogłem narzekać, szefem był niezłym, miewałem gorszych.

- Dobrze sobie radziłeś - oznajmił. - Potrafisz twórczo wykorzystywać zaawansowane typy uzbrojenia, i to jest sprawa kluczowa, masz rozumienie?

Miałem, więc zgodziłem się nieskromnie.

- Owszem. Używam technologii, ale jej nie rozumiem. Sterowanie gradientem entropii, zabawy z prawdopodobieństwem, kosmiczne sondy jak szklane kulki. Albo zafundowałeś mi *psychodelikum forte*, albo, ehm, mamy coś w rodzaju bliskiego spotkania czwartego stopnia.

Zaśmiał się szczekliwie. Nie potrafiłem ocenić, czy tym śmiechem nie pokrywał zmieszania.

- Coś ty, człowiek. Nikt z użytkowników nie rozumie zasad działania *top techu*, to normalne. A tu mamy militaria, dodatkowo objęte tajemnicą. Zwłaszcza że przemieściliśmy się w inne rejony.

- Nijak nie chwytam, szefie.

- Chodzi o inne rejony czasoprzestrzeni. Już mówiłem...

- Chcesz pewnie powiedzieć, że skoczyliśmy mały tysiączek latek w

przyszłość?

Zachnął się.

- Znów próbujesz wtłoczyć cały wszechświat w kilka znanych ci pojęć. To bardzo trudno zrobić, tego w ogóle nie da się zrobić. Wy, ziemscy ludzie, mówicie: albo podróż w czasie, albo wszechświaty równoległe, albo ruch przez piąty wymiar. Same fałszywki, mój drogi, takie uproszczenia są od początku błędami. Nie ma możliwości spoglądania na nasz świat w przeszłości czy przyszłości, bo ów świat stanowi proces jednostkowy. Jednak możliwe jest takie manipulowanie wymiarem czasu, żeby doświadczyć świata w różnych wariantach. Te warianty charakteryzują się różną gęstością prawdopodobieństwa i nachyleniem gradientu entropii...

- Które możecie kształtować!

Machnął ręką.

- Każdy potrafi, ty też się nauczyłeś, to tylko technologia. Ale na poziomie mrówek, a ja mówię o procesach na skalę galaktyk! Te jesteśmy w stanie tylko obserwować, podróżując wzdłuż dostępnych osi w wyniku komponowania zmian funkcji zespolonych i uwikłanych. Nie ma podziału na wycieczki temporalne i podróże po światach równoległych, są za to hybrydy, zawierające te zjawiska w różnych udziałach, a także mające inne cechy, których już nie potrafisz przyrównać do znanych ci pojęć. Owszem, możemy wykazywać „tam” pewną aktywność w interesujących nas aspektach, ale przełożenia tych działań na pierwotną rzeczywistość nie da się dokładnie ustalić - raz ono jest w pewnym stopniu zauważalne, zwykle jednak według mierzalnych parametrów pozostaje żadne. Raz mamy „tam” do czynienia tylko z teoretycznym obrazem pewnych możliwości, a innym razem ze stosunkowo spójnym światem o dużej gęstości prawdopodobieństwa, który jest dla nas niemal realny. Powtarzam: „dla nas”, bo często docieramy do światów na wskroś solipsystycznych. Mimo wszystko te światy mogą nas zmieniać, co często równa się unicestwieniu. Jednak paradoks dziadka nie istnieje, bo w przeszłości oglądamy tylko warianty, na które i tak nie mamy wpływu. Przyszłość jest bardziej „miękką”, choć i tak stosunkowo bezwładna, ale w szczególnych przypadkach można próbować drobnych korekt.

- Zaraz - bąknąłem, kątem oka obserwując szkliste zarysy fotela-siedziska. Chyba coś się tam poruszyło, może następny bers? - O ile

nadażam - kontynuowałem - to terazniejszości i tak nie skorygujesz, bo nie pogrzebiesz w przeszłości?

- Słusznie! - ucieszył się Ash, wyglądał jak dumny belfer. - Oto co zrobiła nasza korporacja *Softguard*: zajrzeliśmy w matematyczny model świata dalekiej przyszłości, mówiąc w uproszczeniu. Wydawało się, że tam będą w użyciu broni nowej generacji typu berserkerów, niesłychanie groźne, i to nie tylko dla przypisanych im wrogów. Więc wybraliśmy się w nieco bliższą przyszłość, żeby zmienić profil rozwoju tych broni i w ten sposób skorygować dalszą przyszłość. Z antycypacji wynika, że mamy spore szanse. Nawet niewielkie zmiany mogą być korzystne...

- Ha, szefie, tu mam pytanie: czy fizyczne niszczenie pojedynczych produktów coś da, jeśli pozostaną fabryki? Nie wiem, może coś przeoczyłem...?

Wzruszył ramionami i odwrócił się bokiem. Oparł rękę o fotel, za którym jakiś jasny obiekt poruszył się i znikł. Słowo daję, że coś tam było. Rozejrzałem się po kapsule, ale niczego nie dostrzegłem.

- Nie obawiaj się, teraz chronią nas inni - mruknął niecierpliwie. - Nie, oczywiście, przecież nie ty jeden jesteś zaangażowany w projekt. Działamy na różnych frontach, także propagandowo-edukacyjnym, oraz stwarzając projekty konkurencyjne, podejmujemy różne sekretne akcje. Ale nie umniejszaj swojej roli, bo wykazanie niskiej przydatności broni przez zademonstrowanie jej łatwego zniszczenia jest z pewnością celowe.

- No dobrze - zgodziłem się. - A więc ludzie z przeszłości mogą mieć wpływ na swoją przyszłość. Weźmy takiego Einsteina, wszak był genialny, może on teraz coś kombinuje w przeszłości, żeby wpłynąć na swoją przyszłość, a naszą terazniejszość? Czyżby mógł nam suflerować?

- Nie zrozumiałeś - burknął Ash. - Przeszłość dla nas jest skamieliną, a twój Einstein tkwi w tej skale w postaci odcisku mózgu geniusza. Gdyby kiedyś, jak jeszcze żył, potrafił poruszać się wzdłuż hiper-osi, może byłby w stanie coś skorygować w naszym świecie... ale nie dowiemy się, czy to zrobił, bo przecież nie odnajdziemy go we wszystkich warstwach przyszłości. Natomiast dla nas przyszłość jest funkcją, stanowi świat modyfikowalny na niskim poziomie energii, czyli w szczegółach. Lecz nawet mała zmiana, nieważna w dużej skali, może być istotna w małej,

czyli dla nas. Uważaj, wojowniku!

Coś białego poruszyło się u moich stóp. Tym razem nie znikło, lecz skoczyło mi do gardła.

\*\*\*

Odruchowo zrobiłem unik, uderzyłem plecami w ścianę kapsuły, straciłem równowagę i osunąłem się na podłogę. Dusłem się, szpony napastnika zaciskały się na mojej krtani. Młóciłem ramionami, potem usiłowałem oderwać bestię od siebie, ale dłonie wciąż ześlizgiwały się z gładkich piór. Zamknąłem oczy, desperacko macając gardło.

Dziwne, ale nie wymacałem ani szponów, ani korpusu atakującego ptaka. Wielkością pasował do sokoła, jak zauważyłem w chwili ataku. Opuścił na chwilę, ale musi czaić się w pobliżu.

Ostrożnie uchyliłem powieki, i koszmar zaczął się od początku. Białe skrzydła tłukły mnie po twarzy, uścisk miażdżył krtani, nie byłem w stanie złapać oddechu. Ale jakąś częścią mózgu zarejestrowałem, że dłonie przechodzą na wylot przez ciało napastnika jak przez mgłę, na szyi też nic nie wyczuwałem. Czyżby hipersugestia?

Zacisnąłem powieki i podniosłem się, ciągle osłaniając gardło. Nic się nie działo. „To musi być jakaś kretyńska sugestia” - powtarzałem półgłosem, powoli otwierając oczy. Ptaszysko wciąż trzepotało skrzydłami tuż przy mojej twarzy, ale mogłem dość swobodnie oddychać. Kilka razy przesunąłem dłonią przez obraz, nie napotykając na opór. Udało mi się swobodnie odetchnąć. Wtedy intruz znikł.

- Chciałem zademonstrować, do czego są zdolni - wyjaśnił Ash. - Też mają broń.

Wypuściłem powietrze, próbując zachować spokój.

- Czyżby to był test niszczący, szefie? - zagadnąłem.

- Nic ci się nie stało. A może chciałbyś nadzieć się na taką psychodestrukcyjną lancę bez przygotowania? Niezły jesteś, kolego, ale nie dałbyś rady, masz wyobrażenie?

- Mam, cholera! Miało być łatwo, takie sobie sprzątanie... Pamiętasz umowę?!

Pryncypał wy dobył z kieszeni matowy arkusik, zadrukowany maczkiem.

- Oto ona. Nie ma w tym tekście słowa „łatwo”.

- Mówiłeś...

- Tak, pamiętam, ale zagrożenie jest rzeczą względną. Teraz szanse niepowodzenia oceniam na mniej niż jeden procent, ale jak chcesz, możesz zrezygnować na każdym etapie. Zwracasz dziesięć tysięcy nowych dolców i odstawiamy cię prosto do stolika w *Monkey's Tavern* w twoim rodzinnym miasteczku. Więc?

Złość zgasła jak świeczka na wietrze. Proponowane przez Asha rozwiązanie, mimo pewnych zalet, nie było tym, o czym marzyłem. Wyobraziłem sobie minę Gladys, gdy komunikuję jej, że wciąż nie mam pracy, za to przypadło mi w udziale dziewięć kawałków długu. Odczekałem trzy oddechy, żeby nie wyjść na durnia, po czym wyczarowałem kwaśny uśmiech.

- Nie myślałem o zrywaniu umowy, szefie. Rozumiem, że przyszła pora na drapieżne ptaki?

Ash wyszczerzył zęby.

- Zagnieżdżona funkcja entropowa pobudziła część twojego śródmózgowia, aktywując redundancje układu limbicznego, stąd stymulacja wzrokowo-emocjonalna. Skutkiem była reakcja wyższego ewolucyjnie płata potylicznego, odpowiedzialnego za interpretację bodźców wzrokowych...

- Przepraszam, ale nie jestem przekonany, czy właśnie o to pytałem.

Rozłożył ręce.

- Mówiąc krótko, nie wiem - przyznał. - Popatrz na to.

Przy przejrzystej tafli ściany, na tle tańczących gwiazd, stała moja matka.

To było naprawdę nie *fair*. Amazonki, wojenne sondy, fantomy drapieżników, zgoda, w porządku. Ale skąd wiedzą o moim osobistym życiu? Jeśli wyprodukują berserkera o fizjonomii Gladys, mam ją zabić? Co będzie, jeśli wtedy zniszczę część jej samej w bliższej przyszłości niż ta, w której teraz jestem?

- Ty tutaj? - spytałem, robiąc mały krok naprzód.

Wtedy odwróciła głowę, a jej twarz zamieniła się w warczący pysk szakala. Szarpnęła się w moją stronę, poczułem zapach zwierzęcia i owionął mnie gorący oddech. Wyciągnąłem rękę, która zagłębiła się w strefie mętnego światła jak w brudnej wodzie. Końce palców zaszczypały, po czym obraz znikł.

- Takie rzeczy też potrafią zrobić - wyjaśnił Ash. - Niby niewiele, broń niedestrukcyjna, ale bywa groźna. Pokazałem ci przykłady skopiowane z dawniejszych starć i przestrojone na twój profil. W zasadzie nic takiego, trzeba przemóc w sobie strach, odrazę, sentymenty, no, te wszystkie człowiecze emocje balastowe.

- Balastowe? Więc czemu nie weźmiecie maszyny, innego berserkera? Anty-berserkera?

Pokręcił głową.

- Ludzie wychodzą taniej, już mówiłem, trzeba posprzątać. Spośród nich tacy jak ty najlepiej się nadają.

- Tacy...?

- Racjonalni, praktyczni. Wiesz, co to są końskie okulary?

- Nie.

- Więc się nadajesz.

Poklepał mnie po plecach i przesiadł się do swojej sondy, która wypączkowała ze ściany jak dzieląca się komórka bakterii gruźlicy. Naprawdę, bakterie gruźlicy są też przezroczyste i błękitne, po prostu - piękne. Ostatnio ekolodzy chcieli je wziąć pod ochronę jako ginący gatunek.

\*\*\*

Rozwaliłem ich kilkanaście, może dwanaście, a może piętnaście, pewnie bliżej piętnastu. Bywało, że z oślepiających błysków eksplozji wysuwały się macki ciemniejących protuberancji, albo statek w jednej chwili zakwitał srebrzystą chmurą pyłu. Najczęściej jednak zagłada wojownika była mało spektakularna - jednostka traciła sterowność i zwyczajnie odpływała, zmniejszała się do punktu i znikła pośród tańczących gwiazd. Mózg statku umierał albo blokował się, co dla mnie wychodziło na jedno. Raz nadleciała eskadra złożona z kilku bersów i musiałem się solidnie napracować, zanim dałem im radę. Nabierałem wprawy. Poczucie siły było przyjemne, ale nie mogłem pozbyć się wątpliwości. Dlaczego stale szturmują na jednej linii, jakby zależało im na zgładzeniu właśnie mojej skromnej osoby? Powinny wałęsać się jak wściekłe psy, wtedy musiałbym tropić je jak hycel, tymczasem to one urządzały na mnie polowanie. Kiepsko na tym wychodziły, ale nadal wytrwale pchały się w objęcia kostuchy.



Próbowaly zaskoczyć mnie zwidami dzikich zwierząt, zbirów z nożami, a także znanych mi ludzi - raz nawet przybył Ash we własnej osobie, ale jakiś karykaturalny, z gębą wielką jak hipopotam i zębami przypominającymi kostki domina. Pewnie wróg potrafił jakoś czytać zakodowane w mózgu wyobrażenia, a nie moja wina ani zasługa, że tak kiepsko to wychodziło. Najgorsze były owady - dużo wysiłku kosztowało mnie przetrzymanie szarzy kilkuset tarantul, a każda była wielkości pięści i obrzydliwie włochata. Zamykanie oczu niewiele pomagało, bo doskonale wiedziałem, że one tu są, rozłazą się po kabinie, chodzą po mnie. Nawet czułem ich chitynowe nogi na skórze. Brr.

Co by nie gadać o ich arsenale, ja dysponowałem lepszą bronią. Ba, to była broń zupełnie innej generacji. Mimo tego masowe pompowanie entropowe i probabilistyczne nie na wiele się zdało, widocznie mieli nieselektywne osłony czy bufory, albo wynaleźli rodzaj dyfrakcji kompensującej w dużej skali. Ash mi trochę tłumaczył, mówił też o echu, ale nie pytajcie mnie, co to wszystko znaczy. Echo w przypadku entropowych gradientów to zmiana o niewielkim natężeniu, inicjująca śladową modyfikację funkcji po drugiej stronie ekranów, czyli coś w rodzaju kwantowego efektu tunelowego. Raczej nie należało spodziewać się takich fajerwerków jak olśniewające eksplozje ze względu na małą moc sygnału, ale za to wpływ na słabe impulsy elektryczne był znaczący. Wiedziecie, kochani, że wasze szacowne mózgi funkcjonują dzięki przekazywaniu milionów takich impulsów na sekundę, a każdy komputer dowolnego typu będzie natychmiast wisiał, jak namiesza się mu w przewodzeniu sygnałów. Dokładnie to robiłem - wprowadzałem małego trojana w postaci monotonicznie rosnącej funkcji entropowej z równoległe rosnącym prawdopodobieństwem, czyli mówiąc po ludzku generowałem chaos w każdym mózgu, elektronicznym czy biologicznym. Człowiek od razu wpadłby w stupor albo w beznadziejną depresję, a komputer mógł albo oszaleć, albo się zawiesić, innej możliwości nie było. Czasem uruchamiała się automatyczna procedura wysadzenia statku, gdy istniało wbudowane zabezpieczenie przed przejęciem obiektu przez wroga.

Byłem już zmęczony, kiedy przyszedł Blessar. Może właśnie dlatego nie rozwaliłem go od razu, a może powodem było zaskoczenie. Nie ma co, trochę się zdziwiłem, kiedy zamiast drapieżnego nosorożca, hieny

wielkości krowy czy setki jadowitych trylobitów złożył mi wizytę siwy dżentelmen koło pięćdziesiątki, ubrany co prawda nie w garnitur, lecz w wojskowy kombinezon, za to kompletnie bez broni. Dawno nie miałem do czynienia z kimś, kto nie dźwiga tachionowej giwery albo nie wyszczerza półmetrowych kłów.

- Dlaczego to robisz? - zagadnął bez wstępu.

Wytrzeszczyłem na niego oczy, ale nie zmylił mnie, pozostawałem w pogotowiu. Broń kierowałem na statek, ponieważ on sam był tylko projekcją.

- Nowy kamuflaż, odwrócenie uwagi - mruknąłem. - Coś rychtujecie, więc trzeba kończyć...

- Nie, poczekaj! - Przybysz przerwał mi gwałtownie. - Nazywam się Blessar, jestem człowiekiem i pilotuję tamten myśliwiec. Chcę porozmawiać.

- Kłamiesz - warknąłem. - Niszczę bezzałogowe berserkery, oczyszczam strefę. Kim naprawdę jesteś i skąd się tu wzięłeś?

- A ty? Tak jak przypuszczałem, też jesteś człowiekiem. Więc używają ludzi!

Projekcja falowała i nie była najlepszej jakości, ale zauważyłem, że twarz fantomu wyrażała emocje. Strach. Złość. Zdumienie.

Musiałem go sprawdzić. To nie był najlepszy pomysł, bo narażałem się na niebezpieczeństwo, ale nie było innej możliwości. Zapuściłem szpiegów przez kanały obserwacyjne obcej jednostki i zobaczyłem go. Blessar, człowiek, siedział w fotelu pilota i rozmawiał ze mną przez swoją projekcję.

Jednocześnie zauważyłem, że sześć radiatorów monochromatycznych dużej mocy ogniskuje wzmocnienie interferencyjne na mojej kapsule. Nie miałem pojęcia, czy osłony wytrzymają taki rezonans. Musiałem go zabić, żeby dalej żyć. Musiałem zniszczyć statek z ludzką załogą. I zrobiłem to.

Wyzwoliłem kaskadę entropowo-probabilistyczną i natychmiast skokowo przemieściłem swoją kapsułę. Przez chwilę nic się nie działo, po czym zaatakowana jednostka eksplodowała w błękitnym rozbłysku. Ramiona fioletowo ciemniejących protuberancji rozchodziły się spiralnie jak na animowanym obrazie Galaktyki.

Tam był człowiek! Może wcale nie chciał użyć broni, tylko się

zabezpieczał? Cóż, jak mierzą w ciebie z pistoletu, masz prawo wystrzelić.

Może inne berserkery, które zniszczyłem, też miały ludzką załogę? W jednym z pierwszych atakujących statków podczas rekonesansu dostrzegłem niewyraźny obraz kwarkowego centkompa, a obok jakąś owalną plamę - może to była ludzka twarz?

Poczułem, jak włoski podnoszą mi się na ciełe, a w gardle rośnie zimna klucha. Po co tu jestem? W co dałem się wrobić?

Żeby zarobić, odpowiedziałem sobie natychmiast. Zarobić i ożenić się z Gladys, mieć przystań i spokój. Mieć dzieci, europejski wóz, dom z ogrodem i basenem, psa i teleskop, żeby wieczorem popatrzeć sobie w gwiazdy. Nie robiłem nic złego, niszczyłem wycofaną z użytku broń, rozminowywałem przedzielony mi sektor przestrzeni. Widziałem projekcje ludzi, także mojej matki, straszły mnie drapieżniki i monstrualnej wielkości robactwo. Wewnątrz tamtego statku też mógł tkwić fantom, kamuflaż polegał na wytworzeniu kaskady fantomów, jeden z drugiego, jak ruska *babushka*. Tak było! Podpisałem urzędową umowę na sprzątanie.

Obejrzałem się. Stygnące resztki statku Blessara opadały na planetę. Planeta była teraz błękitna, z wyraźnie widocznymi zgęstkami chmur i prześwitującymi ciemniejszymi obszarami o granatowej barwie.

Potem przyszedł ból. Jeszcze nie zdążyłem tego wszystkiego przetrwać, gdy padł cios.

Zostałem zaatakowany tak nagle, że nie miałem żadnej możliwości obrony. Biała postać doskoczyła z boku i w tej samej chwili otrzymałem potężne uderzenie w twarz. Ból rozpełzł się tysiącem strug i strużek, dotarł do samego dna tkanek, powędrował wzdłuż najcieńszych nitek nerwów, przemknął przez żyły i dowiercił się do naczyń włosowatych. Jego harpunowate ostrza dobiły do najgłębszych zakamarków, po czym cofnęły się, wrywając to wszystko, co było mną. Ból był tak silny, że omal nie straciłem przytomności, ale na szczęście trwał krótko.

Potem unosiłem się w szarej, bezbarwnej przestrzeni - przez godzinę? dzień? rok? Nie cierpiałem, nie odczuwałem żadnych bodźców, ale też nie było mi ich brak. Trwałem.

\*\*\*

Zasiedlanie własnego ciała było przyjemne, bo powracałem do dobrze znanego domku. Bez pośpiechu rozlokowałem się na wszystkich piętrach i poziomach. Wydawało mi się, że jest ciasniej niż poprzednio, ale i tak komfortowo, taka hotelowa obniżka z pięciu do czterech gwiazdek.

Dźwignąłem głowę, która spoczywała na złożonych dłoniach. Przedemną stała szklanka z niedopitym piwem, przy sąsiednich stolikach tęgawe kobiety jadły frytki, mężczyźni palili, dzieciaki wcinały hamburgery i obrzucały się plasterkami pomidorów. Z kuchni dochodził intensywny zapach *curry* i przypalonego oleju. Z bolesną szybkością zanurzyłem się w trywialnej rzeczywistości.

- Minęło pięć minut - powiedział Ash. Dopiero teraz go zauważyłem, chociaż siedział tuż obok przy tym samym stoliku.

- Przepraszam, ale... przysnąłem - mruknąłem.

Jak nic urwał mi się film, skurczybyk musiał dosypać dragów do piwa. Miałem idiotyczne wizje, niektóre całkiem przyjemne, inne męczące. Trzeba przyznać, że wszystkie były wyraziste aż do bólu.

- Nie przysnąłeś. Twoje ciało znajdowało się w anabiozie typu *split*. Upłynęło pięć minut czasu lokalnego, a ty odpracowałeś pół roku jako *bershunter*. Umowa właśnie wygasła.

- Chcesz powiedzieć, że to wszystko... - zacząłem ostrożnie.

- Tak. Wyjrzałeś poza swoje podwórko. To... musiało być trudne.

Był lakoniczny. Właściwie mógł wstać i odejść, aż dziwne, że tego nie zrobił. Ja ze swojej strony nie miałem zamiaru nagabywać go w sprawach oczywistych. Wolałbym zadać kilka pytań, ale też tego nie zrobiłem.

Ująłem szklankę, ale natychmiast ją odstawiłem. Zapach *cider pinku* był jeszcze gorszy niż smak.

Ash chyba potrafił czytać w myślach, bo nachylił się nad stolikiem i zapytał półgłosem:

- Pamiętam o umowie, ale pomyśl o urzędach podatkowych. Mam rozumienie tych spraw. Co im powiesz?

No, wreszcie zaczął mówić na rozsądne tematy. Byłem przekonany, że sprawy związane z podatkami powinny być na czysto wyprowadzone przez pracodawcę. Poza tym coraz bardziej denerwowało mnie pastwienie się nad słowem „rozumienie”, jakby już nie było w słowniku niczego innego.

- Miało być legalnie, jak mi się zdaje - zauważyłem.

- Oczywiście, wszystko będzie, tak. Tyle że mamy tajne programy, do których nie wolno dopuścić wężących dziennikarzy. Będzie w porządku, dotrzymam słowa, tak?

Żywiłem coraz większe wątpliwości. Cóż, przeżyłem kilka nieziemskich przygód w światach o nieokreślonym współczynniku wirtualności, miałem chwile radości parzącej duszę, ale też zwierzęcego bólu, być może groziło mi poważne niebezpieczeństwo, lecz w końcu wyszedłem bez szwanku. To wszystko zajęło mi raptem pięć minut życia. W kieszeni miałem tysiąc baksów i one czuły się tam całkiem dobrze.

Podniosłem się.

- Chciałbym już pójść - oświadczyłem. - Przecież wywiązałem się?

Nie podał mi ręki, za to oparł dłoń na ramieniu.

- Jesteśmy zadowoleni. Wszystko jest w dobrym porządku.

Jasne, że porządek z definicji powinien być dobry, chociaż nie zawsze tak jest. *Ordnung muss sein!* Najmita dostał zadanie przepędzenia szcurów, a zamiast nich wypłoszył jemiółuszki i sprawnie je powystrzelał. Powstał nowy układ, który też jest jakimś porządkiem.

W możliwie mało ostentacyjny sposób wyswobodziłem ramię, skinąłem głową i skierowałem się w stronę wyjścia. Zatęskniłem za Gladys i miałem chęć do niej zadzwonić, ale wiedziałem, że dopóki nie znajdę dobrze płatnej pracy, sprawa pozostaje beznadziejna.

\*\*\*

Rozmawiałem z Gladys. Niełatwo przyszła mi decyzja, żeby się do niej odezwać, ale jeszcze trudniej było wytrzymać te kilka dni spacerowania wokół telefonu.

Jasne, że rozmowa nie należała do przyjemnych. Nie mogłem pisać ani słówka o pracy którą odwaliałem dla Asha, chyba że chciałem wyjść na błaznującego durnia, więc siłą rzeczy ograniczyłem się do słuchania. Wiercie mi, było czego posłuchać.

Najpierw dowiedziałem się, jak poważnie traktuję swoje obowiązki, życie w ogóle, a w szczególności jej osobę i wspólne plany. Potem, jak już się rozgrzała, zaczęła analizować moją psychikę, efektywność kontaktu między półkulami mózgowymi - nie, słówko „schizo” nie padło, ale było coś o sprawności przewodzenia impulsów - w końcu wywiodła moje na

wskroś oryginalne cechy z nadwerężonej sekwencji genetycznej przodków, aż wreszcie skupiła się na problemie przekazywania tychże cech mojemu ewentualnemu potomstwu. Weszła na tak wysokie „ce”, że coś musiało się święcić, no i rzeczywiście - nagle spuściła z tonu i wyznała mi nie bez odrobiny zawstydzenia, którego nie była w stanie ukryć, że spotyka się z Goddy'm. Nie posiadała się ze zdziwienia, że nie wiem, kim jest ów dżentelmen - przecież Godwin to profesor Uniwersytetu Yorkshire, przystojny szpakowaty mężczyzna na dożywotniej posadzie *tenure*, poważnie myślący o życiu, pracy i średnich rocznych dochodach. Nie, to nic poważnego, tak się tylko spotyka żeby zapełnić czas i porozmawiać o ekologiczno-ekonomicznych aspektach dalekomorskiego rybołówstwa, bo Godwin jest w tej dziedzinie ekspertem i autorytetem. Jak usłyszałem o tych „aspektach”, odczułem ogromne znużenie.

- Niech ci ikra lekką będzie - stwierdziłem, po czym wytłumaczyłem, że się przesłyszała. Potem powiedziałem „cześć” i się rozłączyłem.

Mówię wam, kosmos jest cholerycznie ciężki, zwłaszcza jak calutki zwali się na jeden głupi łeb. Cóż, jednak za tę ciut zawyżoną cenę miałem rozeznanie w sytuacji. W sumie nie była taka zła: wciąż posiadałem pięćset baksów żywej gotówki, odprawa z fabryki broni leżała nietknięta na koncie, byłem młody i zdrowy, a świat stał przede mną otworem. Tyle że niech diabli wezmą taki otwór! Nie, nie mam zamiaru przyrównywać go do hydrauliki w wychodku, chcę tylko powiedzieć, że jego brzegi były zbyt gładkie, żeby się zaczepić, choćbym miał pazury ostre jak kanalizacyjny szczur. A nie miałem.

No więc napiłem się kawy, a potem łyknąłem pół szklanki burbona bez rozcieńczania, tak, właśnie w takiej kolejności. Byłem wolny jak ptaszek i mogłem wybierać dowolną kolejność, zgadza się, kochani? Z miłym szmerkiem pod ciemieniem, dokładnie tam gdzie ponoć bez większych efektów pracowało moje wielkie władztwo, wyszedłem w jasność poranka. Tego dnia miałem zamiar przypuścić szturm na dwóch frontach.

Najpierw udałem się do agencji pod górnolotną nazwą „Bądź złotnikiem swego losu”. O tej firmie napomknęła Gladys jeszcze zanim rozkręciła swój monolog. Ponoć gość dopiero co otworzył biuro w naszym mieście, ale zdążył zrobić analizę rynku i miał w ofercie listę

miejsc pracy w bliższej i dalszej okolicy.

Bill, bo tak przedstawił się właściciel agencji, był rudzielcem w rozchełstanej hawajskiej koszuli w pomarańczowe kwiaty, rozpiętej do pępka. Ściany jego biura zapełniały artystyczne bohomyzy tworzone według przepisów z rodzaju „zanurz dziecko w farbie i przeturlaj po płótnie” albo „wymieszaj funt gliny z krwistą wątróbką i przyklej do stolnicy”. Agent przechwycił moje ukradkowe spojrzenie i z dumą objaśnił, że to wszystko oryginalne dzieła jego autorstwa. Ukończył Akademię Sztuk Awangardowych, ale zajął się pośrednictwem pracy, bo pewnego dnia odkrył, że jego misją jest niesienie pomocy ludziom. Jednak w wolnych chwilach wciąż daje upust swojej pierwszej pasji.

Trochę niecierpliwie przerwałem mu, zadając pytanie o pracę. Uśmiechnął się i postukał piórem po zębach, po czym zaczął mnie wypytywać o zdarzenia z dzieciństwa, przyzwyczajenia rodziców i moje aktualne menu. Interesowało go, czy palę, a jeśli nie, to co robię z rękami podczas rozmowy z kobietą. Wkurzył mnie nie na żarty.

- Szukałem pośrednika pracy, a nie psychoanalityka - warknąłem, przerywając mu w pół zdania. - Po diabła ta ankieta?

W jego bladoniebieskich oczach pojawiło się zdziwienie.

- Właśnie po to - odparł. - Przecież nie chodzi o jakąś pracę, tylko o pracę dla ciebie?

- No właśnie. Chciałbym zobaczyć listę ogłoszeń.

- Mam ją tutaj. - Postukał zgiętym palcem w czarny skoroszyt. - Naprawdę, sztampa i nuda, mam zamiar zaproponować ci coś lepszego. Może mi się tylko wydaje, ale chyba lubisz niezależną robotę, bez szefa w typie wściekłego szczeniaka świeżo po college'u menedżerskim. Mam rację?

Zamilkłem. Czekałem.

- No właśnie - kontynuował - pewnych prostych spraw ludzie nie dostrzegają. W twoim przypadku niezły byłby sklep z alkoholami, bo towar łatwy w obrocie, trwałe, eleganckie. No i to piękno, codziennie zaklinane w szkle...

Obruszyłem się. Wyczuł woń burbona, czy co? Nadal milczałem, a on znów stukał tym piórem po zębach. Jakbym tak stuknął go trochę mocniej, może wreszcie by przestał.

Nagle gość poderwał się, jakby wściekły szerszeń wlaź mu w tylną

kieszon. Pióro prysnęło w kąt.

- Motyle! - wykrzyknął, opadając na powrót na fotel. - Tak, to najlepszy z dostępnych wariantów.

Nie każdy artysta jest świrem, ale ten najwyraźniej był. Zacząłem się podnosić, ale on stanowczo usadził mnie z powrotem.

- Człowieku, zostań chociaż chwilę, przecież wysłuchanie porady do niczego nie zobowiązuje! Proponuję coś, co mogłoby być szybkim biznesem. Zarobione środki zainwestujesz wedle uznania, czy to w alkoholowy interes, czy choćby w górnictwo tytanu na Księżycu. Odpowiada ci ten plan?

Wzięłem głęboki oddech. Nawet jeśli facet jest szurnięty, w razie czego powinienem dać mu radę.

- Żartujemy czy rozmawiamy poważnie?

Bill uśmiechnął się i zapadł wygodnie w fotel.

- Szybki zysk może dać tylko antycypacja kaprysu rynku - tłumaczył. - W dawnych czasach po filmie Crichtona był zupełnie nienormalny popyt na gadżety z dinozaurem, po serialu z kosmicznym wilkiem zeszyły setki tysięcy koszulek z obrazkiem jego pociesznej mordy. Założmy, że teraz nadchodzi czas motyli. Pięć minut dla motyli, nie więcej.

Poczułem chłód.

- Pięć minut...?

Roześmiał się.

- Przysłowiowe pięć minut w historii. Każdy może je mieć, ty także.

- Skąd wiesz? ...O tych motylach?

Spowaźniał.

- Nie wiem, ale mogę prognozować. Śledzę doniesienia agencyjne, z medialnego bełkotu wyławiam poważne njusy, nie ciekawi mnie intymny piercing Vanessy Holly czy wpływ diety selerowej na potencję emerytowanych kierowców autobusowych. Następują dziwne perturbacje klimatyczne...

- Nie obraż się, ale gdzieś czytałem, że ktoś, kto zna się na wszystkim, naprawdę nie zna się na niczym.

- Powiem tak: są ludzie, którzy potrafią kojarzyć fakty z różnych dziedzin. Zajmuję się doradztwem od ładnych kilku lat i dochowałem się sporej grupy zadowolonych klientów. Zaufaj mi. Nie mogę ręczyć, że się uda, ale nigdy nie wygra ten, kto nie kupi losu.



Wstałem.

- Muszę to wszystko przemyśleć. Powiedz mi jeszcze jedno, człowieku. Czy... uważasz się za jasnowidza? Na serio myślisz, że można zajrzeć w przyszłość?

Przyglądałem mu się uważnie, ale on tylko pokręcił głową. Także się podniósł.

- Moja działalność nie ma niczego wspólnego z ezoteryką. Mówiłem ci, że kojarzę fakty i wyciągam wnioski. Poza tym istnieją sposoby aby trochę pomóc w powstawaniu trendu, podpowiadając opinii publicznej właściwe słówko. Nie słyszałeś o metodzie kreowania popytu?

- Robisz coś takiego? To znaczy, jesteś w stanie?

- Ech, musiałbym mieć z tysiąc takich biur jak to i kilka tysięcy PR-ów na etatach. Ja mogę tylko spróbować dodać ostatnią kroplę albo puścić kamień na stromy piarg.

- Świetnie, ale co z tego masz? Inaczej: jaka będzie cena?

- Nie musisz teraz o tym myśleć. Chcę pięć procent od zysku, kolego, ale nic z góry. Nie wyjdzie, nic nie jesteś winien. Przyjdź jutro albo pojutrze, tylko nie zwlekaj zbyt długo, bo okazja przejdzie koło nosa. Wszystko ma swój czas i swoje miejsce. I nie zapominaj, że otrzymałeś ofertę specjalną.

Odprowadził mnie do drzwi, konfidencjonalnie poklepując po plecach. Zapomniałem go poprosić o listę zwykłych anonsów o wolnych stanowiskach pracy, a on mi jej nie zaproponował.

Drugą część planu na dzisiejszy dzień zrealizowałem nadspodziewanie łatwo. Po drodze do domu wstąpiłem do sklepu papierniczego na rogu i zaprosiłem Nancy na kolację. Nancy jest od kilku lat jedyną sprzedawczynią w tym sklepie, ma szczupłe, ładnie profilowane łydki, a drobne stopy stawia tak, że palce kierują się wyraźnie na zewnątrz. Jej buzia mogłaby należeć do wiecznie zamyślonej nastolatki, choć jest mniej więcej w moim wieku.

Bez namysłu skinęła głową i obdarzyła mnie ledwie dostrzegalnym ściągnięciem warg w dzióbek. Identycznie reagowała na klientów, którzy chcieli rozmienić pięć dolców.

\*\*\*

Nazajutrz znów zaszedłem do Billa, który, jak się okazało, był

biznesmenem wielobranżowym, bo jego oferta obejmowała także pośrednictwo w pozyskiwaniu kredytów i zakładaniu małych firm. Ostateczne przekonanie mnie do projektu nie zajęło mu wiele czasu, czego do dziś nie potrafię zrozumieć, a potem sprawa ruszyła z kopyta w takim tempie, że przez miesiąc nie bardzo wiedziałem, w jakim świecie żyję. A następnego dnia po artykule Billa zaczęły napływać zamówienia. Ale po kolei.

Nie, nie będę was zabawiał opowiadaniem o świecie komercji, bo jest to zupełnie inna, zgoła nieciekawa bajka. Powiem tylko tyle: założyłem firmę, wziąłem kredyt i zainwestowałem w... motyle. Miałem je wszędzie: bibeloty na parapetach, broszki na półkach, klipsy i piercingi porozwieszane na nylonowych nitkach. Z mroku patrzyły na mnie rubinowe kasetonowe oczy, hologramy drżały i opalizowały fraktalnym rozmyciem barw, świetlne ćmy wyświetlały się na ścianach, a komputerowe pamięci pęczniały od projektów. W domu trzymałem prototypowe wzory, a kontrakty z podwykonawcami opiewały na zabawki, biżuterię, ozdoby pokojowe i ogrodowe, gadzety do samochodów, konfekcję z nadrukami i sporo innych produktów. W zdroworozsądkowych przebłyskach myślałem ze strachem, w jaki następny idiotyzm dałem się wpuścić, ale Bill zaraz kołł moje lęki, obiecując szybkie i bezkonfliktowe bankructwo jako ostateczne wyjście z sytuacji. Po prostu genialne!

Podczas zawierania kontraktów wstępnych mało miałem czasu na śledzenie wiadomości, ale to i owo docierało do mnie przez sieć, między jednym a drugim ekspediowanym listem. Niestabilność klimatyczna objawiała się suszami, ulewami, powodzią i huraganami. Tradycyjnie winiono za taki stan rzeczy przemysł, wyrąb lasów tropikalnych, protuberancje słoneczne, rozrost alg w Morzu Północnym i kryształki soli w atmosferze. Aż w końcu wybuchł wulkan El Popo, zasypując połowę Mexico City popiołem i pumeksową szlaką. Poczciwy Popo na dokładkę wyrzucił w atmosferę tysiące kilometrów sześciennych dwutlenku węgla, czego w pierwszej chwili nikt nie spostrzegł. Jednakże dwa dni później wystąpiły niespotykane ulewy nad północnym Atlantykiem, a za miesiąc, w środku lata, nad Europą zaczął prószyć śnieg.

Jak to przeczytałem, zrobiło mi się głupio. Tuż obok mnie w dalszym

ciągu rozgrywały się wydarzenia, których nie rozumiałem, a w które w jakiś sposób byłem uwikłany. Poczułem zmęczenie.

- Wiedziałeś - zagadnąłem Billa.

Wzruszył ramionami i przeczesał palcami swoją rudą grzywę.

- Nie wiedziałem. Zlodowacenie jest jedną z opcji.

- Powiedziałeś: zlodowacenie?

- Właśnie się zaczyna. Opady śniegu podwyższą albedo, co spowoduje dodatkowy spadek temperatury, a to w efekcie zwiększy grubość pokrywy śnieżnej. Natomiast Atlantyk dostarczy wilgoci, z której uformują się lodowce.

- Dlaczego akurat teraz?

Bill westchnął, ale tłumaczył dalej.

- Ruch skrzydeł motyla na Hawajach doprowadza do powstania tornada w Teksasie, pewnie słyszałeś taki slogan zwolenników teorii katastrof? Świetnie. Wzrost stężenia dwutlenku węgla w stratosferze spowodował podniesienie się temperatury nad Atlantyką, czego skutkiem były ulewy. W efekcie nastąpiło zmniejszenie zasolenia wód powierzchniowych, co wstrzymało cyrkulację pionową i zastopowało Prąd Zatokowy, który, jak wiadomo, ogrzewa nie tylko Grenlandię i Islandię, ale także całą Europę. Zmiana szykowała się od dawna, brakowało tylko impulsu inicjującego. Opisałem to tutaj.

Rzucił na stół egzemplarz „New York Timesa”. Artykuł zamieszczono na pierwszej stronie, a obok widniała reklama mojej firmy: *Chcesz wspomóc Europejczyków, kup i noś motyla.*

- Genialne - mruknąłem. - Sam to wymyśliłeś?

- Nie. Kosmici mi podpowiedzieli.

Poczułem się tak, jakby kopnął mnie prąd. Bill wytrzymał moje spojrzenie.

Następnego dnia sypnęły się zamówienia. Konkurencja nie próżnowała, ale ja byłem pierwszy - miałem gotowe wzory, prototypy i wstępne umowy z wykonawcami, z których większość mogła natychmiast przystąpić do produkcji. Po trzech dniach spłaciłem Billa, a po trzech tygodniach moda minęła. Ludzie przestali zajmować się Europą, bo zima dotarła do Południowej Karoliny. Wtedy zapłaciłem podatki, uregulowałem zobowiązania i zlikwidowałem firmę. Sprawdziłem konto, choć byłem więcej niż pewien, że figuruje na nim

okrągły milion nowych dolców. I co wy na to?

\*\*\*

To już prawie koniec mojej dziwnej historii. Bill zainkasował swoją dolę i przeniósł się do innego miasta. Napisał ze dwa maile i zamilkł, przepadł, więcej o nim nie słyszałem. O Gladys też nic nie wiem oprócz tego, że nieszczególnie układa jej się z profesorkiem, który głównie interesuje się rybami. Nancy jest dobrą żoną, nie dyskutuje i nie roztrząsa problemów, po prostu robi swoje. W chwilach zadowolenia układa wargi w dzióbek, gdy bywa zła zaciska je w kreskę. Mowa ciała pozostaje naszym głównym sposobem porozumiewania się, ale w zupełności wystarczy. Mamy dwoje dzieci, naprawdę rozkoszne bobasy. Niestety istnieje zagrożenie, że kiedyś zostaną pilotami statków kosmicznych.

Zawsze chciałem mieszkać w Acapulco, więc tam osiedliśmy, tuż przy granicy z Meksykiem. Wiodę uregulowane życie: wstaję o siódmej, wychodzę z domu wpół do dziewiątej, a o dziewiątej otwieram sklep. O tej porze rzadko kto przychodzi, więc mam czas, aby podziwiać wysmukłe kształty butelek z dymnego szkła i porównywać barwy wypełniających je spirytualiów. W dni, kiedy nie wieje wiatr znad północnych lodowców, trzymam drzwi otwarte na oścież. Za ladą ustawiłem wygodny fotel, z którego, popatrując znad książki, mogę obserwować ulicę. Lubię świeże, nieklimatyzowane powietrze, ale mam też inny powód - nieraz myślę sobie, że gdyby przypadkiem przechodził tędy przybyły z daleka komiwojażer, mógłby mnie dostrzec i zajść do środka.

Potem, zwykle koło południa, pojawiają się pierwsi klienci. Najbardziej cenię tych, którzy nie spieszą się z wybieraniem towaru. Jestem przekonany, że także pozostają pod urokiem użytkowych dzieł sztuki, jakimi są smukłe naczynia z winem, likierem czy szampanem. Gdy kupujący wyjdą, zaraz spieszę do półek aby położyć dłonie na butelkach jeszcze ciepłych od ich dotyku - wtedy wyczuwam także inny rodzaj ciepła, coś w rodzaju radiacji pozytywnych emocji, które przywiodły tutaj tych ludzi. Młodzieniec wybierał wino na kolację z dziewczyną, kobieta w średnim wieku szukała szampana na swoje urodziny, świeżo upieczony tatuś lustrował półkę z piwem i w końcu kupił skrzynkę

europiejskiego heinekena, a starszy mężczyzna długo przebierał wśród koniaków, aby móc wieczorem wypić kieliszek na lepszy sen.

Miałem kiedyś swoje burzliwe pięć minut, ale teraz wiodę spokojne, uregulowane życie, dopełniając człowieczego losu na tym padole. Wierzcie mi jednak, że próbowałem wyrwać się z unoszącego mnie nurtu, że chciałem ostrzec ludzi przed Ashem. Zrobiłem, co się dało, i nie mam wyrzutów sumienia - może wyjąwszy te godziny, kiedy świat przykrywa duszna, bezksiężycowa noc, a przez smoliste niebo ledwie przebijają płomyki najjaśniejszych gwiazd. W takie noce wciąż od nowa zastanawiam się, czy nie dałem się skusić zbyt łatwo.

Napisałem artykuł. Poprawiałem go wielokrotnie, wreszcie dałem do przeczytania Nancy. Przejrzała go i oddała mi tekst bez słowa. Uśmiechnęła się przy tym lekko, kącikiem ust, ale był to najprawdziwszy uśmiech, a nie zwykły dzióbek ani kreska z warg. Także moja matka uśmiechnęła się kiedyś w podobny sposób, jeszcze w czasach mojego głębokiego dzieciństwa, i był to uśmiech zarówno aprobujący, jak i odrzucający, dlatego zapamiętałem go na całe życie. Matka aprobowała mój świat małego chłopca-mężczyzny, ale ani nie potrafiła, ani nawet nie miała zamiaru do niego wejść.

Z swoim artykułem udałem się do redakcji prominentnej gazety, nieważne jakiej. Jakimś cudem udało mi się przebić przez bastiony sekretarek i dotrzeć do samego p.o. rednacza. Łypał na mnie bawolim okiem spod spoconego czoła, rozmawiając jednocześnie na dwóch liniach i tłukąc w klawiaturę. Drugim okiem zapewne kontrolował monitor. Nie wiem, ile z mojej przemowy do niego dotarło, ale w pewnej chwili przerwał pisanie i błyskawicznie przekartkował artykuł. Potem szukał czegoś w bazie, widziałem jak na bocznym monitorze wyskakuje telefon policji. Cursor krążył chwilę wokół niego, ale w końcu wybrał inny zbiór. Mężczyzna rzucił do mikrofonu kilka stłamszonych słów, po czym wydrukował wizytówkę i posunął w moją stronę. Natychmiast przejęły mnie sekretarki i objaśniły, że mam udać się pod wskazany adres bezzwłocznie, dopóki rozmówca pamięta o sprawie. Co uczyniłem i dlatego możecie czytać te słowa. Dotarłem mianowicie do redakcji specjalizującej się w naukowej fikcji, gdzie zaproponowano, żebym artykuł zbeletryzował dodając suspensu, jednym słowem przerobił go na tekst literacki.

Czasem wychodzę wieczorem przed sklep i spoglądam w smoliste niebo, w którym gwiazdy tkwią jak uwięzione w bazalcie kryształki miki. W takich chwilach pragnę, aby zabłąkanym do naszej dzielnicy komiwojażerem okazał się Ash. Chętnie zadałbym mu kilka pytań, na przykład: co to była za wojna? Pryncypał zapewne zrobiłby zdziwioną minę, ale nie sądzę, aby wracał do historyjek o berserkerach. Jeśli to była wojna obcej rasy z ludźmi, pytałbym dalej, to dlaczego obca rasa wolała wysługiwać się ludźmi z innego czasu? Ze względów politycznych, moralnych czy może strategicznych? Kto był agresorem? Z pewnością znów naraziłbym się na zarzut wtłaczania nieznanymi pojęć w ciasne ramki ludzkiego pojmowania, ale w końcu niewiele mogę poradzić na to, że jestem człowiekiem. Błądzącym, ale rozumiejącym swoje błędy. Nie wiem, czy będę mógł je odkupić, i w jaki sposób to zrobię.

Słyszę, jak Ash śmieje się, zanosi się śmiechem, rży jak koń. Po czym znika. Moje problemy nic go nie obchodzą, dla niego liczy się wykonana robota. Może nawet ma poczucie dobrze spełnionego obowiązku, jeśli jest zdolny do tego rodzaju antropomorficznych emocji.

Zamykam sklep i wracam do domu. Tam czeka Nancy, która bez słowa postawi przede mną gorącą strawę, po czym jakimś drobnym ruchem ramion nada przekaz, że dziś wieczór nie będzie miała nic przeciwko miłości. Da sygnał, lecz inicjatywę pozostawi mnie, i tak jest dobrze. Dla Nancy miłość jest równie naturalna jak sen i to jest wspaniałe, zanurzam się w nią jak w ciepłą falę oceanu i płynę, tracąc poczucie czasu. Czas znów nie istnieje, lecz nie jestem pewien, czy Nancy zdaje sobie sprawę z mocy swoich czarów.

Gdy budzę się w nocy i patrzę w ciężkie niebo, gdzie czai się bezwzględna przyszłość, zastanawiam się, czy podjąłbym się następnego kontraktu. Mam wtedy cień przewrotnej nadziei, że Ash znów się pojawi, i jednocześnie obawiam się tej chwili. Powtarzam sobie, że nie można dwa razy sprzedać duszy, ale udając się w daleką podróż można próbować odkupić winy. Gdy wracam na krawędź snu, zdaję sobie sprawę, że to bzdura, że tamten czas nigdy nie wróci, że nic się nie powtarza, a moje prawdziwe życie dokonuje się tutaj i teraz. Tak już jest, że demon zwany *akme* przychodzi na krótko i nie do każdego, a jeśli już przyjdzie, człowiek zwykle roztrwania darowaną mu moc.

Warszawa, sierpień 2008 - luty 2009

## Randka z Homo sapiens

Ból wydłubuje mu szpik z kości, tnie zęby, wyłupia oczy i wyszarpuje je z oczodołów rwąc powrósła nerwów. Ustaje tak nagle, że S'Al krzyczy - dopiero wtedy krzyczy, bo przedtem zaciska szczęki z siłą imadła. Nagle ma wrażenie, że właśnie wypadł z toru wyścigowego, po którym wleczono go z ogromną prędkością, i teraz został wtłoczony pod powierzchnię letniej i gęstej cieczy, która objęła, znieczuliła i wessała zmaltretowane ciało.

Gdy ból uderza ponownie, bardziej szarpie umysł niż nerwy. Przy trzecim ataku S'Al słyszy jakieś słowa, ale uznaje, że mu się zdawało, więc odrzuca je. Sam chce coś powiedzieć, i wtedy stwierdza, że nie ma ust. Do licha, więc jakim sposobem poprzednio krzyczał? Czy dusza może krzyczeć?

Dopiero wtedy przychodzi prawdziwy lęk i wzbiera w piersi lodowatym strumieniem. Przypomina sobie brata. Przypomina sobie, że coś było przed tym pieprzonym pierwszym bólem, coś znacznie gorszego niż przemijające cierpienie.

Po kolejnym cyklu, który jest już śmiesznie łagodny, coś jak masaż i kąpiel, głos rozbrzmiewa zupełnie wyraźnie. Kobięcy, głęboki, troskliwy.

- Jestem *PH'daf* Siódma, czy słyszysz mnie, *Homo elegans*? Mówię po raz kolejny: postaraj się i daj mi znać, że słyszysz i rozumiesz, człowieku. Zależy mi na tym, więc skoncentruj się, proszę.

Naprawdę daje z siebie wszystko. Napina mięśnie tak mocno, że ścięgną szyi tężeją w bolesnym skurczu. Poruszając na boki szczękami rozrywa błonę sklejącą wargi i próbuje mówić. Ma głęboki głos ze świetną dykcją, zupełnie jakby mówił za niego ktoś inny.

- Jak *PHIjka* prosi, nie powinno się zwlekać. Słyszę i pojmuję twoje słowa, tylko nie rozumiem, skąd... czy... może zostałem restaurowany?

Zapada cisza. S'Al odczuwa narastające przerażenie - wie, że za



chwile jego mózg zapętleł się w histerii.

- Nie!! - Głos Siódmej tnie jak skalpel i w ostatniej chwili przerywa proces autopobudzania. - Wszystko jest w porządku, *Homo S'Albigab*. Przebywałeś na leczeniu witalizacyjnym, twoje ciało uzupełniłam tylko zwykłą fortyfikacją genetyczną. Ubezpieczenie *post-malum* dla *Homo sapiens* nie pokrywa zabiegów restaurowania, dobrze o tym wiesz.

- Więc dlaczego jakiś... *Homo elegans*?

Odwleka, jak długo się da, najważniejsze pytanie. Próbuje się rozejrzeć, ale zachłapane krwią ścianki witalizera uniemożliwiają dostrzeżenie czegokolwiek.

- Och - odpowiada po chwili - nadałam ci tę nazwę dla rozrywki. Nasza praca jest ścisła w większości aspektów, więc w celu utrzymania własnej psychicznej homeostazy wymyślamy dla niektórych pacjentów zabawne przydomki. Gdybyś wielokrotnie ulegał wypadkom, a ja bym za każdym razem składała i fortyfikowała twoje ciało, mógłbyś żyć wiecznie, jak nicienie *Caneorhabditis elegans* w wersji *dauer superior*. Taka jest geneza, gdyby cię interesowała.

S'Al słyszy wyjaśnienie *PH'daf* Siódmej, przyjmuje je i natychmiast o nim zapomina. Poci się i jest mu słabo. Nie może dłużej zwlekać.

- Co... z nim? - pyta drewnianym głosem.

- Z nim...? - powtarza Siódma jak echo.

- Mój brat - chrypi. - S'Erden! Pamiętam, jechał ze mną, prowadził. Gdzie jest?!

Tym razem Siódma nie pozwala sobie na zawieszenie głosu. Właściwie mówi bez przerwy.

- Popatrzmy na twoje parametry, *Homo S'Albigab*, są w porządku, dochodzisz, tak naprawdę już doszedłeś. Otwieramy teraz wieko witalizera, uważaj, przepraszam za to jaskrawe światło, ale masz ubezpieczenie podstawowe, a przydział czasu się kończy. Polecenie: oddychaj! Cóż, aplikujemy elektrowstrząs, i jeszcze jeden, mocniejszy. Uderzyłeś się o ściankę, nic nie szkodzi, to się zagoi, ale za to chwyciłeś haust powietrza, już oddychasz. To dobrze. Więc S'Erden prowadził ten archaiczny samochód, powinni zakazać ich używania, zbyt szybko i bez zachowywania należytej ostrożności. Zbliżył się niebezpiecznie do pojazdu *OberMenscha* Elwi K, inaczej mówiąc w momencie zero proksowane prawdopodobieństwo spowodowania groźnego wypadku

przez S'Erdena wyniosło 99,998%, ze skutkiem letalnym dla *O'Menscha* szacowanym na 83%. W takiej sytuacji fajterlajfer pojazdu Elwi'ego K przejął inicjatywę i zadziałał według obowiązujących procedur. Wiem, że to co mówię jest ważne, ale właśnie odłączamy od twojego serca opiekuńcze kardiophylium i dalej musisz radzić sobie sam. Nie bije? Okay, uważaj, częstujemy cię stukilową grawipięścią samuraja prosto w splot słoneczny, i jeszcze raz. Wiem, to boli, ale musi, bo trzeba uaktywnić szlaki transmisji nerwowych w organizmie *Homo elegans*. Wracając do *O'M* Elwi K, naprawdę było mu przykro, że w trakcie realizacji standardowej procedury przeciwwypadkowej jego fajterlajfer w chwili zero zniszczył wasz samochód i zabił pasażerów, używając broni pokładowej. Osoby winnej spowodowania wypadku nie obejmuje żadne ubezpieczenie, więc w trakcie dezintegracji silnika i masywnych fragmentów karoserii stożek rażenia wielokrotnie omiatał kierowcę, i nie był to błąd w procedurze. Ostrzegam cię, *Homo S'Al*, że umrzesz powtórnie i nieodwracalnie, jeśli mentalnie nie pomożesz w uruchomieniu własnego serca! Myśl teraz o sobie, brata nie wskrzesisz, zostały po nim ledwie pojedyncze komórki do identyfikacji tożsamości. Daruj, ale muszę wyjąć cię z witalizera i rzucić o sufit - może się potłuczysz, może stracisz przytomność albo rozbijesz sobie głowę, ale zapewne cię zamroczy i wtedy, miejmy nadzieję, świadomość zostanie zdominowana przez pierwotną wolę życia. Skorzystajmy z szansy tej niezwykle prostej i, co istotne w twojej finansowej sytuacji, taniej kuracji. No tak, rozbiłeś nos i zwichnąłeś kciuk, ale serce ruszyło! Naprawdę cieszę się, że będziesz żył, *Homo elegans* Albigab.

\*\*\*

Nie przysługiwała mu już ani jedna nanodrobina lekarstwa i ani jeden kwant terapii radiacyjnej, chyba że nastąpiłoby bezpośrednie zagrożenie życia. Więc przewracał się w błękitnobiałej pościeli, wdychając powietrze o ledwie uchwytnym zapachu ozonu i fiołków, a następnego dnia *PH'daf* Siódma oznajmiła, że może zostać wypisany i użyła grzecznościowej formuły pytając, czy zechce skorzystać z tej możliwości.

- Zgadzam się, jasne - burknął. Oczywiście nie miał wyboru, ale też było mu naprawdę wszystko jedno, gdzie bezproduktywnie spędzi

następne dni. Dotychczas jeździli z bratem starym chevromasterem, trochę ścigali się z automatami *O'Menschów*, a czasem wypuszczali się aż do dystryktów agroponicznych, wybierając oczywiście te najbardziej przyjazne, i poprzez kaskady szblastych liści przyglądali się niestrudzonej pracy rodzin mechopterów. Co teraz będzie robił?

- Twoja depresja należy do lekkich i nie powinienes się nią przejmować, młody człowieku. Jest niegroźna dla podstawowych procesów życiowych, więc nie mogę ci nic zaaplikować.

- Ja nie przejmuję się depresją, Alko. Ja ją po prostu mam - odburknął.

Poczuł pieczenie po powiekami. Jego brat *S'Erden* został usmażony laserem, odparowany, rozpylony na atomy. Dranie wiedzieli, że i tak nie będzie mógł skorzystać z ubezpieczenia, więc się nie patyczkowali.

- Nie nazywaj mnie w ten sposób - pouczyła go chłodno *PH'daf*. - Twoja inteligencja jest równie sztuczna czy naturalna jak moja, tyle że moją klasyfikuje się jako *Post Human*, zaś twoją jako *Sapiens*. Nie powinienes nikogo obrażać określeniem *artificial*, *S'Al*.

- Przepraszam, nie to miałem na myśli. W naszym codziennym języku... ech, wszystko jedno. Chciałbym się już ubrać.

- Twoje nowe ubranie znajduje się w foliowym worku pod łóżkiem. Nie musisz za nie płacić, kosza pokryło ubezpieczenie.

Szybko wciągnął spodnie i bluzę ze standardowego biowłókna. Zacisnął zęby i poczekał, aż ustanie mrowienie. Buty dopasowywały się jeszcze dłużej, przemieszczając gładź futrówki i łaskocząc go w stopy. Nie cierpiał tego organicznego paskudztwa, ale wiedział, że w klinice nie może liczyć na nic innego.

Wyprostował się nieco zbyt szybko i dopadł go zawrót głowy, więc musiał chwycić się poręczy łóżka. Mimo to ekstens najwidoczniej zakwalifikował człowieka jako ozdrowieńca i odezwał się, generując mikrowibracje we wnętrzu małżowiny usznej.

- Czy sir *Homo sapiens* Albigab zechce rozmawiać z lady *Homo sapiens* Malinere? Czy może sir wyraża życzenie, aby najpierw przełączyć go na tenora w celu uzupełnienia lub pozyskania danych?

- Czyś ty zgłupiał, ekstynku?! - zachnął się *S'Al*. - Zdażyłeś zapomnieć o konfigu osobistym?

- Ależ nie - kontynuował miękko głos *PHIjki*. - Pan przeszedł restaurację, sir, więc może zechce ustanowić nową konfigurację...

- Nie, do cholery! Byłem tylko witalizowany po wypadku. Masz się natychmiast zresetować do ostatnich ustawień domyślnych, jasne?

- Sie robi, Albi, jak wolisz. Wydzwaniła ta mała czarnula z Botanicznego, jarzysz? Chcesz z nią gadać?

S'Al mocniej wsparł się na poręczy. Usiłował rękawem obetrzeć pot z czoła, ale socjalny biomateriał po zewnętrznej stronie miał fakturę zbliżoną do kory sosnowej. Malinere? Najpierw zatrzepotała w nim radość, ale zaraz potem zląkł się. To przecież nie jego brat dzwoni, oznajmiając jak zwykle niedbale, że mógłby podjechać za kwadrans, bo właśnie ma wolną chwilkę. Tych wolnych chwilek mieli sporo, tak naprawdę składał się z nich cały dzień i spora część nocy. Teraz niewyczerpywalny wolny czas Erdena skurczył się do nicości, do nieświadomego trwania kilku wysmażonych komórek, dopóki i te nie zgniją w miejskiej kanalizacji. S'Al miał chęć schować się przed światem, zakopać się w szpitalnej trupiosinej pościeli, przespać wszystkie zagrożenia, prawdziwe i skonfabulowane. Czego właśnie teraz chce ta mała siksa?

Kilka razy wciągnął powietrze, rozciągnął płuca do bólu. Może jednak powinien z nią porozmawiać, choćby po to, żeby dała mu spokój. Kochał się w niej od kilku lat, ale to było co innego - podobały mu się jej pończochy, ozdobione złożonym wzorem, odcinające się od szarości ogrodowych ścieżek i zaplatające wokół siebie jak dwa jaszczurcze ogony, gdy zakładała nogę na nogę, siadając z książką zawsze w tym samym miejscu, pod spatynowanym pomnikiem Beethovena. Często nadkładał drogi, żeby zajrzeć do parku, a ona prawie zawsze była na swojej ławce, kiedy tylko świeciło słońce, i uśmiechała się dyskretnie, nie podnosząc głowy znad stronic, gdy przechodził niby przypadkiem. Skąd wiedziała, że strzelał ku niej spojrzeniami? Jego starszy brat w końcu wszystko popsuł, bo zwyczajnie podszedł, jak gdyby nigdy nic, i zapytał ją o wynik wczorajszego meczu. Tak po prostu, jakby była którąś z jego kumpelek z baru. To stało się na dzień przed tą ich cholerną kraksą. Pewnie przyuważył, że Al stale się na nią gapi, więc chciał pomóc braciszкови, którego miał za dzieciucha. Ech, Erden był niezłym babiarzem, stale sprowadzał ludzkie amjuzerki i rznął je w swoim pokoju, aż jęczały sprężyny wyra, a kilka razy zwabił nawet *O'Mensche*, spragnione egzotyki spółkowania z *H'Sapiensem*. Ale ona, ta dziewczyna

z Botanicznego - musiała też być *Sapiens* - więc ona po tym pytaniu Erdena uśmiechnęła się szeroko, do licha, trochę za szeroko, i pokazała swoje białe zęby. O tak, usta miała szerokie jak brzegi garnka, a w nich kwadratowych zębów ze dwa razy za dużo, może jakaś mutantka? Ale pończochy włożyła takie jak zawsze, robione na jaszczurczą skórę, a nogi miała naprawdę niczego sobie. Erden kiedyś mówił, że do kobiety można też podejść od tyłu, więc jej zębów nie musiałyby wtedy oglądać. Do licha, problem jednak był, bo teraz telefonowała...

- Ekstens!

- Słucham, S'Al - zabrzmiał aksamitny głos. Wydawało się, że wypływa ze środka czaszki.

- Nie bądź taki... kobiecy, mów normalnie. No, ta Malinere może zadzwonić. Albo nie, ja to zrobię - zdecydował zdesperowany. - Łącz!

Sygnał wywołania ćwierkał i ćwierkał, widocznie jej ekstens pytał o zgodę. Po co? Przecież sama się do niego dobijała.

- Tak...? - odezwała się w końcu. - To ja, S'Mal, pamiętasz...?

- Pewnie. Coś nie tak? W ogóle nie widzę twojej fanty.

- Zaraz... Już włączyłam.

Pokazała się mgiełka holo, a w niej zawieszona kobieca postać. Ekstens dał prawidłowy najazd na twarz, zgodnie z lokalnym konfigiem S'Ala. Kto teraz wyłącza fanty?, pomyślał. Kochankowie - w akcji, mutanci - zawsze, może jeszcze starcy - czasami. Czemu ona?

S'Malinere nie wyglądała na mutantkę. Powieki pociągnęła karminem, jej policzki błyszczały świecącym pudrem, nawet zęby nie raziły tak jak za pierwszym razem. Nagle dotarło do niego z przeraźliwą jasnością, że ta dziewczyna jest teraz jedynym znanym mu człowiekiem z gatunku *Homo sapiens*, a może także jedynym oprócz niego w całym dystrykcie Molina. Ludzie jak on byli rzadkością, więc nie powinni tracić między sobą kontaktu.

- Musimy się spotkać - oznajmił. - Zaraz opuszczę szpital. Będiesz na swojej ławce w parku, S'Malinere?

Wytrzeszczyła oczy.

- Och, tylko nie to - jęknęła. - Nigdy!

S'Al zmieszał się, poczuł ciepło rumieńca na policzkach.

- Dlaczego? Mój brat... on...

Spuściła wzrok.

- Nic z tego, S'Albigab, nie weźmiesz mnie na litość, nic z tego. Wiem wszystko!

Teraz wwiercała się w niego dzikim wzrokiem wystraszonego zwierzęcia.

- To znaczy, co? - odparł zaczepnie.

- Tyle, ile trzeba! To właśnie chciałam ci powiedzieć, dlatego dzwoniłam. Chcę powiedzieć: daj mi spokój i idź swoją drogą. Jesteś śmieszny, z tymi swoimi zachłannymi spojrzeciami gówniarza, którym przecież jesteś. W parku zawsze nagapiałeś się, i to musiało starczyć ci do wieczora, kiedy zamykałeś się w kiblu i trzepałeś wała. Może nie?!

- Ty cholero - wykrztusił. Dlaczego go obrażała? Czy baby tylko po to najpierw kokietują, żeby potem przyłożyć na odlew?

- Rzucasz wyzwiskami, dżentelmenie? - warknęła, mrużąc oczy. - Dobrze radzę: omijaj mnie z daleka! Przywalaj się do amjuzerek, gnojku, to towar w sam raz dla ciebie. A gdybyś łaził za mną, ściągnę na ciebie bebidolkę, obiecuję. Uważaj, bo wiem, jak to się robi!

Odwróciła się i pochyliła głowę. Jej wąskie plecy, opięte czarną bioskórą, drgały spazmatycznie.

- Wariatka! - rzucił ze złością. - Nie chcę z nią więcej gadać!

- Przyjąłem - poinformował ekstens, przerywając połączenie. S'Al był przekonany, że powiedział to kpiącym tonem.

\*\*\*

Gdy wyszedł przed szpital, musiał przymknąć oczy, bo szkliste powierzchnie, filtrując i załamując światło słońca, rozrzucały tysiące barwnych refleksów, generowały rozbłyski, fosforyzujące mgły i ruchome zasłony. W pobliżu ktoś stał nieruchomo - S'Al rozpoznał policjanta.

- Kim jesteś? - zapytał tamten, nie ruszając się z miejsca.

S'Al też się zatrzymał. Już dawno się nauczył, że w takich przypadkach lepiej poczekać. Nic się nie stało, więc powiedział ostrożnie:

- Czy nastały takie czasy, że policjant musi pytać o tożsamość *Homo sapiens* Albigaba, witalizowanego po wypadku przez *Post human* dał Siódmą?

Funkcjonariusz przez chwilę spod daszka czapki kierował na niego niewidzące spojrzenie, więc S'Al nadal stał nieruchomo. Potem skrzywił

usta, co zapewne miało oznaczać uśmiech, a jego oczy ożyły.

- Nie musi. Ale może sprawdzać prawdziwość zeznań. Możecie iść, obywatelu.

Chłopaka nie trzeba było namawiać. Ruszył w podskokach, pogwizdując. Czuł siłę i sprężystość odnowionego ciała. Mijał śluzy do sklepów, parantelariów i orginajzerów, ale wszedł tylko do małego Sevinblu, żeby kupić coś do jedzenia. Kasjer długo badał jego linie papilarne i wzór tęczyówki, aż wreszcie polecił mu wziąć do ust próbnik DNA.

- To nie potrwa długo, panie *Homo sapiens* Albigab, ale dla bezpieczeństwa pańskiego konta muszę mieć pewność - odezwał się maszynowym głosem. Widocznie rzadko mówił, dlatego w jego instalacji nie przewidziano naturalnego modulowania. - Uprzedzam, że powinien pan poczekać w tym miejscu do zakończenia analizy.

S'Al usadowił się w fotelu i włączył holo wiadomości. Wiedział, że jakakolwiek dyskusja ze zwykłym kasjerem jest bezcelowa. Przebiegł wzrokiem relacje z płatnych obowiązkowych gier, zabaw oraz zawodów *O'Menschów* i obejrzał zwyciężczynię, która zdobyła główną nagrodę i mogła żyć dostatnio po kres swoich dni.

- Taka sobie scjentomadzika, a udało jej się - mruknął z zazdrością.

Roześmiana twarz rudej kobiety znikła, a na ciemnym tle zagnieżdził się napis:

"Uwaga. Prawdopodobieństwo wojny w dystrykcie Cario w ciągu najbliższej godziny wynosi 75%. Proszę wszystkich obywateli o przygotowanie się do ewentualnego zastosowania procedury ewakuacyjnej. Ta informacja została wygenerowana przez NetProxSystem."

- Do licha - mruknął S'Al. - Co z moim DNA? - zwrócił się do kasjera.

- Informuję, że prawidłowe zwolnienie z oczekiwania na identyfikację następuje dopiero w chwili ogłoszenia czarnego alarmu - poinformowała maszyna. - Uwaga, są już wyniki. Test kwalifikuje się jako pozytywny. Informuję, że wykryta wariacja genowa wynosi tysięczną część procenta. Teraz wprowadzam do CeBanku komplet zmodyfikowanych danych. Dziękuję za cierpliwość, panie S'Albigab. Do rychłego zobaczenia w sieci naszych przyjaznych sklepów!

S'Al wymruczał przekleństwo i wypadł na ulicę, która przywitała go

znajomą wonią gnijących resztek organicznych, kanalizacyjnego szlamu, wilgotnej gleby i mięty. Chociaż dystrykt Molina zaliczany był do przyjaznych dla *H'Sów*, *S'Al* rozejrzał się bacznie, bo zawsze mogło się coś przypętać. Nawet *O'Mensche* nie rozumieli wszystkiego i nie potrafili wytłumaczyć, czy na przykład zmory typu horrangeli generowane są przez stochastycznie oszalałe *Post human* dafy z dystryktów, czy pochodzą z indywidualnych symulacji ziemskich lub kolonijnych, czy może mają źródło w obcych bytach ewolucyjnych lub przybywających z otwartej przestrzeni. Świat technologii stał się w pełni symetryczny do biologicznego, gdzie wszelkie, nawet najbardziej obce sobie organizmy najpierw się badają, a dopiero potem pozerają, pasożytniczo wykorzystują lub wchodzą w symbiozę. A właściwie oba te światy zlały się w jeden: nie było już ścisłych granic między biologicznym i technicznym, naturalnym i sztucznym, swoim i obcym. Przemiana nastąpiła tak niedawno i szybko, że nawet *S'Al*, choć tak młody, dobrze pamiętał świat, który jeszcze dało się nazwać. *S'Al* nie wiedział, co było bezpośrednią przyczyną przemiany, i nie miał pojęcia, czy ktoś inny wie. Jego brat *S'Erd* przypuszczał, że nastąpił eksplozywny rozwój sztucznych inteligencji, albo na Ziemię dotarła obca forma życia. Teraz już nie miał z kim porozmawiać o tych sprawach.

Łzy spływały mu do gardła, czuł ich słony smak. Trzepnął się dłonią w twarz, raz i drugi.

- Ty cholerny mięczaku - mówił urywanym szeptem - ty gnojku! Po matce nie mazałeś się, więc dlaczego teraz, po bracie? Takie jest to cholerne życie, jedni przychodzą, drudzy muszą odejść. Przyzwyczajaj się, czniaj wszystko, niedługo ty sam zabierzesz się stąd w diabły!

Ulicą przemknął lśniący tytanową blachą pojazd *O'Menschów*, rozbryzgując wiecznie gromadzące się tutaj, na dnie miasta, błoto o konsystencji rzadkiego szlamu. Pod estakadą, głucho wibrującą od wytężonego ruchu gdzieś w górze, panował mrok, więc *S'Al* przeszedł na drugą stronę, kierując się do pustego kwartału. Przeskoczył pas rozmięklej ziemi i ruszył znajomą ścieżką pośród zrudziałych traw. Był głodny.

- Nie idź tędy - odezwał się w głębi jego ucha łagodny głos ekstensa. - Sugestia nakazująca proksa Molina.

*S'Al* natychmiast zatrzymał się i cofnął o krok. Od czasu transformacji



miał szczęście mieszkać w dystrykcie przyjaznym *Homo sapiens*, więc nigdy nie lekceważył spontanicznych ostrzeżeń proksa. W przeszłości takie sugestie kilka razy uratowały mu życie.

Nic się nie działo, więc skierował się w bok, chcąc trawą obejść trefne miejsce. Poruszał się powoli, aby w porę zareagować na kolejną wiadomość.

Grzmot zadudnił wokół, jakby dochodził spod ziemi. Potem gleba poruszyła się i pękła pośrodku placu, a gwałtowny wstrząs zwałił S'Ala z nóg. Chlusnął cuchnący szlam, spod potoków błota wynurzył się tępy dziób, a za nim obły wierzchołek autonomicznego schronu. Szara powierzchnia metalu była powgniatana i fakturą przypominała liszajowatą skórę kaszalota, wynurzającego się z morskiej toni.

Jeszcze zanim rozwarły się drzwi schronu, zabrzmiał świdrujący pisk syren, a niebo pokryła pulsująca biało-czarna szachownica świetlnych znaków. I nagle zaroilo się wokół od *O'Menschów*, wyrastali jak spod ziemi, wysypywali się z błyskawicznie nadjeżdżających pojazdów, lądowali ze świstem w grawilotach, które uderzały w podłoże z głuchymi plaśnięciami jak ryby, wypadające z nadmorskiego tornada.

S'Al podniósł się, lecz pędzący tłum odrzucił go na bok. Wielka, rozczochrana kobieta tak przyłożyła mu łokciem w żebra, że stracił oddech i znów runął jak długi.

- Z drogi, cholerna małpo - warknęła i pognała za ostatnimi *O'Menschami*, znikającymi w rozwartym metalowym pysku schronu.

- Masz dwie sekundy, S'Al - poinformował go proks. - Jedną... Już nie wejdiesz. Teraz lepiej nie ruszaj się, ułóż się na ziemi zupełnie płasko. Aproksymuję twoje szanse przeżycia: od 60 do 99%. Podaję szeroki zakres, bo natura konfliktu w sąsiednim dystrykcie Cario nie jest dobrze znana.

Drzwi schronu zatrzasnęły się i urządzenie, generując niskie wibracje, zapadło w błotniste podłoże. Wypchnięte bokami strugi śmierdzącej mazi strzyknęły na wysokość kilkunastu metrów, a jedna z wirujących w powietrzu pecyn błota trafiła chłopaka prosto między łopatki. Jęknął, bo paralizujący ból od stłuczonego, a może i pękniętego żebra na nowo rozpełzł się po klatce piersiowej. Bezwładnie leżał na ziemi, opierając policzek o szczotkę wyschniętej trawy. Niebo na zmianę rozpalalo się oślepiającym blaskiem i pogrążało w ciemności, pulsowało

coraz szybciej, czemu wtórował przeraźliwy wrzask syren o świszczących, sięgających ultradźwięków częstościach. S'Al zacisnął pięści i czekał. Dlaczego wszyscy zdążyli, a on jeden leży tu jak idiota, czekając na śmierć? Tylko dlatego, że jest parszywym *H'sapiensem*? Nieprawda, bo ta wiewióra Malinere na pewno siedzi bezpieczna na dnie któregoś ze schronów. Taka nie zginie, przeżyje nawet *O'Menschów*.

Pisk syren przeszedł przez najwyższe rejestry, torturując uszy, po czym zanikł. Czarna zasłona zasnuwająca niebo pękła i odpłynęła, ukazując idylliczne obłoki na szmaragdowym tle. Wbrew pozorom, właśnie w tej chwili zaczynało się najgorsze. S'Al wstrzymał oddech i zacisnął pięści.

Przez kilka sekund nic się nie działo. Potem nagle z rykiem generatorów poderwały się do lotu dwa ciężkie pojazdy, porzucone na jezdni przez *O'Menschów*. Chłopak wcisnął twarz w ziemię, piasek zazgrzytał mu między zębami. Ale przecież nie on był celem, takie małe nic jak *Homo sapiens* nie mogło mieć żadnej wartości taktycznej w starciu potęg, roszczących sobie prawa do kolejnej enklawy nowego świata. On mógł tylko zginąć przypadkowo, w wyniku idiotycznego zbiegu okoliczności, jak jakaś durna żaba, przełaząca przez szyny w tym najmniej odpowiednim momencie, kiedy właśnie przetacza się po nich pociąg.

Próbował zmusić się do myślenia o rzeczach przyjemnych, więc przywołał obrazek z lat dziecięcych: plaża pełna opalonych ludzi, wszyscy *Homo sapiens*, całe ich mrowie! Jasny gruboziarnisty piasek, przezroczyste morze, latawce trzepoczą ogonami z kokardek. Nie, nic z tego, myśl uparcie nawraca do chwili obecnej, do wojny, do zagrożenia, do bólu po stracie brata. Gdyby S'Erden był tutaj, nie dopuściłby do tego, co się wydarzyło - teraz siedzieliby w bezpiecznym schronie, w przewiercającym się przez piasek stalowym krecie, odłączonym od wszelkich kabli, światłowodów, kierunkowych wiązek informacyjnych, izolowani od fal radiowych i akustycznych. I żaden odprysk starcia w sieci i jej urządzeniach peryferyjnych, żaden destruktynie modulowany sygnał nie miałby prawa do nich dotrzeć. Teoretycznie mógłby, ale prawdopodobieństwo wynosiło jeden do miliona. Niech tam, teraz spuściłby na jeden do tysiąca!

Porwanych przez jedną z walczących stron pojazdów nie było już

słysząc, za to z daleka dobiegło kilka odgłosów zderzeń, kończących się brzękiem rozsypywanego szkła i łoskotem upadających masywnych brył. Potem napłynął swąd spalenizny, ostry i drażniący, wydzielany przez rozkładające się w żarze polimery.

- Boże, uchronź od horrangeli - wyszeptał chłopak, modląc się do Boga, w którego nie wierzył, jednak w chwilach największych zagrożeń zawsze Jego błagał o łut szczęścia. Pokonując ból w stłuczonej piersi, przycisnął dłonie do uszu. - Jeszcze tylko małą chwilkę, proszę, niech nic się nie dzieje. - S'Alowi przemknęło przez głowę, że oto w majestacie praw supercywilizacji powróciły średniowieczne czasy, kiedy prawdziwe szczęście polegało na tym, żeby nic się nie działo.

Rzeczywiście, jego szanse rosły z każdą sekundą. Ostatnie wojny nie trwały nawet minuty, a najdłuższa, jaką pamiętał sprzed lat, ciągnęła się przez kwadrans i przyniosła tak ogromne zniszczenia, że potem usuwano je miesiącami. Drapieżnik, jeśli w starciu kłów i pazurów wyczuje silniejszego, przerywa walkę i odsłania brzuch, mawiał S'Erden. W ten sposób uznaje zwycięstwo przeciwnika, który dalej nie atakuje, bo już nie ma takiej potrzeby. Wojny są wzajemnym próbkowaniem nowopowstałych inteligentnych instalacji i układów, powodują ewolucyjne zmiany systemu supremacji i wprowadzają świat na kolejny poziom dynamicznej równowagi. Minimalizacja zniszczeń jest nie tylko wskazana, lecz wręcz konieczna.

Horrangle wykorzystywały czas pozbawiony jurysdykcji, kiedy stary układ już nie istniał, a nowy jeszcze nie powstał. Czas poza prawem, okres wyjęty z kalendarza, chwile spędzane w innej rzeczywistości - te pojęcia, znane z historii, a wynikające z niedoskonałości rachuby czasu, teraz znów mogły zaistnieć z innych powodów, a mianowicie - przerw w ciągłości homeostazy. Sama końcówka starcia i chwila po jego zakończeniu, moment resetowania i reparametryzacji *PHI*jek, to była temporalna szczelina, sekundy niczyje, i właśnie wtedy do rzeczywistości wciskały się tak dziwne twory, że nikt nie potrafił ich zdefiniować. Redundancje systemu inteligentnych centrów? Zdeglomerowane złośliwe programy, spajające się przy pierwszej sposobności? Niekontrolowana podświadomość inteligencji *Post human*? Obcy, żerujący na bólu i trwodze? Wszystko jedno, obce czy swojskie, inwazyjne byty karmiły się takimi doznaniem, jak furia

alkoholików w białej gorączce czy ekstaza dzieci, topiących koty w szambie lub obrywających trzmielom skrzydła. Horrängele tworzyły bardzo ludzkie inscenizacje, więc było oczywiste, że obserwowane efekty ich działań stanowiły translację na zrozumiałą dla człowieka system pojęć. Dopiero wtedy, jak cierpliwie wyjaśniał młodszemu bratu S'Erden, reakcje ludzi osiągały oczekiwany poziom i zadowalały intruzów.

S'Al wciąż kurczowo przyciskał dłonie do uszu, ale TO usłyszał. Jak łoskot gromu zabrzmiał dziecięcy, ciepły, potworny śmiech, odbijający się donośnym echem od ścian szklanych wieżowców. Jeśli Bóg istniał, tym razem najwyraźniej postanowił zrezygnować z prawa łaski.

\*\*\*

Z różowej mgły zaczęły wyłaniać się jakieś kształty, dobiegały go niewyraźne głosy. Czyżby znowu był witalizowany? Nie, bo leży w błocie pod mostem, a między zębami zgrzyta piasek. Mimo tego rozmawia, tak, ponad wszelką wątpliwość rozpoznaje swój własny głos. W pobliżu jest jakaś kobieta, która prowadzi z nim konwersację. He-he, ładna mi konwersacja: urywane, niedokończone zdania, właściwie wypluwane z wysiłkiem strzępki zdań. Ale ona jest, podtrzymuje mu głowę, chusteczką ściera brud z twarzy, czy raczej go rozmazuje. Struga czarnych włosów, szerokie usta, kwadratowe zęby. S'Malinere?!

- Rozszarpała mnie - mówi jego głos. - Roz-szar-pa-ła. - Wiem, że to nie ty...

- Nie ja - odpowiada kobieta z przydechem, jakby miała kłopoty z chwytnością powietrza. - Chyba nie dałeś się na to nabrać, nawet nie wiem, skąd się biorą bebidolki. A ty?

- Nikt... nie wie. Nawet S'Erden nie wiedział. Patrz!

Jego ramię unosi się, czuje ciężar, jakby coś dźwigał, ale nie rejestruje bólu. Spozstrzega nabrzmiące garby świeżych blizn, podobne do przeschniętego mielonego mięsa, i zbiera mu się na wymioty, ale ten facet, który mówi w jego imieniu, jest chyba w niezłej formie.

- Cholera... - mruczy kobieta.

- Już mogę się ruszać - stwierdza uspokajająco. Uspokaja ją, tego kurwiszona! - Urwała mi rękę, zwyczajnie wydarła mi ją z tułowia swoimi grubymi paluchami, widziałem to na własne oczy. Najpierw...

- Mów, słucham cię.

- ...walnęła mnie jakimś rulonem, jakby długą rolką cienkiej blachy, zadrukowanej na kolorowo. Poleciałem w bok i zemdlałem, ale obudził mnie diabelny, nieziemski, pieprzony ból. Nigdy w życiu... - głos tego człowieka, który był nim, zadrgał. S'Al czuł ucisk w gardle.

- Dlaczego...?

- Przecież nikt nie wie! - burknął. - Ona... nie dała mi zemdleć, coś robiła, chyba mogła regulować upływ krwi i ból, nie wiem. Ale krew i tak bryzgała, widziałem rozdzierane mięśnie, wyciągane sznury ścięgien, gruchotane kości.

- Przestań! Dosyć!

- Daj skończyć! Zrozum, ja też próbuję coś z tego pojąć. Więc ona kazała... kazała mi iść po rękę, miałem aportować swoją własną rękę! Przedtem rzuciła ją w błoto, tutaj, pod ten most. Miałem ją sobie przynieść i przyprawić! Zrobiłem to, byłem posłuszny, bo nałożyła na mnie jakieś znieczulenie, więc nie za bardzo bolało, tylko zbierało mi się w żołądku. Podniosłem własną rękę jak kawał rzeźnickiego mięcha, była ciężka... Przystawiłem ją do glutów skrzepu, a wtedy ona... zaczęła przyrastać. Wiem, że to brzmi jak bredzenie w delirium, ale właśnie tak wyglądała ta cholerna zabawa i nic na to nie poradzę. Ale jeśli naprawdę działo się coś zupełnie innego, a mnie tylko wklejono w mózg te scenki, to skąd wzięły się zwały świeżych blizn? One tu są, przecież mogę ich dotknąć, ty też. Ręką da się ruszać, bólu nie czuję, tylko słaby opór. Coś mi może doprawiła, żeby wyglądało jak blizny, a reszta to zwidy, nie? No, powiedz coś!

- Bardzo cierpiełeś. I to się liczy.

Wzruszył ramionami. Od chwili przebudzenia rozpoznawał swój głos, ale dopiero teraz zaczął wyczuwać ruch warg. Kończył się proces scalania jaźni i jednoczenia z cielesnością. Poraniony duch wracał do pokancerowanego ciała.

- Masz tutaj pasmo siwizny - powiedziała, wyciągając dłoń, ale zatrzymała ją w pół ruchu. Spojrzała mu prosto w oczy i w jej wzroku nagle pojawiło się przerażenie. Cofnęła rękę, zakryła nią usta i krzyknęła, po czym zerwała się i odskoczyła. Odwróciła się i puściła się pędem przed siebie, rozbryzgując błoto. Jej pończochy w jaszczurczy wzór mignęły gdzieś daleko między kolumnami i znikły, a po chwili ucichł też szybki stukot obcasów. Z mostu kapąła woda i było zimno.

S'Al był już w pełni sobą. Zsunął bluzę i obejrzał drugą rękę - wydawała się cała i zdrowa, bez blizn i zniekształceń. Za to prawa... Nieważne. Liczy się funkcjonalność, a poruszać mógł obydwoma.

Coś jest w tej kobiecie, coś, co wiąże się właśnie z nim. Łatwo mogła dowiedzieć się o wypadku, chociażby przez tenora, ale dlaczego przyszła? A potem uciekła, jakby zobaczyła diabła, gdy tylko zaczynał panować na ciałem, budził się z letargu? Trzeba ją znaleźć i zbadać, o co tu chodzi.

Próbował wstać, ale zaraz zwałił się ciężko, rozchlapując pleśniejącą breję. Wymruczał przekleństwo, ale nie dał za wygraną. Udało się dopiero za trzecim razem. Od kolumny do kolumny, często odpoczywając, ruszył przed siebie. Wychodziło mu coraz lepiej.

\*\*\*

W restlinku było gęsto od papierosowego dymu, ale poza S'Alem nikt się nie krztusił, ponieważ fizjologia *O'Menschów* funkcjonowała na wyższym poziomie. Złorzeczył po cichu, żeby nie narazić się jakiemuś gburowi. Dopóki nie wynaleziono tych wszystkich usprawnień i nie zaczęto masowego restaurowania ludzi, palenie w miejscach publicznych było nielegalne!

Zamówił tradycyjne chmielowe piwo i usiadł przy cielistoróżowym stoliku, który stopniowo konwertował się na indygo. Pobliska ściana synchronicznie niebieszczała, kolor przesiąkał przez nią i rozlewał się jak atramentowa plama. S'Al tarł łzawiące powieki i kłął, nie przestając przy tym rozmyślać o S'Malinere. Czego się bała?

- Restman...? - zawołał półgłosem.

- Twoje zamówienie jest w drodze, S'Al. - Odpowiedź dobiegła natychmiast z blatu stolika. - Czy może chciałeś zapytać o coś innego?

- Właśnie. Masz może wolną lożę?

Tym razem była zwłoka, i choć nie wyniosła nawet połowy sekundy, *Homo'S* odczuł ją boleśnie. W takich momentach nie tyle myślał o dyskryminacji, ile wyraźnie uświadamiał sobie swój status. Był archaicznym egzemplarzem, stworzeniem, które normalni ludzie - we własnym mniemaniu i według kryterium większości - pokazują sobie palcami, albo straszą nim dzieci.

- Tak - brzmiała odpowiedź. - Jednak twój socjal jest w tym miesiącu

już zbyt szczupły, a musi jeszcze wystarczyć na parówki, bułkę i dżem. Przykro mi, bracie, ale nie mam prawa pozbawiać cię podstawowych środków do życia.

- Macica - warknął S'Al i podniósł się. Wyszedł na taras, a stamtąd do ogrodu. Wszędzie stały kolorowe stoliki. Odetchnął chodnym powietrzem.

- Słucham? - Głos restmana płynął za nim, otaczał mu głowę, brzęczał jak chmara owadów.

- Hasło z krzyżówki, tak mi się przypomniało - odburknął. - Cały dzień się głowiłem: miejsce, w którym kobieta ma jaja. Lodówka nie pasowała, za długie hasło. Widzisz, taki HS'móźdzek, a wymyślił!

Teraz cisza trwała całą sekundę, podczas której *Schadenfreude* Albigaba rosło i rosło, aż w końcu siłą musiał powstrzymać uśmiech, pchający się na policzki. Wyglądało na to, że udało mu się zapętlić restaurowany i wspomagany łąb *O'Menscha* w taki sposób, że tamten mimo wszystko nie mógł mieć urazy.

- Piwo zostanie ci dostarczone do ogrodu, gdzie jest więcej świeżego powietrza, kliencie S'Al. Życzę przyjemnego wypoczynku.

Albigab skinął głową i poszedł ścieżką, wyłożoną zielonym sprężystym dywanem. Przechodząc koło lustrzanego parawanu zobaczył w odbiciu mężczyznę o nieprzyjaznym wejrzeniu, z pasmem siwizny nad skronią, lekko utykającego - niewiele pozostało w nim z wyrostka, jeszcze kilka dni temu traktującego świat jako barwne, a nade wszystko zabawne przedstawienie. Ubrany był zgrzebnie - w miejsce ubłoconych szmat dostał od restmana używany uniform, który miał tylko dwie, lecz za to podstawowe zalety: był cały i czysty.

- Hej, koleś, odstawiasz ważniaka? - Dobiegł go głos ostry i świadczący o pewności siebie, choć plątały się w nim drobne nutki przymilności. Zza ścianki z luster wysunęła się jaskrawo umalowana amjuzerka, podciągając ramiona i kołysząc biodrami. S'Al wpatrywał się w nią z osłupieniem.

- Ty... tutaj? - zagadnął głupawo, i natychmiast przelicytował poziom inteligencji własnej wypowiedzi, dodając: - Skąd się wzięłaś?

- Z tatusia i mamusi, właśnie w tej kolejności, bo tatko był pierwszy stawiając kutasa, a mamcia dopiero sporo później powiła taką śliczną jak ja - ripostowała, potrząsając czarną grzywką i szczerząc kwadratowe

zęby. Założyła kieckę supermini, więc kokietowała długachnymi dogami, całymi w jaszczurczy wzorek. - Gorylu, zajdź za parawan i ulżyj sobie, bo jądra masz tak napięte, że jakby mogły dzwonić, pospadałyby wszystkie żyrandole w promieniu kilometra! Dam ci za pół darmo, proksa szacuje cię na dwa wolne uniwersy po odliczeniu piwa, które zamówiłeś. Starczyłoby u mnie na 189 sekund, niech będzie z rabatem pełne 4 minuty, raz zdążysz, a może i dwa, w twoim wieku... Chyba już do ciebie dotarło, HS'ku, że lepiej nie możesz ulokować swojego zbywającego socjału, niż w mojej umajonej...

- Kobieto, wyluzuj. Ty przecież nie możesz być S'Malinere!

- Brawo, antropologiczna małpiatko! Tylko pożyczyłam trochę mimikry od tej twojej pięknotki, żebyś łatwiej zastopował przy moim warsztacie. Chyba wolno wzorować się na sławnych autochtonach, no nie?

- Sławnych...? - S'Al zbierał się do odejścia, ale zatrzymał się w pół kroku.

- A nie? Puścili twoją historyjkę w niusach: biedakowi rozwalili brata, zaraz potem capnęła go bebidolka, a teraz dziewczyna, którą kocha z wzajemnością, musi wiać od niego gdzie pieprz rośnie.

- Co takiego!?! - Zatrzymał się w pół kroku, jakby wrósł w ziemię.

- Jakie to romantyczne! Mam wilgotno, młodzieniaszku, także pod powiekami, ale do rachunku za to nie doliczam, porządna firma, nie panikuj. Ach, chłopak i dziewczyna, pierwsza miłość, oboje są dla siebie przeznaczeniem, ale także - wyrokiem. Jak to ładnie powiedział ten prezenter? Umrą z miłości - osobno, albo od miłości - razem... Piękne, prawda?

- O czym ty bredzisz, kobieto?

- Uważaj, robaczku, rozmawiasz z *O'Menschem*. Miałeś intencję obrazić?

- Ależ skąd. - Zmitygował się. - Ja przepraszam... tylko chciałem spytać, skąd takie informacje?

- Z proksa, człowieku. My zwyczajnie umiemy się tym posługiwać. Ktoś zadał sobie trud przeanalizowania kilkunastu, może kilkudziesięciu sondowań aproksymacyjnych, a potem uogólnił wnioski w taki sposób, żeby były zgrabne i zmieściły się w niusach. I jeszcze wycisnęły łezkę u... takich jak ja, wrażliwych kobiet.



S'Al przeciągnął dłonią po twarzy.

- Teraz rozumiem, dlaczego ona... Taa, wzięła te wszystkie bzdury za objawioną prawdę i trzęsie się ze strachu. Co za idioci, ci dziennikarze!

- Zamówienie zrealizowane dla klienta *HS'Albigaba* - odezwał się z boku maszynowy, niezmodulowany głos. W odległości określonej protokołem zatrzymała się blaszanka, urządzenie peryferyjne *PH'mol Piątej*. W trzech uchwytach trzymała tacę z wysmukłą szklanicą złocistego napoju. - Do którego stolika mam podać?

- Proszę... tam. - Wskazał wolną altanę. - Niestety, może innym razem - zwrócił się do amjuzerki.

- Już dobrze. - Wyciągnęła ramię i zmierzwiła mu czuprynę. - Właściwie byłabym rozczarowana, gdybyś się zgodził. Ale pamiętaj, że zawsze mogę ci dać, czego potrzebujesz, i nawet cienia kostuchy u mnie nie uświadczysz. U mnie króluje życie, śmierć nie istnieje!

Skinął głową i niemal pędem ruszył do stolika. Bezzwłocznie wywołał ekstensa.

\*\*\*

- Połącz mnie z *HS'Malinere* - zadysponował.

- Zbyt ogólne wywołanie! - prychnął ekstens. - Takich nazwisk mam ponad sto tysięcy.

S'Al zaklął.

- Przecież już mnie z nią łączyłeś. Mieszka w dystrykcie Molina. Wystarczy?

- Nie, kolego. Ta pani założyła blokadę od twojej końcówki, więc nie ma możliwości połączenia. Tak mi przykro.

- Cholera! Nie rób z siebie spolegliwianki dla przedszkolaków!

- Nie robię, ale i tak mi przykro, pewnie nie tak jak tobie, ale zawsze. Sam wybrałeś dla mnie ustawienia... czy mam się zresetować do firmowych domyślnych?

- Nieee... daj spokój, cofam te uwagi. Co radzisz?

- Ja łączę, nie radzę, S'Al. Dać ci tenora?

- Dobra, dawaj.

Łączy zaświergotało popularną melodią, a potem odezwał się męski głos, niższy o oktawę od poprzedniego.

- Zasoby Centralnej Bazy Danych, informacje, porady indywidualne.

Proszę o sformułowanie pytania.

- Szukam *HS'Malinere* z dystryktu Molina, rozmawiałem z nią przez ekstens. Chciałbym znać miejsce, w którym teraz przebywa.

- Proszę poczekać.

Znów odezwała się melodia i już wiedział, że nic z tego.

- Panie *HS'Albigab*, osoba przez pana wymieniona nie wyraża zgody na podanie miejsca swojego pobytu - poinformował tenor.

- Czy też jest ci przykro?! - warknął i chciał się rozłączyć, ale tak od razu się nie udało.

- Nie - padła odpowiedź. - Pracę tenora wykonuję wyłącznie w warstwie logicznej sektora rozumienia człowieka. Ale twoją inicjację śledzę z zainteresowaniem także na innych poziomach i życzę satysfakcjonującego zakończenia, *HS'Albigab*.

- Niech to szlag! - krzyknął. Chwycił szklankę i wychylił duszkiem połowę, po czym zamachnął się i cisnął naczyniem o ścianę altany. Uszlachetnione szkło nie stłukło się, tylko szklanica wydała jęśliwy dźwięk, odbiła się kilka razy od okolicznych przedmiotów i wreszcie legła pod stołem.

- Czy wszystko w porządku? - zainteresował się restman.

- Ależ tak. Mam kąpiel do spania, mogę jeść i pić, nawet amjuzerka z *O'Menschów* się naprasza, chciałem powiedzieć: oferuje usługi, a wszystko za jeden socjal! Czy to nie szczyt marzeń?

- Chcesz dolewkę piwa, *S'Al*? Gratis, na koszt zakładu.

- Nie potrzebuję waszego piwa! To znaczy, bardzo dziękuję... tym razem skorzystam.

Po minucie blaszanka dostarczyła pełną szklankę. Powoli sączył gorzkawy napój i czuł, że się uspokaja. Rzeczywiście, miał środki do przeżycia i był młody, a najgorsze się już przewaliło. Nie straci nikogo z rodziny, bo już jej nie ma, jest mała szansa, że bebidolka trafi na niego po raz drugi, a dziewczyna... jak dziewczyna, towar przechodni. Na świecie są miliardy bab, a z tego ze sto milionów poszłoby z nim do łóżka natychmiast, na pierwsze skinienie. Przecież noszą swoje wilgotne jamochłony tylko po to, żeby przy pierwszej okazji oddać je męskim pytonom we władanie, więc jedyny problem w tym, żeby taką samiczkę rozpoznać w tłumie, właśnie tego musi się nauczyć. Jasne jak słońce: właśnie wtedy, i dopiero wtedy, stanie się prawdziwym mężczyzną!

Dopił piwo i przewyciężywszy nieśmiałość powlókł się w stronę lustrzanego buduaru.

- Więc jednak, chłopcze! - Amjuzerka powitała go oszczędnym uśmiechem karminowych ust. Teraz zrobiona była na gejszę, występowała w błękitnym kimonie malowanym w wodne smoki, a w kok wpięła kiczowate szpile w kształcie samurajskich mieczy. Mimika twarzy nie była widoczna z powodu grubej warstwy białego pudru. - Nie krępuj się, wchodź prosto do namiotu.

- Ja... ja tylko chciałem prosić o pomoc - wyjąkał. - Ona, to jest S'Malinere, nałożyła blokadę na kontakt z mojego ekstensa. Ja chcę... muszę... z nią rozmawiać. Właściwie nie muszę, ale...

- Rozumiem, S'Al. - Gejsza pogłaskała go po policzku w taki sposób, że kaskada iskier spłynęła mu z piersi na brzuch. - Szkoda, że dzisiaj nie możesz być mój. Wyznaj mi, młody człowieku, czy naprawdę jesteś zwykłym HS'em?

Mówiąc to spoglądała mu w twarz wzrokiem, jaki kojarzył z policyjną inwigilacją. Oczy kobiety miały teraz odcień węglistej czerni.

- Oczywiście - odburknął. - Byłem witalizowany po wypadku, i tyle. Aplikują wtedy fortyfikację tkankową, czy coś takiego. Zdarzyła się przy tym zmiana tysięcznej części procenta genomu, jak się dowiedziałem.

- Ach tak - mruknęła i skinęła głową. - Wszystko rozumiem. Zaraz połączę się z tą dziewczyną i przerzucę końcówkę na twój odbiór, HE'Albigab. Wszak o taką pomoc ci chodziło?

- Co powiedziałaś, O'Am?

- Że ustanowię dla ciebie połączenie z S'Malinere.

- Nie o to pytam. Jak mnie nazwałaś?

- *Homo elegans* Albigab. Och, o tym, że dostałeś przydomek, też mówili w njusach, chłopcze.

\*\*\*

- To ty...? Jak ci się udało... Jakim prawem?

- Nie!! Poczekaj, nie rozłączaj się, Malinere! Chcę tylko chwilę porozmawiać, przecież nic ci nie grozi. Nawet nie wiem, gdzie jesteś, bo zastrzegłaś informację o miejscu pobytu.

Jej fanta była obramowana różowo opalizującym dymkiem i zanadto zbliżona, ale nic na to nie mógł poradzić, podobnie jak nie miał wpływu

na gust amjuzerki, świadczącej mu uprzejmość. Wydawało się, że ekstens odkrył jego niechęć, bo po chwili ta cała niedoskonała holosfera zwinęła się i zapadła jak przekłuty balon.

- Proszę, nie zrywaj połączenia, chcę ci opowiedzieć o swojej matce! - krzyknął, przejęty. Serce dudniło głucho, wydawało się, że pulsuje mu w gardle.

W paśmie odbioru nastąpiła cisza, na szczęście kontakt był nadal aktywny. S'Al uśmiechnął się, najpierw do siebie, a potem, szeroko i uprzejmie, do niej. Nie wolno mu było ani na chwilę zapomnieć, że fanta jego twarzy jest u niej doskonale widoczna. Nie miał zamiaru związać obrazu, bo mogłoby się wtedy wydawać, że ma coś do ukrycia.

- Dlaczego? - Jej głos dobiegał zewsząd, jakby nadajnik znajdował się w środku jego głowy. Poleciał skupienie źródła fonii i ekstens posłuchał, mimo że rozmówca miał status incydentalnego gościa.

- Swojego ojca nie znałem - mówił szybko - nigdy go nawet nie widziałem. Matka wychowywała nas sama. S'Erden... on chyba miał innego ojca, czasem ten facet przychodził, wtedy matka dawała nam na kino. Była stymolką, ale uważała, żeby regularnie brać odtrutki, to ją trzymało. Do czasu, bo kiedyś zapomniała albo coś pokręciła i wpadła w studnię deliryczną, z której już jej nie wyciągnęli. Inna sprawa, czy bardzo się starali...

- S'Al, po co mi to wszystko mówisz?

- Nie wiem. Może wreszcie uwierzysz, że jestem uczciwym HS'em. A może po prostu chcę o tym opowiedzieć komuś, kto potrafi mnie wysłuchać. Z S'Erdem właściwie w ten sposób nie rozmawialiśmy, z nim spędzałem czas, i to było najważniejsze. Teraz... mam ciebie.

- Chrzanisz, mały - syknęła, nagle rozwścieczona, jak zwykle, gdy usiłował się zbliżyć. - Nie masz mnie i nigdy mieć nie będziesz, czy to jest wystarczająco jasne? Mądry gość nie tryka głową w mur, ale tobie naprawdę brak piątej klepki!

- S'Mal, powiedz mi, co usiłujesz ukryć pod opryskliwością? Wiem, jak to jest, bo tak samo robiła moja matka...

- Po prostu odczep się, gówniarzu!

- Nie odpowiedziałś - kontynuował, niezrażony. - Czy nie rozumiesz, że w niczym ci nie zagrażam? Siedzisz ukryta licho wie gdzie, pablokowałeś wszystkie kanały, a trzęsiesz się ze strachu tak, jakbym był

nie wiem jakim oprychem i stał nad tobą z obrzynem!

Usłyszał jej szloch, potem przez chwilę spazmatycznie chwyciła powietrze. Na szczęście wciąż nie przerywała połączenia.

- To... nie tak, nie myśl źle. Ja... tak naprawdę lubię cię, S'Al, już od dawna. Ale czeka nas coś złego, jeśli się spotkamy, więc musimy iść dalej osobnymi drogami. Proszę, zróbmy tak... mój drogi. Ty znajdziesz inną, ja też jestem młoda i mam jeszcze sporo lat przed sobą. Rozumiesz mnie, S'Al? Powiedz, czy nie mam racji?

- Nie rozumiem! Nie masz! Jak można ślepo wierzyć w durne proksy, które prognozują tylko z określonym prawdopodobieństwem?

- W tym przypadku aproksymacja miała bardzo wysoki współczynnik korelacji.

- Konkretnie?

Nie odpowiadała tak długo, że poczuł liźnięcie lęku. Czyżby jednak się rozłączyła? Wreszcie odezwała się, ostrożnie dobierając słowa:

- Nie znam szczegółów, bo oparłam się na podsumowaniu, jak każdy niespecjalista. Wiem tylko, że diagnoza wykazywała efekt Woolfy'ego, a więc dziesiątki nici zgodnie prowadziły do jednego końcowego kłębka. Szkoda było czasu na analizowanie wszystkich ścieżek, ważny był rezultat.

- Jak matematyka może opisać uczucia?! Nic mnie nie przekona, S'Mal!

- Bo nie musisz być przekonany, HE'Albigab. Powiedz mi jeszcze, dlaczego nigdy nie próbowałeś poddać się restaurowaniu do *OberMenscha*?

Zatkało go. W ciągu całego świadomego życia ani razu nie rozważał takiej możliwości, to, że należał do *HS'ów* było oczywiste jak fakt, że po dniu następuje noc. Odparł ostrożnie:

- Chyba dlatego, że w domu nigdy nie było ani uniwera wolnej gotówki. Poza tym brat mnie uczył, że tylko głupcy zmieniają rzecz dobrą i znaną na coś być może lepszego i nieznanego. I tylko dlatego, że ludzie tak gadają.

- Powiedziałaś: dobrą rzecz?

- Jesteśmy sobą i mamy swoje radości. Nic nie wiem o szczęściu *OberMenschów* i naprawdę ten problem niespecjalnie mnie interesuje.

- Pocieszasz się, kolego?

- Nie denerwuj mnie, koleżanko. Nie o tym chciałem z tobą rozmawiać.

- Więc pośpiesz się, bo zaraz muszę kończyć.

- To... bardzo trudno powiedzieć. - Stwierdził z irytacją, że ma chrype i się czerwieni. Musiała wszystko widzieć na fance. - Chyba... ja też cię lubię, S'Mal, na pewno bardzo cię lubię. Jak o tobie myślę, robi mi się ciepło w piersi. Gdybym potrafił, napisałbym o tobie wiersz. Czy... przyjmujesz to, co mówię?

Zapadła cisza, ciężka i bolesna. Chłopak walczył ze sobą, żeby nie uciec. Rumieniec nie chciał zejść mu z twarzy.

- Czuję to samo, S'Al - odpowiedziała w końcu, a on pragnął krzyczeć z radości. - Widzisz, że proksa ma rację: naprawdę stanowisz dla mnie przeznaczenie. Ale boję się i nigdy się nie spotkamy, choć pozostaniesz dla mnie kimś ważnym na zawsze. Może najważniejszym. Chyba jednak... cię kocham, ty niewydarzony gnojku.

S'Malinere wyłączyła ekstens, bo w paśmie odbioru zapanowała aksamitna, niczym niezakłócana cisza. Ale to, co powiedziała, zupełnie wystarczyło. Zaszła przemiana: Albigab wyprostował się, jego usta rozszerzyły się w uśmiechu, spojrzenie stwardniało. W klatce piersiowej poczuł tężyznę, wdychane powietrze zgęstniało, mięśnie nóg i ramion nabrały wagi, krew puściła się z szumem przez arterie. Powstał, ledwie skinął głową zdziwionej amjuzerce i oddalił się pewnym, równym krokiem.

\*\*\*

Tropił ją w Centrum Infinitiv.

Biegł korytarzami pośród kipiących barwami gablot, namierzany schizoiluminacjami reklamodawców, przenikał ekscysfery mentalnych pieszczot amjuzerek, rozpraszał półcielesne żelki fantowych naganiaczy sklepowych, wymijał krzykliwe blaszanki łowiące klientów jadłodajni. Grupy *O'Menschów* rozstępowały się daleko przed nim formując szpalery, w które nurkował, biegł bez odczuwalnego wysiłku, a powietrze wokół gęstniało od szybkości, dało się szarpać i odrzucać na boki, stawało się przestronnym ciałem wypełniającym świat. Z szeregów *O'Menschów* słyszał przyjazne okrzyki, słowa zachęty i naprędce formułowane życzenia sukcesu. Jak na stopklatkach rejestrował

uśmiechnięte twarze, uniesione kciuki, dłonie bijące brawo. Nie wiedział, skąd to zainteresowanie, przyjazne nastawienie i kibicowanie jego akcji, ale nie miał czasu ani chęci na zastanawianie się. Gnał coraz szybciej, a pęd upajał go i podniecał na równi ze świeżym tropem dziewczyny, która wyznała mu miłość, S'Malinere.

Początkowo zdziwił się, że wytworzyła fantożelkę, bo jej postać pojawiła się jako twór półprzejrzysty, pseudocieleśny, ale szybko stwierdził pomyłkę. Była i tu, i dalej, raz stała przy szklanej tafli, potem widział ją w innym miejscu, siedzącą na ławce, pokazywała się jednocześnie w projekcjach o różnym stopniu przezroczystości, rozmywała się, w jednych obszarach niemal się materializowała, w innych stanowiła zaledwie smugę mgły, zawirowanie przestrzeni, zanikający ślad. Nie mogła być fantożelką.

Świetnie, pomyślał. Więc jestem w stanie śledzić jej odcisnięcia czasoprzestrzenne, ślady w kontinuum. Jak widać, do tego potrzebna jest tylko maksymalna koncentracja, a ja dorosłem, dojrzałem do takiego wysiłku, nie jestem już dzieckiem. Śmierć S'Erdena, trauma z bebidolką, przełom uczuciowy S'Malinere, tak, to wszystko stanowiło specyficzny egzamin dojrzałości, czyż nie? Poza wszystkim miłość uskrzydła, ta prawda była znana jeszcze w czasach, w których nie istniały *PHI*jki, bebidolki i cały współczesny metakosmiczny kram.

Dziewczyna nadal obawiała się go, bo unikała spotkania. Myliła trop, uciekając wysyłała coraz częściej całe spektra projekcji, a on szarpał się, pędził od jednej zjawy do drugiej, a że w miarę przyspieszania coraz gorzej szło mu rozpoznawanie gradientów temporalnych, nieraz cofał się po tropach, którymi przyszedł. W końcu przystanął, ciężko dysząc, a *O'Mensche* otoczyli go luźnym kręgiem, z szacunkiem zachowując dystans.

Wywołał tenora.

Przez tłum gapiów przepchnął się wysoki, szpakowaty mężczyzna w ciemnym garniturze. Jego twarz była pobrużdżona, ale spojrzenie miał bystre, a ruchy szybkie i zwinne jak młodzieniec.

- Słucham, *TransitMensch* Albigab.

Spojrzał zdziwiony. Należało przyjąć, że z jakichś powodów miał przed sobą nową postać: uosobienie tenora.

- Nazywam się *HS*'Albigab, kolego. Chcę wiedzieć, gdzie obecnie

znajduje się HS'Malinere. Nie jej powidok czasoprzestrzenny, lecz materialna osoba.

Mężczyzna skłonił się lekko.

- Nie jestem w stanie przekazać ci tej informacji, Albigab - poinformował. Głos miał głęboki, o ciepłym brzmieniu.

- Dlaczego?! - Nie potrafił ukryć rozczarowania.

Fantożelka imitująca tenora stała się półprzejrzysta, lecz trwało to zaledwie ułamek sekundy.

- Wyjaśniam: ty sam posiadasz tę informację w rozszerzonym i sprofilowanym zakresie, a więc bardziej przydatną niż ta, której mógłbym ci udzielić. Moja informacja spowodowałaby wysycenie twojego dążenia eksploracyjnego w wyniku zablokowania pełnych danych, a taki obrót sprawy uniemożliwiłby dokończenie procesu.

- Jakiego procesu?

- Nie jestem w stanie przekazywać dalszych informacji na ten temat - odparł tenor.

- Ale... ja naprawdę nie wiem, gdzie jest ta dziewczyna. Zrozum, nie posiadam tej informacji, o której mówisz!

- Mylisz się, *TM'*Albigab. Informacja o *HS'*Malinere jest w zasięgu twojej percepcji, a więc de facto nią dysponujesz.

- Jak mam do niej dotrzeć?

Mężczyzna milczał. Chłopak wzruszył ramionami i rozłączył się. Fantożelka reprezentująca tenora rozwiązała się bez śladu.

Spacerował z rękami w kieszeniach udając, że nie widzi widmowych postaci ściganej. *O'Mensche* podchodzili coraz bliżej, przyglądali się z zainteresowaniem, ale żaden nie nawiązał rozmowy. Ta ich drapieżna ciekawość... Narzucali się swoją bliskością, wyglądało na to, że wiedzą coś, o czym on nie ma pojęcia. Powinni, są w końcu *OberMenschami!* Więc dlaczego nic nie mówią?

Podszedł do najbliższego. Był starszym, muskularnym mężczyzną w podkoszulku, na którego materiale wyświetlał się kryminalny film. W tamtej historii trwał pościg zalesionym brzegiem strumienia.

- Jestem *S'*Albigab - przedstawił się.

- *OM'*Parn - odparł tamten, ściskając mu dłoń do bólu.

- Szukam pewnej dziewczyny - zaczął niepewnie. - Ona...

- Wiem, ta sprawa jest znana. *S'*Malinere, zgadza się?



- Skąd wiesz?

*OM'Parn* uniósł głowę. Jego uśmiech był pełen wyższości, lecz jednocześnie na swój sposób przyjazny. Dziwna mieszanka u *O'Menschów*.

- Jestem tutaj jako osoba prywatna, więc mogę cię naprowadzać - poinformował, ignorując pytanie. - Szkopuł w tym, chłopie, że nie wiem, gdzie ona się znajduje, nikt z nas - zatoczył dłonią krąg - nie wie. I nikt się nie dowie, oprócz ciebie. Ale pewnie nie wpadłeś na pomysł, że tutaj, w Centrum Informativ, znajdziesz informacje adresowane do ciebie?

*M'Parn* był wysoki, więc musiał schylić się i przekrzywić głowę, żeby z boku spojrzeć w twarz *Albigaba*. Miał krzywe, poczerniałe zęby i czuć było od niego kwasem. Mimo wszystko jest tylko człowiekiem, pomyślał chłopak i natychmiast zaczerwienił się.

- Adresowane wyłącznie do ciebie - kontynuował mężczyzna, prostując się. - Ona nie może zniknąć bez śladu, zaszyć się gdzieś i kompletnie odizolować. Stale myśli o tobie, więc prosto do ciebie śle matryce przestrzenne, chce czy nie. Widzisz je? - spytał ostrzej, spoglądając z ukosa.

*S'Al* przytaknął.

- To dobrze. Spróbuj podejść jak najbliżej do takiej matrycy i spójrz jej w oczy. Przypuszczam, że dziewczyna dała ci już dosyć flogu, żebyś zobaczył.

- Słucham?

- No, dalej, rusz się. Jak będziesz tak stał, zostaniesz strącony. Kto nie idzie naprzód, cofa się, nie znasz porzekadła, starego jak cywilizacja?

Stary popchnął go lekko, więc ruszył w stronę tasujących się dziewczęcych postaci, ulepionych z mgły. Były trójwymiarowe, barwy przybrudzonego śniegu. Dopiero teraz zauważył, że ich oczy wyraźnie odcinały się od reszty mdłego ciała, wyglądały jak miniaturowe monitory, na których stale wyświetlał się jaskrawy barwny obraz, identyczny na wszystkich. Zieleń, żółć...

Podszedł bliżej, prawie przytulił się do mgielnej zjawy. Lekko ugiął kolana, żeby jej i jego oczy znalazły się na tej samej wysokości. Teraz widział wyraźnie.

Skądś pamiętał podobny obrazek. Brzeg potoku, żółty piasek, gęstwa zarośli. Soczysta, ciemna zieleń, kłująca oczy żółć, błękit nieba odbity w

wodzie. Przesterowane nasycenie barw. W dali jakieś kominy, konstelacja wieżowców. I co z tego?

Nagle zbliżenie, powierzchnia strumienia, leniwy nurt, meandrujące sznury wodorostów, nitkowate owady biegające po wodzie, polatujące ważki o szklistych skrzydłach, w których błyska słońce. W dali zamglone kontury wieżowców, konstelacja budowli zależna od punktu obserwacyjnego. Tak!

Odwrócił dłoń grzbietem w stronę zjawy, żeby en-tipsem zarejestrować obraz z jej źrenic. Na wszelki wypadek.

- Tenor! - rzucił w przestrzeń.

- Proszę o sformułowanie pytania - odparł mężczyzna w garniturze, wysuwając się przed grupę *O'Menschów*.

- Chcę znać współrzędne miejsca, skąd przekazano widok, który ostatnio nagrałem.

- Oczywiście. Przekazuję dane... są już w twoim tipsie.

- Jak mogę się tam dostać? Spiesz mi się.

- Taksówką, w pobliżu. Zaprowadzę cię do głównego holu, na postój, *TM'Albigab*.

\*\*\*

Taksówka nie była przystosowana do jazdy po piasku, więc opuścił pojazd przy moście. Wielkie słowo, most - raczej niski mostek, drewniany zabytek, z pewnością pamiętający przenoszenie kajaków podczas spływów, o czym czytał w starych książkach. Ruszył pieszo brzegiem rzeczki, potem przyspieszył kroku, aż w końcu puścił się biegiem. Ekscytowała go bliskość *S'Malinere*, tak, naprawdę odczuwał podniecenie, lecz serce biło równo jak dzwon, a oddech mimo biegu miał spokojny. Nozdrza poruszały się, wciągając ze świstem powietrze, szczęki były zaciśnięte, ścięgnię szyi nabrzmiały jak powrozy. Przy każdym susie wybijał się lekko, nie pozwalając stopom zapadać się w piasek. Po piersi pełzała się fala gorąca. Był łowcą, a zwierzyna znajdowała się na wyciągnięcie ręki.

Strumień meandrował, więc skracał sobie drogę, ścinając zakola, gnając przez trawiaste poldery, przedzierając się przez chaszczce malin, przeskakując mrowiska. Trafił stopą w zarośniętą trawą łożysko

dopływu, ale nawet nie zwolnił, gdy woda rozbryznięła się przed nim szklistą powierzchnią. Pokonał podmokłe torfowisko, skacząc od kępy do kępy, i tylko raz musiał wyciągać nogę z błota, którą bagno uwolniło niechętnie, z głośnym cmoknięciem. W sosnowym borze spłoszył stadko saren, które uciekały bez strachu, z gracją sadząc wysokimi susami, właściwie płynąc w leśnym powietrzu, gęstym od aromatu żywicy. Rejestrował piękno tego egzotycznego zakątka, ale tylko przy okazji. Cel jego poszukiwań był blisko, może za sąsiednim pniem, albo w kępie łożynowych zarośli.

Żółć plaży, skondensowana zieleń krzewów, leniwy nurt, odbijający błękit nieba. Barwy tak intensywne, że byłyby kiczem, gdyby nie istniały w rzeczywistym krajobrazie. Nieco dalej woda płynie jeszcze wolniej, jest gęsta i oleista, skrywa pod lustrem powierzchni głębinę, którą pod nawisem korzeni pracowicie wypłukiwała przez dziesiątki lat. Gdy Albigab pochyła się nad nią, z sepiowego zwierciadła spogląda na niego poważny młodzieniec o ściągniętych rysach i nienaturalnie szeroko otwartych oczach. Pochyla się jeszcze mocniej, wtedy twarz znika, a w jej miejscu dostrzega mętny przestwór, powykręcane powrósła korzeni, szarosrebrzyste wrzeciona ryb i lśniące jak latarnie muszle, oczyszczone do połysku przez drapiezniki. Zanurza się i czuje, jak woda przyjmuje go, chłodna obwódka powierzchni przesuwająca się po twarzy, włosach, szyi, przemyka dalej. W podwodnym świecie otacza go śpiewny poszum prądu, przytłumiony szelest trzciny, odgłos skrobienia szczęk o muszle, trzaski i chroboty o nieokreślonych źródłach. Spływa głęboko, aż do dna, i stamtąd zawraca w stronę nawisu z korzeni. Odpycha w górę ich zawężone ramiona, walcząc z siłą wyporu, ciągnącą go ku powierzchni. Pod splątanym okapem jest spokojnie, tam majestatycznie dryfuje stado bezokich ryb. Za nimi, tuż pod stropem, przepuszczającym trochę światła przez oczko wodne, dostrzega gniazdo chanisa. Przestronny dzwon, upleciony z gałęzi, obłożony kożuchem wodorostów, opleciony lianami. Dzwon pełen powietrza, stale odświeżanego przepływającą wodą, a w nim ukryta nimfa, długonoga i czarnowłosa. Jest bierna i bez oporu daje się wyholować pod nawisem korzeni, wskroś wzmagającego się prądu, ku świetlistej powierzchni, przez którą prześwitują zwisające się nad wodą gałęzie. Płyną ku plaży i wychodzą na piasek. Przez cały czas mocno ściska przegub jej dłoni - to musi boleć.

- Nie pytam, jak mnie znalazłeś. Chcę wiedzieć, po co to zrobiłeś - pierwsza odzywa się Malinere.

*Homo sapiens* Malinere. *TransitMensch* Albigab wykrzywia wargi w uśmiechu. Jego udziałem jest współczucie i czułość, litość i pożądanie, złość i pragnienie. Nad wszystko wybija się pragnienie, ogromne i nieposkromione. Chciałby tę dziewczynę zjeść, wypić, pochłonać, przytulić, ścisnąć do utraty tchu. Jest bezradny wobec natłoku własnych pragnień i żądz.

- Potrzebuję cię - oświadcza i zadaje sobie sprawę, że to jedno na pewno jest prawdą.

Gdzieś na uboczu, zepchnięty przez łowcę, istnieje w nim czuły adorator. Teraz daje znać o sobie, wyzwala odruch opiekuńczy. Albigab powoli wyciąga dłoń w stronę jej twarzy, ale wtedy oczy kobiety otwierają się szeroko i eksploduje w nich trwoga. Dopiero wtedy.

- Nie!! - krzyczy piskliwie, a echo, głębsze o oktawę, powraca od ściany lasu.

Jej strach staje się także jego udziałem. Jest to strach łowcy przed desperacją ofiary i przed utratą zdobyczy, który pozbawia go samokontroli. Chwyta dziewczynę i przyciąga, dziko i brutalnie miażdży wargi w akcie zbliżenia, który trudno nazwać pocałunkiem. Czuje słony smak. Jedną ręką trzyma głowę dziewczyny, drugą - ruchem zapaśnika - zakleszcza w uścisku jej kibić.

*S'Malinere* jest uzbrojona, jak każda kobieta *Homo sapiens* w świecie *PHI*, gdzie toczy się pierwotna i bezwzględna walka o byt, i odruchowo korzysta ze swojej broni. Uderza napastnika tipsiem środkowego palca, kierując cios nieco od dołu pod ostatnie zebro. Ostre zakończenie nakładki przebija skórę i zagłębia się w ciało, niegłęboko, akurat na tyle, żeby ból stanowił ostateczne ostrzeżenie i przepłoszył intruza.

Ale *S'Malinere* jest wystraszona. Wie więcej od *TM'Albigaba*, więc jest tak wystraszona, że znajduje się w stanie hysterii. Taki stan jej umysłu dodatkowo uaktywnia żądlę, ukryte w tipsie, i paraliżujący jad dostaje się do tkanek zaatakowanego mężczyzny. Użądlenie nie jest śmiertelne, lecz efekt obezwładniający powinien wystąpić w ciągu sekund.

*S'Malinere* jest ponadto wściekła. Jest wściekła na tego egoistycznego samca, który nie bacząc na jej prośby i na aproksymacje zdarzeń naruszył wszelkie prawa do godności i wolności, zastosował przymus

fizyczny, właściwie ją zgwałcił. Tak się nie robi, ludzie mają swój niepisany kodeks, według którego kobieta w żadnych okolicznościach nie może być przedmiotem. S'Malinere ma temperament choleryczki i potrafi uderzyć, zanim zdąży pomyśleć o konsekwencjach. Teraz jej wściekłość zamienia się w furję, gdy ten pieprzony gnojek gryzie ją do krwi. Właśnie wtedy uderza całą mocą, i od razu zaczyna się usprawiedliwiać.

- To była obrona konieczna - szepcze. - On chciał mnie zabić! - krzyczy, a echo naśmiewa się z niej od strony lasu.

TM'Albigab puszcza ją osuwa się na kolana. Na jego twarzy maluje się niebotyczne zdziwienie, jest znów nieopierzonym kurczakiem, dorastającym chłopcem, którego po raz kolejny skrzywdzono.

- Zabiłaś mnie - mówi. Jest przerażająco spokojny. - Dlaczego?

S'Malinere odwraca się i rzuca do ucieczki, ale zaraz zwalnia i przystaje, jakby była uwiązana na elastycznym sznurze. Przez mgnienie, kiedy jej furia sięgnęła zenitu, ze wszystkich sił pragnęła zabić, i właśnie wtedy cięła z ukrytej w tipsie broni laserowym sztychem, który rozplątał serce chłopaka. Natychmiast wycofała się, ale zdawała sobie sprawę z mocy impulsu i z tego, że uderzenie musiało być śmiertelne.

Przyszedł do mnie z miłości, pomyślała. Szedł za mną bez względu na wszystko, jak idiota, jak narkoman na ostatnim głodzie. W takich chwilach człowiek jest zdolny szafować życiem, i własnym, i czyjś. Ostateczne ogłupienie czy bezkres empatii? Egoizm przez samospełnienie czy poświęcenie dla kogoś? Trywialna chuć czy odruch opiekuńczy? A może pełna miłości własnej ekscytacja pobudzaniem psychodelicznych emocji u partnera? Spełnienie własnych potrzeb przez wzbudzanie uzależnienia u kogoś? Czym naprawdę jest miłość?

Albigab nie był już groźny. Leżał na boku, jego ciałem wstrząsały drgawki.

S'Malinere zawróciła i zbliżyła się ostrożnie, a potem rzuciła się na kolana, przypadła do chłopaka, wsunęła mu dłonie pod głowę i uniosła ją delikatnie.

- Nie umrzesz - powiedziała, głaszcząc go po twarzy. - Zaraz wezwę pomoc.

Nie płakała, tylko łzy spływały jej po policzkach i skapywały na jego twarz. Bardzo chciała wezwać *PH'dafkę*, wciąż jeszcze miała na to czas,

ale nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Uratują go, rewitalizują, fortyfikują, przywrócą do życia, a wtedy wszystko zacznie się od początku, bo wcześniejsze uwarunkowania i aproksymacje pozostaną przecież w mocy. Co robić?

- Pocałuj mnie - poprosił szeptem. - Nie zapominaj, że jesteś moim przeznaczeniem, S'Malinere.

To akurat wydawało się najprostsze.

Pochyliła się i musnęła jego wargi. Zlizwała z nich krew - była słona i dodatkowo miała dziwny, kwaśny posmak. Przyłgnęła do nich, wydawały się takie miękkie. Pomyślała, że to dobrze, że jeszcze wciąż są ciepłe. Chłopak najpierw biernie oddawał pocałunek, potem zrobił się bardziej aktywny. Oderwała się od niego, złapała oddech.

- Kocham cię - powiedziała i uśmiechnęła się. Pragnęła być już daleko stąd, ale coś mu się jeszcze należało, spłacała część długu. Wyobraziła sobie, jak zgłasza policji napad, tłumaczy konieczność obrony życia, jak policjant pociesza ją i odprowadza do drzwi. Nie martw się, dziecko, mówi. Przeżyłaś traumę, ale to minie, czas jest dobrym lekarzem. Wpadnij, jak będziesz smutna.

Odwzajemnił uśmiech. W którejś z książek wyczytała, że umierający uśmiechają się, gdy w momencie zgonu przychodzą do nich nieżyjący bliscy. Ale on uśmiechał się do niej!

- Pocałuj mnie jeszcze raz - zażądał mocniejszym, zdecydowanym głosem. Czuł, że w jego ciele coś przepływa, zmienia się, rekonstruuje. Flog, czy o czymś takim wspominał OM'Parn? Najcenniejsza rzecz, jaką posiadają osobniki *Homo sapiens*? Nie miał pojęcia, skąd czerpie tę wiedzę, ale wydało mu się, że słyszy płynące zewsząd szepty. Że społeczność *O'Menschów* kibicuje mu w coraz bardziej zdecydowany sposób.

Zrobiła, co chciał. Chłopak całował coraz lepiej, potrafił nawet dokonać czegoś takiego, że zapomniła się na chwilę. Potem przemknęło jej przez myśl, że szkoda. Naprawdę go kochała, dopóki lęk nie zdominował wszystkich innych uczuć.

Pogłaskał ją po głowie, potem zsunął dłonie na ramiona. Dziewczyne przeniknął dreszcz, odsunęła się. Patrzył na nią poważnie, jakby brał się za odczytywanie myśli. Poczowała nieokreślony lęk.

- Szkoda - potwierdził, jakby udało mu się skanowanie jej umysłu. -

Wszystko tak głupio się pokręciło. - Mówił dźwięcznie i wyraźnie.

- Tak... kochany. Jak się czujesz? - Jej głos drżał.

- Lepiej. Zdecydowanie lepiej.

Odskokczyła, ale zaraz zaśmiała się. Cmentarne poczucie humoru. Cuda się nie zdarzają, przecież miała zapisaną w tipsie diagnozę aproksymacyjną, wykonaną przez urządzenie po wysłaniu impulsu. Według niej... - wyświetliła dane - Albigab powinien być już martwy.

Chłopak gramolił się z pozycji leżącej, stanął na czworaki, potem podniósł się, ale znów opadł na jedno kolano.

- Podaj mi rękę - poprosił.

Pomogła mu. Nie miała innego wyjścia. Nie mogła nic zrobić, chyba że chciałyby być sądzona za morderstwo. Rana sama zasklepiła się, tak musiało się stać, pomyślała. Albo po prostu cios chybił.

Rozcięcie zrosło się, jednak była to tylko część przemian. *TransitMensch* Albigab czuł, jak w jego ciele nadal zachodzą procesy, których nie potrafi określić, coś się przemieszcza, przeistacza, modyfikuje. Równoległe i skokowo zmieniała się percepcja i świadomość.

Teraz widział świat nie tylko swoimi oczami, lecz także urządzeniami peryferyjnymi wielu *PHI*jek, zaczynał odczuwać wspólnotę wielkiej społeczności *O'Menschów*. Zachłannie dopuścił zbyt szeroki strumień informacji, co o mało nie doprowadziło go do utraty świadomości. Odłączył się i potrząsnął głową.

Zobaczył przed sobą małe zwierzątko, *Homo sapiens* Malinere. Musiał wziąć od niej to wszystko, co dla niego chowała w tym skarłałym ciele. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, w których dostrzegął strach, niedowierzanie, podziw... i coś jeszcze. Właśnie tego potrzebował.

- Chodź, kochanie - powiedział najspokojniej jak potrafił.

Sięgnął i przyciągnął ją delikatnie. Najpierw złamał dziewczynie palec środkowy i jednym pstryknięciem wyrzucił tipsa, a potem objął mocniej szczupłe ciało i zgniótł jej klatkę piersiową z taką łatwością, jakby to była filizanka z najdelikatniejszej porcelany.

*Śmierć chroni  
od miłości,  
a miłość -  
od śmierci*

- cytował spokojnie, jak na wieczorku autorskim, nie zaprzestając obserwacji. *S'Malinere* nie wyglądała pociągająco ze swoimi zbyt dużymi, kwadratowymi zębami, tym bardziej, że właśnie pluła krwią i dusiła się. Skrzywił się z niesmakiem i wezwał *PH'daf*.

- Tak mi przykro, że trochę bolało. Uratuję cię, kochanie, obiecuję. Pomoc jest już w drodze. Wierzysz mi?

Chwyliła go za rękę z siłą, o jaką nie podejrzewałyby konającej dziewczyny. Dopiero wtedy do końca pojął, jakie znaczenia kryje termin "flog".

Zgłosiła się Piąta.

- Mam kandydatkę do witalizacji i fortyfikacji na *H'Elegans*. Pospiesz się.

- Robi się, kotku.

- Aha... zmniejsz jej zęby. Trochę.

- Jak sobie życzysz.

Młody samiec *OberMensch* Albigab otworzył ponownie część kanałów informacyjnych i chłonał świat, pełen wspaniałych kobiet z gatunku OM. Jest cudownie, pomyślał i dopuścił do siebie dreszcz podniecenia.

- Dopóki płciowość będzie rozsadzać świat na każdym poziomie, pozostanie on kreatywnie niestabilny - mruknął obserwując, jak blaszanki *PH'daf* Piątej ładują do grawilotu ciało dziewczyny, która dała mu wszystko, czego od niej potrzebował, bo jak dobry *Homo sapiens* potrafiła dzielić się sobą bezwiednie i, co równie ważne, za darmo. Kto wie, może *OberMensch* Malinere też będzie miała ładne nogi w jaszczurczy wzorek, rozmarzył się.



ANDRZEJ ZIMNIAK

# RANDKA Z HOMO SAPIENS